



EWELINA DYDA

ZŁA
WALUTA

Wśród licznych królowych i księżniczek rodzimej literatury kryminalnej Ewelina Dydą jest absolutnym novum – pierwszą damą polskiego kryminału noir.

Paulina Stoparek, Redaktor na Tropie

ydawnic
ab
two

EWELINA
DYDA

ZŁA WALUTA

Copyright © Ewelina Dyda, MMXVII
Wydanie I
Warszawa MMXVII

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Epilog I](#)

Epilog II

Od Autorki

Prolog

Piątek, 26 czerwca 2015, godzina 20.30

Jedenastoletni biszkoptowy labrador stawiał łapę za łapą, sunąc powoli za szpakowatym mężczyzną w granatowej wiatrówce. Z wiekiem przechodziła mu ochota na dłuższe spacery. Wolał sen i krótkie wyjścia na trawnik przed blokiem. Tymczasem zbliżał się do ulicy Zwierzynieckiej, gdzie na przejściu dla pieszych zmuszony był przyspieszyć. Mężczyzna pociągnął za smycz, odwrócił głowę i rzekł:

– No ruszaj się, Brunuś. Na pasach trzeba szybciej.

Pies podniósł łeb. Stali przy rondzie, z którego zjeżdżał właśnie czarny ford focus. Mężczyzna spojrział w lewo. Droga była pusta. Na horyzoncie majaczył las zwany Zwierzyńcem, będący pozostałością Puszczy Sandomierskiej, w którym kończyła się ulica Zwierzyniecka. Jedno auto skręcało w kierunku marketu budowlanego. Weszli na pasy i przeszli na drugą stronę ulicy.

Mimo końca czerwca dzień był chłodny i zapowiadało się na deszcz. Ciemne chmury zawisły nad lasem, osiedlem i trzema wieżowcami, dominującymi na tle okolicznej zabudowy. Zapadał zmrok, lada chwila miały się zapalić uliczne latarnie. Ludzie pochowali się w mieszkaniach. Tylko nieliczni robili ostatnie zakupy i wyprowadzali psy na wieczorny spacer. Jednym z nich był sześćdziesięcioletni Stanisław Opiótek, dla którego wieczorny spacer był także okazją do wypicia kilku piw bez natrętnego trajkotania żony o skutkach alkoholizmu. Przecież nie był alkoholikiem. Wypijał tylko kilka browarów dziennie, a piwo to nie alkohol. Poza tym nie zaniedbywał codziennych obowiązków, a był już na emeryturze. Po latach pracy każdy ma prawo wypić kilka piw dziennie. Nie rozumiał narzekań żony.

Pod delikatesami kilku młodych chłopaków ubranych w szare dresy rozmawiało głośno, trzymając w dłoniach puszki z piwem. Oni także nic sobie nie robili z zapadającego zmroku i kiepskiej pogody.

Przywitali się z Opiołkiem, nie przerywając rozmowy.

– Czekaj, Brunuś – powiedział Stanisław, kiedy przywiązywał psa do barierki. Wszedł po schodach i zniknął za drzwiami delikatesów „Sezam”.

Bruno położył się, układając łeb na przednich łapach. Spoglądał smętnie na grupkę przed sklepem. Marzył o szybkim powrocie do domu, gdzie czekał na niego wygodny fotel.

W sklepie Opiołek wziął koszyk i ruszył w kierunku lodówek z piwem. Kiedy otwierał jedną z nich, dwie sklepowe w białych fartuchach na stoisku mięsnym wymieniały uwagi na temat swoich dzieci. Mężczyzna wziął czteropak tnatry mocnej, włożył do koszyka. Zawahał się przez chwilę, po czym w koszyku wylądowała jeszcze jedna puszka.

Przy kasie znudzona kasjerka naliczyła należność i spakowała piwo do foliowej siatki. Opiołek podziękował i wyszedł ze sklepu.

Bruno zaskomlał radośnie, kiedy ujrzał wracającego pana. Podniósł się i delikatnie zamerdał ogonem. Ucieszyła go perspektywa szybkiego powrotu do domu. Grupa chłopaków zniknęła, a z siniego nieba spadały już pojedyncze krople deszczu. Tymczasem Opiołek chwycił smycz i zamiast skierować się do domu, pociągnął Bruna w przeciwną stronę. Minęli rondo, po prawej stronie mieli jaskinię solną, w której Opiołek nigdy nie był, bo uważał to za fanaberię. Kiedy doszli do niewysokiego muru z szarej cegły, okalającego budynek starej piekarni, mężczyzna zatrzymał się i rozejrzał po okolicy. Ulica wciąż była pusta, ale wołał upewnić się, czy w pobliżu nie ma nikogo znajomego. Odpiął smycz Bruna i przeszedłszy kilka kroków, zatrzymał się przy krańcu muru. Labrador, nic sobie nie robiąc z nagle podarowanej mu przez Opiołka wolności, sunął dalej za swoim panem i zległ przy jego nogach.

Drobne krople spadały coraz intensywniej, uderzając o maski aut na pobliskim parkingu przy sklepie meblowym. Ale Stanisławowi Opiołkowi deszcz nie przeszkadzał. Głowę skrył pod kapturem wiatrówki i włożył dłoń do siatki z piwem. Wymacał chłodną puszkę,

wyciągnął ją szybko, otworzył i sporymi haustami pochłaniał jej zawartość. Nie miał czasu ani ochoty na delektowanie się każdym łykiem złocistego napoju. Piwo pił jak wodę. Gdy skończył, zgniótł puszkę, wyrzucił ją za mur i sięgnął po kolejną.

Wilgoć zaczęła wypełniać powietrze, krople deszczu spływały po granatowej wiatrówce i biszkoptowej sierści. Nagle ciszę przerwał syk otwieranej puszkę i krzyk przerażenia dobiegający zza pleców Opiółka. Potem był tylko głuchy huk, jakby coś z wielkim impetem uderzyło o asfalt. Mężczyzna odwrócił się. Z jednej dłoni wypadła mu puszkę piwa, z drugiej wysunęła się siatka z pozostałymi browarami. Również ona uderzyła o chodnik.

Z miejsca, gdzie kończył się mur, wił się chodnik, ułożony pewnie jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, kiedy wybudowano te jedenastopiętrowe wieżowce z wielkiej płyty. Nie troszcząc się o swoje niedawne zakupy, Opiółek biegł w kierunku placu przed pierwszym wieżowcem. Na jednym z miejsc parkingowych, wyłożonym czerwoną kostką, na której wymalowano kopertę i symbol wózka inwalidzkiego, leżała kobieta. Długie blond włosy rozsypały się wokół jej głowy, ciało w koronkowej bieliźnie zastygło w nienaturalnej pozie.

Opiółek błędził dłonią po kieszeni wiatrówki. Próbował sobie przypomnieć, czy tym razem wziął ze sobą telefon. Zwykle kiedy wychodził na spacer z Brunem, zostawiał go na nocnym stoliku, by żona nie próbowała go nękać. W końcu wymacał i spróbował wybrać numer alarmowy. Szybka chwila namysłu: dziewięć dziewięć siedem czy sto dwanaście. Jego drżące palce wybrały drugą opcję.

– Halo! Wypadek, morderstwo, samobójstwo, Zwierzyniecka... – Zawiesił drżący głos i spojrzał na numer wieżowca. – Zwierzyniecka dwadzieścia...

Roztrzęsiony Opiółek nie mógł skleić pełnego zdania. Bruno legł u jego stóp i smutno patrzył na wypływającą spod głowy kobiety strugę krwi mieszającą się z deszczem.

Rozdział 1

Ponad miesiąc później Poniedziałek, 10 sierpnia 2015

Wyszedłem z baru mlecznego „Smak”, wziąłem na wynos pierogi ruskie i z mięsem. Ruskie dla mnie, mięsne dla Danuty. Czułem ich ciepło, co nie było wygodne, zważywszy na fakt, iż wokół panował ponadtrzydziestostopniowy upał. Koszulka lepiała mi się do pleców, miałem wrażenie, że pod pachami pojawiły się dwie ogromne plamy. Pot miałem także na rękach, przez co sokół maltański, tatuaż, który zrobiłem sobie w zeszłym roku na wewnętrznej stronie lewego przedramienia, również wyglądał na spoconego. W przeciwieństwie do dwóch kobiet stojących nieopodal apteki z najtańszymi lekami w mieście. Były uśmiechnięte i wyglądały świeżo. Stały przy stojaku z ulotkami. Kątem oka przeczytałem tytuł jednej z nich: „Czy chciałbyś poznać prawdę?”. Hasło w sam raz dla mnie. Mógłbym zawiesić je na drzwiach mojego biura, w końcu tym się zajmuję. Ludzie przychodzą do mnie, bo chcą poznać prawdę. Ostatecznie uznałem jednak, że tabliczka „Jakub Rau. Prywatny detektyw” w zupełności wystarczy. Obok świadków Jehowy ustawiło się dwóch młodych nacjonalistów. Przed sobą mieli niewielki stolik, na którym rozłożyli ulotki, koszulki oraz inne gadżety. Również kątem oka zauważyłem, że ulotki dotyczą antyuchodźczej manifestacji, która za kilka dni miała się odbyć w mieście. Nie zazdrościłem sekciarkom i nacjonalistom. Ani misji, ani stania w upale.

Przy okrągłej fontannie na placu Antoniego Surowieckiego wytchnienia szukały dwie młode matki z pociechami. Chłopak, na oko trzyletni, stał na ceglanym murku i próbował zmoczyć stopę, co wywołało ostrą reprymendę jego rodzicielki. Tymczasem dziewczynka, na oko pięcioletnia, wskoczyła do fontanny i klaskała w dłonie. Po minie jej matki wywnioskowałem, że radość dziecka nie

potrwa długo. Sam z chęcią ochłodziłbym się w tej fontannie.

Skręciłem w Sokolą. Kilka kroków i byłem przy wejściu do domu, w którym wynajmowałem pokój. Wyróżniał się na tle pozostałej zabudowy niebieskim szyldem, na którym czytelnie napisano „Zakład Fryzjerski”. Żadne tam „atelier” czy „studio”. Danuta miała swoją renomę i nie musiała podążać za najnowszymi trendami w nazewnictwie. Właściwie nie musiała nawet podążać za najnowszymi trendami w strzyżeniu i stylizacji włosów. Od lat przychodziły do niej te same klientki, by zrobić sobie trwałą i podciąć końcówki. Bardziej wymagający klienci korzystali z usług salonów przy placu Bartosza Głowackiego, przez wszystkich nazywanego placem Czerwonym, z racji koloru kostki, którą był wybrukowany.

Pokonawszy pięć schodków, prawie wdepnąłem w Chandlera. „Wdepnąłem” to dobre określenie, bo Chandler, czarny kot Danuty, który imię zawdzięczał nazwisku ulubionego autora mojej współlokatorki, wyciągnął się jak długi na progu i wyglądał jak kałuża atramentu. Nie poruszył się, otworzył tylko oczy i wbił we mnie leniwe spojrzenie, po czym zamknął oczy, sapnął i na powrót pograżył się w drzemce. Ostrożnie go ominąłem.

W holu poczułem charakterystyczny zapach, chyba płynu do trwałej ondulacji. Mieszkałem u Danuty już ponad rok, jednak do tej pory nie zdołałem się połapać w jej fryzjerskich specyfikach. Usłyszałem odgłos suszarki do włosów, która po chwili się wyłączyła. Odezwała się Danuta:

– Tak że ten – konkludowała z charakterystycznym dla siebie wtrąceniem – ja lubię taką pogodę, bo nad jezioro można wyskoczyć. A w zimie? W zimie to nic się w naszym mieście nie dzieje.

– Ale tu u pani fajnie. Klimatyzacja, to i można wytrzymać. U mnie w mieszkaniu to upał jak na polu. Ja tam bym chciała, aby już przyszło jakieś ochłodzenie – zamarzyła klientka, której Danuta właśnie skończyła suszyć włosy. Teraz zapewne czas na tapirowanie. Tę śmieszna czynność, która wyglądała jak stroszenie piór przed walką kogutów, akurat bez trudu potrafiłem nazwać, bo Danuta wykonywała ją nadzwyczaj często.

– A tu ma pani rację... – Nie dokończyła, bo właśnie zwróciła

głowę w kierunku wejścia, gdzie stałem, i wykrzyknęła: – O, Kuba! Ale mnie przestraszyłeś. – To było dość zaskakujące, bo zazwyczaj na mój widok ludzie reagują w zupełnie inny sposób. Zwykle kojarzę im się z akwizytorem, któremu z chęcią zamyka się drzwi przed nosem. Raczej nikt się mnie nie boi. No cóż, lubię być schludnie ubrany, a okulary w czarnych oprawkach z pewnością dodają mi akwizytorskiego szyku.

– O, pan Kuba! – jak echo powtórzyła klientka, odwracając głowę. Rozpoznałem w niej stałą bywalczynię salonu Danuty, Teresę Hamak, właścicielkę najbardziej leniwego jamnika, jakiego kiedykolwiek widziałem. Noszącego w dodatku imię Alfred po jej zmarłym mężu. – Dawno pana nie widziałam. Jak tam się panu pracuje?

Czy dawno? Z tym bym polemizował, bo Teresa bywa u Danuty przynajmniej raz w miesiącu. I zawsze interesuje się sprawami, które prowadzę. Czasem zdradzam jej drobne szczegóły, żeby miała o czym opowiadać koleżankom po niedzielnej mszy. Przy jednej sprawie okazała się nawet pomocna, bo człowiek, którego poszukiwałem, mieszkał w jej okolicy. Opowiedziała mi o nim niemal wszystko. Tak więc nigdy nie lekceważę starszych, samotnych kobiet. Są lepsze niż monitoring.

– Nie narzekam, pani Tereso. – Tym razem jednak nie zamierzałem jej czegokolwiek zdradzać, choć zauważyłem, że ciekawość ją wprost zżera.

– A daj panu detektywowi spokój, kochana. Przecież nie będzie ci opowiadał, co teraz robi. Zaraz pół miasta by wiedziało – odezwała się druga klientka Danuty, której wcześniej nie zauważyłem, bo siedziała w kącie przy stoliku z kolorową prasą. Kiedy skończyła mówić, podniosła głowę i mrugnęła do mnie porozumiewawczo. We włosach miała wałki, mimo to poznałem Katarzynę Chomkiewicz, kolejną stałą klientkę Danuty. Odmrugnąłem, gdyż wiedziałem, jaka będzie za chwilę reakcja Teresy.

– No wiesz? Ja to umiem dochować sekretu. Nie to co... – Teresa nie dokończyła, bo w tym samym momencie za moimi plecami rozległo się gromkie „dzień dobry!”. Odwróciłem się i ujrzałem znajomą twarz listonosza. Krystian, pocztowiec, który często do nas

przychodził, był trzydziestoparolatkiem, lecz ze względu na tuszę poruszał się trochę jak wieloryb w płytkim akwenu i na oko można mu było dać o wiele więcej. Kosmyki krótkich blond włosów były mokre od potu, który spływał mu także po skroni. Zaczynanie z nim rozmowy o dzisiejszej pogodzie byłoby złośliwością.

Danuta i jej klientki od razu przeniosły uwagę na Krystiana i zaczęły wypytywać, co ma dziś dla każdej z nich. Zrobiło się gwarno, a po chwili do tego sztucznego tłumu dołączył także Chandler, któremu najwidoczniej znudziło się dalsze udawanie kałuży atramentu. Obwąchał pakunki w moich dłoniach, większą uwagę przykładając do tego, w którym znajdowały się pierogi z mięsem, i poszedł dalej. Zwinnie wskoczył na fotel przy myjce i zlizął kilka kropel wody, które skapywały z kranu, po czym odchylił łeb w moim kierunku i miauknął. Od razu podszedłem więc do myjki i odkręciłem mały strumień zimnej wody, którą Chandler zaczął łapczywie pić. Nigdy nie korzystał w tym celu z miski. Zawsze potrzebował człowieka, który odkręci mu kran, i zazwyczaj tym człowiekiem byłem ja. Muszę przyznać, że nieźle mnie wyszkolił. Czasem wstawałem do niego nawet w nocy.

Korzystając z tego, że Danuta na chwilę oderwała się od rozmowy z listonoszem i zawiesiła wzrok na Chandlerze, a potem na mnie, podniosłem pakunek z jej pierogami i pokazałem głową, że idę do kuchni. Machnęła ręką, dając tym samym znać, że nie ma na razie czasu jeść. Będąc więc w kuchni, schowałem pierogi z mięsem do lodówki. Swoje zaś nałożyłem na talerz i zacząłem pożywiać się z umiarkowanym apetytem. Właściwie nie byłem głodny, a upał dodatkowo nie sprzyjał pochłanianiu wielkich ilości jedzenia. Zawsze jednak starałem się jeść w miarę regularnie. Z różnym skutkiem.

W „Smaku” zawsze były najlepsze pierogi. Pamiętam je jeszcze z dzieciństwa, kiedy ojciec zabierał mnie tam na obiady. Z niecierpliwością czekałem na godzinę piętnastą. Stary wracał wtedy z roboty w kopalni, kąpał się i szliśmy na obiad. Psuć zaczęło się dopiero w latach dziewięćdziesiątych, kiedy zaczęła się likwidacja kopalni. Ojciec przeszedł na wcześniejszą emeryturę, zaczął pić i wspólne obiady stały się rzadsze. Ale to nie na temat. W każdym

razie kiedy myślę o smakach z dzieciństwa, zawsze przywołuję pierogi ze „Smaka”.

Przekrajałem kolejnego pieroga, gdy do kuchni powolnym krokiem wszedł Chandler. Otarł się o moje łydki i wskoczył na krzesło obok. Cała ta mityczna kocia niezależność momentalnie znikła, a w jej miejsce pojawiła się uległość i błagające spojrzenie. Każdego można kupić. Trzeba tylko znać odpowiednią walutę. W wypadku zwierząt jest to najczęściej jedzenie. Chandler nie był tu wyjątkiem.

– To nie twoje smaki, Chandler. – Chciałem przywrócić mu godność i uświadomić, że pierogi z serem nie są warte zachodu. Nie odpuszczałem, więc ukroiliśmy kawałek i dałem mu do powąchania. Zbliżył nos, wciągnął powietrze i szybko się odsunął, oblizując się, jakby chciał zetrzeć z pyszczki cały zapach, który faktycznie nie należał do jego ulubionych. Zeskoczył z krzesła i podreptał do miski z suchą karmą. Rozległo się chrupanie.

Nigdy nie przepadałem za zwierzętami. Właściwie nie lubię ich do tego stopnia, że nie mam nawet ochoty ich jeść. Ale Chandlera polubiłem. Co oczywiście nie oznacza, że go kiedyś zjem, choć taki wniosek można by wysunąć, kierując się zaprezentowaną logiką.

Nasze początki nie były jednak łatwe. Kiedy ponad rok temu zamieszkałem u Danuty, Chandler rezydował tam już od siedmiu lat. Byłem więc intruzem. Początkowo nasza wzajemna niechęć objawiała się schodzeniem sobie z drogi. Choć to raczej ja musiałem ustępować, gdyż okazywało się, że większość miejsc w domu należy już do Chandlera. I tak, kiedy siadałem w salonie w rogu kanapy, po chwili zjawiał się on, siadał obok i wpatrywał się we mnie z wyrzutem, aż się nie przesunąłem. Wówczas przechodził mi po udach i mościł się wygodnie w rogu kanapy, dając do zrozumienia, że należy on wyłącznie do niego.

Potem nasza relacja weszła w fazę wzajemnych złościwości. W miejscach należących do Chandlera niby przypadkiem zostawiałem jakąś gazetę, książkę lub poduszkę. Snuł się wówczas bez humoru po mieszkaniu i miałem wrażenie, że patrząc na mnie spode łba, szykuje jakąś słodką zemstę. Danuta na nasze zmagania patrzyła pobłaźliwie, uważając, że to niewinne zabawy. Tymczasem między nami trwała

prawdziwa wojna o terytorium. Chandler bronił swojej własności, ja natomiast chciałem w końcu poczuć się jak u siebie. Jeśli miałem ochotę umościć się w rogu kanapy, to chciałem po prostu to zrobić, a nie zastanawiać się, czy przypadkiem kot również nie nabrał ochoty właśnie na to.

No i nie pomyliłem się. Chandler zgotował mi w końcu zemstę. Spiesząc się pewnego dnia do biura, założyłem buty i poczułem, że w środku jednego z nich coś jest. Wyciągnąłem stopę, a na skarpetce ujrzałem wczorajszy, nie do końca przetrawiony, obiad Chandlera. Wpadłem w furję i w pierwszym odruchu miałem ochotę udusić kanalię. Wziąłem jednak kilka głębszych oddechów i pomyślałem, że muszę zmienić strategię. Inaczej na rzyganiu do buta się nie skończy.

Postanowiłem zawrzeć rozejm. Zmieniłem skarpety, wyczyściłem but, a gdy wychodząc, natknąłem się na Chandlera, postanowiłem go pogłaskać na znak, że nie żywię urazy. Lecz kiedy tylko wyciągnąłem rękę, kocur zjeżył się i zdzielił mnie łapą. Ręka mnie zapiekła i ujrzałem ślad zadrapania, który szybko nabiegł krwią. Kot czmychnął, a ja nie miałem innego wyjścia, jak zacząć obmyślać inną strategię.

Tym razem postanowiłem Chandlera przekupić. Żadne tam wyciąganie ręki na zgodę, które mogło zakończyć się kolejnymi zadrapaniami. Poszedłem do sklepu zoologicznego i zakupiłem niemal wszystkie polecane przez sprzedawcę kocie przysmaki. Nie wszystko mu smakowało i na początku nieufnie podchodził do przynęt, które mu podrzucałem. Powoli jednak jego nastawienie zaczęło się zmieniać. To oczywiście nie był jeszcze początek przyjaźni międzygatunkowej, ale przestaliśmy wchodzić sobie w drogę. Z czasem Chandler zaczął nawet odstępować mi swoje miejsce na kanapie w salonie. Bywały i dni, kiedy zajmowaliśmy je razem. Ja siedziałem, a na kolanach mościł mi się Chandler. Tak jak mówiłem: każdego można kupić. Poza tym przygoda ze zwierzakiem nauczyła mnie jednej rzeczy: idąc na udry, do niczego nie dojdiesz. Życie trzeba brać sposobem. Od tamtej pory staram się kierować tą dewizą.

Kiedy pewnego wieczora siedzieliśmy z Danutą na tarasie i rozmawialiśmy o życiu przed wspólnym mieszkaniem, opowiedziała

mi także historię Chandlera.

– Tak że ten – zakończyła opowieść o zmarłym mężu, dzieciach, z których jedno wyjechało do Szczecina, a drugie wyemigrowało do Anglii, i przeszła do opowieści o tym, jak to czarny kocur pojawił się na Sokolej.

– To były pierwsze tygodnie po śmierci Marka. Najtrudniejszy okres w moim życiu, Kuba. Wiesz, co wtedy czuje człowiek?

Wzruszyłem ramionami, udając, że nie wiem, choć wiedziałem bardzo dobrze.

– Świat rozsypuje się na miliony kawałeczków. Ale ty nie masz siły nawet ich pozbierać, a co dopiero poskładać z powrotem do kupy – kontynuowała, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Nie masz siły zupełnie na nic. Nie możesz normalnie funkcjonować. Zwykle czynności są jak bieg z przeszkodami. Marzysz o tym, by skończył się dzień, ale kiedy przychodzi noc, robi się jeszcze gorzej. Próbujesz spać, ale w oczach masz albo łzy, albo patrzysz tępo w sufit, bo sen nie chce przyjść. Po śmierci Marka przeżyłam głęboką depresję, Kuba. Wiesz, co byłam tylko w stanie robić?

Ponownie wzruszyłem ramionami, chociaż spodziewałem się, jaka będzie odpowiedź.

– Chodziłam na cmentarz. A właściwie biegałam. Kilka razy dziennie wybiegałam z domu, czasem nawet nie zamykając drzwi, i biegałam na cmentarz przy Wisłostradzie. Tam płakałam, dopóki starczało mi łez. – Wzrok Danuty stał się nieobecny. Patrzyła w rozgwieżdżone niebo, jakby w nim szukała pocieszenia. Po jej twarzy spłynęła łza, żłobiąc bruzdę na policzku pokrytym nienagannym makijażem. – Ale przychodzi taki moment, że ze wszystkim musisz się pogodzić. Zaakceptować. To wcale nie jest łatwe i nie dzieje się od razu. To powolny proces, ale kiedy w końcu wszystko zaakceptujesz, możesz iść dalej. Pęka blokada i wracasz do życia, a nawet zaczynasz się nim cieszyć. – Oczy Danuty przestały się szklić, a ślad po łzie na policzku znikł.

Milczałem, czekając, co powie.

– Ale kiedy pojawił się Chandler, byłam jeszcze w głębokiej depresji. Jak co dzień pobiegałam na cmentarz. Trochę się modliłam,

ale więcej płakałam. Nagle usłyszałam kwilenie dochodzące zza nagrobka Marka. W pierwszej chwili pomyślałam, że zaczynam wariować i słyszę jakieś głosy. Uspokoiliam się i zajrzałam za tablicę, a tam siedziała mała, czarna i żalosna kulka. Sprawiała wrażenie tak samo nieszczęśliwej jak ja. Pomyślałam, że to znak. Zabrano mi Marka, ale na pocieszenie dano mi tego czarnego kociaka, który mógł mieć wtedy kilka tygodni. Wzięłam go do domu, no i jak widzisz, nieźle się tu urządził. – Danuta roześmiała się. Smutek zupełnie zniknął z jej twarzy.

– Coś w tym jest. Albo zupełnie nic. Ludzie przecież umierają, a bezdomne zwierzęta szukają domów. Czysty przypadek – skonkludowałam.

– Oj, Kuba, Kuba. Jak ty mało wiesz o życiu – śmiała się Danuta, a ręką zmierzwiła mi włosy. Zupełnie jak matka. I tak ją traktowałam. Ja też byłem dla niej trochę jak syn.

No dobra, może z tą matczyno-synowską relacją trochę przesadziłem. Danuta była jednak atrakcyjną kobietą. Musiałbym być ślepy, żeby tego nie zauważyć.

Chandler właśnie kończył chrupać swoje kocie przysmaki. Ja tymczasem zjadłem ostatniego pieroga i odstawiłem talerz do zlewu.

Pogoda nie odpuszczała cały dzień. Wciąż było gorąco i parno. Klimatyzacja była zainstalowana tylko w salonie Danuty. Tu, w kuchni, oraz w przylegającej do niej poczekalni panował tropikalny upał. Nawet nie chciałem myśleć, co dzieje się na pierwszym piętrze, gdzie znajdował się mój pokój, sypialnia Danuty, salon oraz łazienka. Nie pomagało zamykanie okien na dzień i otwieranie ich dopiero wieczorem. Nocą bowiem temperatura spadała tylko nieznacznie. Sierpień tego roku był wyjątkowo uciążliwy. No chyba że ktoś lubi tropiki. Ja nigdy nie lubiłem. Ale to nie na temat. Musiałem jeszcze dziś popracować, więc przed udaniem się do biura postanowiłem wziąć szybki prysznic.

Wyszedłem z kuchni. Rozmowy w salonie Danuty ucichły, słychać było tylko odgłos pracującej suszarki, której szum przecinał ciężkie powietrze niczym tępa piła drewno. Ruszyłem w kierunku starych drewnianych schodów prowadzących na pierwsze piętro. Stękały pod

każdym moim krokiem, jakby upał również im dawał się we znaki. Między nogami przemknął mi Chandler. Wbiegł do salonu, po czym czmychnął na balkon. Danuta także zrezygnowała z zamykania okien w ciągu dnia, w takie upały to naprawdę nic nie daje. Firanka przy drzwiach balkonowych zafalowała za Chandlerem. Niestety nie był to orzeźwiający podmuch wiatru, co najwyżej ruch gorącego powietrza, które wdarło się do środka.

Usiadłem jeszcze na chwilę na kanapie. Na szklanej ławie leżało kilka aktualnych gazet. Kolorowe czasopisma oraz „Tygodnik Nadwiślański” i „Kronika Dnia”. Przekartkowałem tygodnik i rzuciłem okiem na zapowiedzi lokalnych imprez. *Bajkowy plener, Wakacje w Harasiukach, Zabawa w Opatowie*. Dzieje się, pomyślałem z ironią i rzuciłem gazetę z powrotem na stolik. „Kronika Dnia” pisała natomiast o upale, pogoda zawsze jest niezawodnym tematem, i o tłumach nad Jeziorem Tarnobrzeskim. W ten weekend padł rekord. Padłem również ja, lecz nie nad jeziorem, ale w Green Pubie, irlandzkiej knajpie na placu Czerwonym, gdzie zaciągnął mnie kumpel mojego starego. Ale to nie na temat. Podniosłem się z kanapy, wziąłem ze swojego pokoju czyste ubranie i poczłapałem pod prysznic. Gdy tylko puściłem wodę i po raz pierwszy tego dnia poczułem orzeźwiający chłód, przez szum płynącego strumienia usłyszałem miauczenie Chandlera. Zakręciłem wodę, strzepnąłem krople z włosów i wyszedłem z kabiny.

– Jak mogłem o tobie zapomnieć? – rzuciłem, otwierając drzwi do łazienki.

Chandler wbiegł do środka i zajął miejsce na sedesie, a ja wróciłem pod prysznic. Nasza relacja była już tak bliska, że kiedy brałem prysznic, Chandler musiał mi towarzyszyć. Nigdy nie rozumiałem jego kociej fascynacji gołym facetem za przezroczystymi drzwiami kabiny prysznicowej, wykonującym te wszystkie śmieszne ruchy, których na pewno nie zobaczymy w reklamie żelu pod prysznic. Ale dlaczego kot nie miałby mieć jakichś swoich małych zbroczeń, skoro przecież wszyscy jakieś mamy. W każdym razie wolałem zbroczonego Chandlera od Chandlera złośliwego.

Ponownie odkręciłem wodę. Sięgnąłem po pierwszą z brzegu

butelkę, która wydawała mi się żelem pod prysznic. Nalałem odrobinę na dłoń, po czym rozsmarowałem na klatce piersiowej. Pienił się gorzej niż zazwyczaj, więc stwierdziłem, że znowu pomyliłem żel z szamponem. Czy te butelki nie mogą się jakoś od siebie różnić, westchnąłem. Który facet czyta etykiety na butelkach kosmetyków? Na pewno nie ja. Spłukałem szampon i sięgnąłem po właściwe opakowanie. Następnym razem powiem Danucie, żeby kupiła mi szampon i żel w jednym.

Wyszedłem z kabiny i pod czujnym spojrzeniem kocich oczu wytarłem najpierw swoje klejnoty, a potem resztę. Założyłem ubranie, które po kilku minutach znów zaczęło się lepić do ciała. Kąpiel w taką pogodę to syzyfowa praca, ledwo zmyjesz pot, a zaraz zalewa cię kolejna fala.

Zbiegłem po schodach, które jak zwykle pode mną zastękały. W salonie Danuty znowu było głośno. Nie zaglądając do środka, wyszedłem na ulicę i skierowałem kroki w kierunku biura.

Przy poczcie na ulicy Słowackiego hałasowali robotnicy w pomarańczowych uniformach. Kolejni ludzie, którym dziś nie zazdrościłem. Wokół unosił się nie tylko żar gorącego lata, ale także pył z remontowanej ulicy. Przy Słowackiego zawsze był problem z parkowaniem aut. Poczta Polska, dom kultury z kinem, dwa biura podróży, redakcja „Kroniki Dnia”, urząd miasta... Nie ma co zagłębiać się w szczegóły. Tarnobrzeg jaki jest, każdy widzi. W każdym razie nagromadzenie owych placówek, które najwyraźniej przyciągały tłumy mieszkańców, sprawiało, że zaparkowanie auta graniczyło z niemożliwością. Zmotoryzowanym tarnobrzeżanom nie chciało się ruszyć dupy. Woleli ją wozić. Co było oznaką lenistwa, a to grzech. Nie żebym był wierzącym. W dodatku takim, który widzi źdźbło w oku innych, a w swoim nie dostrzega belki. Po prostu uważam, że większość z nich drogę do pracy mogła pokonać pieszo. I to w ciągu zaledwie kilkunastu minut, to naprawdę nie jest metropolia. Przy okazji mielibyśmy zdrowsze powietrze.

Praca robotników w pomarańczowych uniformach polegała na zwężeniu ulicy Słowackiego i wygospodarowaniu większej liczby miejsc parkingowych. Pracowali już od kilku tygodni i nie zanosilo

się, że szybko skończą.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się budynek domu kultury z dobudowanym w drugiej połowie ubiegłego wieku obiektem z salą widowiskową, od niedawna noszącym oficjalną nazwę: „Kino Wisła”. Była to dobudowa w stylu iście komunistycznym. Szare ściany budynku kontrastowały ze starą częścią domu kultury, która odcinała się żółtym kolorem oraz zupełnie innym stylem architektonicznym z początku ubiegłego wieku. Zanim wyjechałem z Tarnobrzega, zupełnie nie interesowałem się tym budynkiem, ale kiedy tu wróciłem i zacząłem na nowo odkrywać moje rodzinne miasto, od razu rzucił mi się w oczy synkretyczny charakter naszego domu kultury. Zawsze uważałem, że miasto jest jak organizm. Żyje, zmienia się, w miejsce starych i niszczących komórek powstają nowe. Tarnobrzesci Dom Kultury był tego przejawem. Choć być może bardziej podpadał pod teorię o symbiozie. Tu stare z nowym koegzystowało na tych samych warunkach. Inna rzecz to dynamika owych zmian. W Tarnobrzegu wszystko przebiegało wolniej, sennie, mniej dostrzegalnie, więc dom kultury również musiał być tego przykładem. Niedawno w internecie znalazłem informację, że starsza część domu kultury to dawne Kasyno Mieszczańskie. Życie więc kwitło tu od zawsze.

– Kuba! – Głos wybił mnie z rytmu rozmyślań. Spojrzałem przed siebie. Stał tam komisarz Orłowski, kumpel mojego starego. Podobieństwo do Jerzego Stuhra sprawiało, że wszyscy mówili na niego „Jurek”. Mało kto pamiętał, że ten niemłody już policjant ma na imię Walery. Jesienią i zimą ulubionym strojem Jurka był czarny płaszcz i takiż kapelusz, co sprawiało, że zawsze kojarzył mi się z detektywem z czarnego kryminału. Dziś miał na sobie jasny T-shirt, szorty i – tak, tak – białe skarpety i sandały. – Do roboty? – zapytał, kiedy podaliśmy sobie dłonie.

– Rób to, co kochasz, a nigdy nie będziesz musiał pracować – odpowiedziałem sentencjonalnie.

– Cha, cha! – Rubaszny śmiech Jurka rozdarł ciężkie wakacyjne powietrze. – Kiedyś myślałem podobnie. Kochałem łowić ryby. Ostatecznie zostałem policjantem. Mało wiesz o życiu, Kuba. – Skąd

oni z Danutą biorą te teksty? Prawdopodobnie fakt, że oboje znali mnie od dzieciaka, sprawiał, że wciąż patrzyli na mnie jak na jakiegoś gówniarza, chociaż zbliżały się moje trzydzieste drugie urodziny. Taka miła cecha małych miasteczek. Prawie wszyscy się tu znają. Ktoś jest czyimś ojcem, synem, kuzynem, kumplem z dzieciństwa. Na każdego znajdzie się jakiś znajomy. Czasem to zaleta, a czasem nie. Zwłaszcza kiedy prowadzisz jakąś sprawę i próbujesz się czegoś dowiedzieć. Zmowa milczenia wielu sznuruje wówczas usta.

– A ty, jak na kogoś, kto częściej ogląda martwe kobiety niż żywe, wyjątkowo dużo zdajesz się wiedzieć o życiu. – Z Jurkiem już dawno przeszliśmy na ty. Pracował w wydziale kryminalnym i już niejedno w życiu widział. Poza tym bywał pomocny w niektórych moich śledztwach. Czasami nawet nagiął procedury, ale któż tego nie robi? Poza tym, nie ukrywajmy, Jurek był małomiasteczkowym gliną, który najbardziej cenił święty spokój. Jeśli mógł się posłużyć mną w trakcie prowadzenia śledztwa, robił to. Nawet kosztem przekroczenia niektórych zasad.

– Śmierć to też część życia, zapamiętaj to sobie, Kuba. Poza tym nie lekceważ kobiet, nawet martwych. One potrafią wiele powiedzieć, nawet po śmierci.

– Nie lekceważę. Chociaż wolę, kiedy mówią do mnie żywe. Ale co kto lubi.

Jurek znowu się roześmiał.

– Pracujesz teraz nad czymś ciekawym? – zmienił temat.

– Być może. – Czasem i ja nie chciałem zbyt dużo zdradzać, nie tylko klientkom Danuty.

Pożegnaliśmy się i każdy z nas poszedł w swoją stronę.

Kiedy przechodziłem obok budynku PZU, rzuciłem okiem na drugą stronę. Kolorowe przedszkole wyraźnie odcinało się od reszty zabudowań. Jak by powiedział Lew Archer, pochłaniało niemal wszystkie siły żywotne szarych budynków znajdujących się obok. I bardzo dobrze. Dzieciństwo powinno być kolorowe i beztroskie. Dorosłe życie przynosi wystarczająco dużo ciemnych barw, które bardziej pasują do budynku zakładu pogrzebowego niż do przedszkola. Ktoś tu wykazał się dobrym pomysłem.

Zaraz za PZU, na Sokolej 13, znajdowało się moje biuro. Mieściło się w starym kinie „Wisła”, zbudowanym w tym samym stylu, co Kasyno Mieszczańskie, będące obecnie częścią domu kultury. Podobieństwo nie było przypadkowe, oba budynki wybudowano w tych samych latach. Stare kino pierwotnie było siedzibą Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Kinem stało się dopiero po wojnie i działało do końca lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Potem długie lata budynek stał pusty. Nieremontowany, był prawie jak strach na polu, do którego zlatują się wrony. Kilka lat temu ktoś go kupił, wyremontował i zrobił z niego obiekt usługowy z lokalami do wynajęcia. Moje biuro mieściło się tam od ponad roku. Właściciel oferował stosunkowo niski czynsz, nawet jak na tarnobrzeskie warunki, co było dla mnie ważne, ponieważ wówczas dopiero zaczynałem i liczyłem się z każdym wydatkiem. Właściwie wciąż się liczę. Otwarcie biura detektywistycznego było dla mnie zagranie *va banque*.

Przekroczyłem trzydziestkę, rozwiódłem się z żoną, z którą próbowaliśmy więc małżeńskie gniazdko w Lublinie, i wróciłem do Tarnobrzega. Tak naprawdę nie byłem do końca pewny decyzji, ale po rozwodzie musiałem coś zmienić w swoim życiu. Nie mogłem zostać w Lublinie. Za dużo wspomnień, a w ostatnich latach także zbyt dużo złych emocji. Licencję wyrobiłem sobie jeszcze w Lublinie, ale chyba nigdy poważnie nie przypuszczałem, że będę zajmował się pracą detektywistyczną. Był to czas, kiedy po skończonej polonistyce próbowałem odnaleźć się w życiu zawodowym. Zajmowałem się różnymi rzeczami, na przykład pracą w sklepie budowlanym, na magazynie. Chwytałem się różnych robót. Ponad rok temu zmarł mój ojciec i zostawił mi w Tarnobrzegu mieszkanie. Sprzedałem je, zainwestowałem w biuro, a sam wynająłem pokój u Danuty. Kiedy bardziej rozkręcę interes, może kupię coś własnego. Na kredyt, bo inaczej w tym kraju się nie da. Na razie jednak dobrze mi u niej.

Budynek, w którym mieściło się moje biuro, był podzielony na dwie części, do których prowadziły oddzielne wejścia. Jedna część była parterowa, druga dwukondygnacyjna. Ja miałem siedzibę w części parterowej, gdzie mieściła się także zajmująca dwa

pomieszczenia szkoła języków obcych. Jedno przeznaczone było na salę wykładową, drugie na sekretariat, który od mojego biura oddzielony był toaletą. Dwa lokale natomiast od dawna stały puste. Taka specyfika miasta. Więcej tu lokali do wynajęcia niż osób chętnych je wynająć.

W części z piętrem na parterze mieściła się hurtownia fryzjerska, stały dostawca Danuty, a na piętrze biuro podróży „Fatamorgana”. Swoją drogą w dobie bankructw tego typu placówek była to chyba dość ryzykowna nazwa. Ja przynajmniej miałbym pewne obiekcje, żeby skorzystać z usług takiego biura. Ale skoro funkcjonowało, najwyraźniej znajdowali się ryzykanci, którym nie przeszkadzała nazewnicza nonszalancja właścicieli biura.

Wszedłem do budynku. Dotarłem do moich drzwi i przekręciłem klucz. W środku było nieco chłodniej. Mimo to od razu uchyliłem okno. Lubię pracować, kiedy słyszę głosy ulicy. Sokola nie należy do najruchliwszych ulic Tarnobrzega, ale przez uchylone okno co jakiś czas wpadały odgłosy przejeżdżających aut i przechodzących ludzi. Siedziałem w fotelu, plecami do okna. Przede mną stało biurko, na którym znajdował się laptop. Po drugiej stronie biurka były dwa krzesła dla klientów. Po lewej stronie miałem sofę, na wypadek gdybym musiał spędzić noc w biurze, co jednak nie zdarzało się często. Mieszkałem przecież niedaleko. Po prawej znajdował się regał z książkami. Sama klasyka: Chandler, Macdonald, Hammett. Ulubieni autorzy. Mamy więc z Danutą podobne upodobania. Za regałem ustawiłem stolik z kawą, herbatą i czajnikiem elektrycznym. Tyle. Uznałem, że więcej nie potrzebuję, zwłaszcza że wszelkie dane przechowywałem w laptopie, którego właśnie uruchamiałem. Na początek zalogowałem się na fejsie, praca przecież nie ucieknie.

Skutkiem sierpniowego słońca była najwyraźniej nie tylko brunatna opalenizna, ale też brunatne myśli. W rozgrzanych głowach puściły wszystkie hamulce. A wszystko za sprawą fali uchodźców z Syrii. Przewijałem aktualności i miałem wrażenie, że na ekranie wartkim strumieniem płynie najgorszy rynsztok, który ujście powinien mieć raczej w szambie, a nie na portalu społecznościowym. Tak jakby zwyczajni ludzie nagle wylali z siebie głęboko tłumioną życiową

frustrację, niezadowolenie i najzwyklejszą ksenofobię, w wielu przypadkach ocierającą się o jawny rasizm. Ja pierdolę, co im odbiło. Szczerze mówiąc, sam nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć, ale daleki byłem od języka, który przypominał mi najmroczniejsze czasy w historii ludzkości. Wylogowałem się, splotłem dłonie za głową i odchyliłem w fotelu, biorąc głęboki wdech, a potem wydech.

Następnie zacząłem porządkować pliki z niedawno zamkniętej sprawy. Jakiś czas temu zgłosiła się do mnie Natalia Podsiadło, moja nauczycielka z podstawówki. Tu naprawdę prawie wszyscy się znają. Niezmiernie się ucieszyła, że postanowiłem wrócić do Tarnobrzega, z którego z reguły wszyscy wyjeżdżają. Tak się ucieszyła, że wyszedłem na ludzi, że nie omieszkała, jak za dawnych lat, zmierzić mi czupryny. Ja natomiast prawie wyszedłem z roli detektywa, stając się znowu uczniakiem. Życie w Lublinie miało przynajmniej tę zaletę, że dla większości spotykanych ludzi byłem zupełnie anonimowy. Za sympatycznym uśmiechem kryła się autentyczna sympatia, a nie na przykład wspomnienie o tym, jak to za dzieciaka zlałem się w gacie albo w czasach licealnych porzygałem się pierwszy raz po alkoholu. Ale to nie na temat. Natalia przysłała do mnie z delikatną sprawą, z którą nie chciała iść na policję, bo sprawca był jeszcze nieletni, no i po co mu mieszać niepotrzebnie w życiorysie, uzasadniała. Wystarczy, jak uda się go sprowadzić na właściwą drogę. Potrzebowała tylko dowodów, by przedstawić je rodzicom smarkacza, którzy już powinni się nim odpowiednio zająć. Dzieciak miał nietypowe hobby, które moim zdaniem kwalifikowało go na przyszłego psychopata i mordercę. Dręczył domowe zwierzęta, którym na koniec zdzierał skórę. Miły dzieciak, prawda? Zebranie dowodów okazało się banalnie proste. Jediną trudnością było nakłonienie rodziców, aby pokazali mi komputer chłopaka, od czego postanowiłem rozpocząć śledztwo. Sami nigdy nie zaglądali do komputera syna, dając mu dużo swobody i prywatności. Tym bardziej nie byli skorzy do pokazywania go obcej osobie. Zamachałem im przed oczami legitymacją, powiedziałem, że chodzi mi o sprawdzenie tylko konkretnych rzeczy, i w końcu ustąpili. Choć niechętnie. Na komputerze smarkacza znajdowały się pliki ze zdjęciami „zbrodni”,

których dokonywał. Jego starzy, para szanowanych dentystów, nie mogli w to uwierzyć. Kiedy wszystko wyszło na jaw, zaczęli się nim bardziej zajmować. Teraz podobno jest nawet ministrantem i co niedzielę służy do mszy u dominikanów. Doigrał się.

– Agnieszka Segdalska – głośno wymówiłem nazwę kolejnego pliku.

Typowa sprawa, z jaką zwykle mam do czynienia, czyli zdrada małżeńska. Kobieta przysłała do mnie miesiąc temu, bo podejrzewała, że mąż ją zdradza. Nie myliła się. Mam już wszystkie dowody, łącznie ze zdjęciami, i mógłbym już tę sprawę zakończyć. Babka jednak jest dziana i sownie mnie wynagrodzi. Przeciągnę ją więc jeszcze przez tydzień. W końcu za każdy dodatkowy dzień zamierza mi zapłacić. Czasami i ja muszę kombinować. Tarnobrzeg to nie Nowy Jork, Warszawa, a nawet nie Sandomierz ojca Mateusza, a ja muszę płacić rachunki. Wyjdzie nam to na dobre. Kobieta nie zbiednieje, a ja będę miał kasę na czynsz u Danuty. Poza tym biznes is biznes. Robota jak każda inna. Nie jestem obciążony żadną misją ani traumatycznym wydarzeniem z dzieciństwa, które zdecydowało o mojej drodze życiowej. Taki po prostu ze mnie młody przedsiębiorczy.

Utworzyłem nowy folder, ale zanim wpisałem jego nazwę i kliknąłem enter, zawahałem się. Jeszcze nie byłem pewien, czy zajmę się tą sprawą. Z jednej strony, jeśli chcę wychodzić finansowo na swoje, powinienem brać wszystko, z czym do mnie przychodzą. Ale ta sprawa wymagała głębszego zastanowienia, bo z pozoru wszystko wydawało się przesądzone. A ja nie lubię tracić czasu. Pozorna strata czasu nazywała się Olga Lewicka-Haddad i miała najlepsze pośladki, jakie ostatnimi czasy miałem okazję podziwiać.

Przyszła dziś rano. Ubrana w czarną sukienkę, miała rozpuszczone i odgarnięte do tyłu długie ciemne włosy. Monica Bellucci, pomyślałem i poprawiłem okulary. Ona, jakby rzeczywiście grała w jakimś filmie, usiadła na krześle i wyciągnęła papierosa, który w kilka sekund dodatkowo podkreślił zmysłowość jej nadzwyczaj pełnych ust. Prawie sięgnąłem do szuflady biurka w poszukiwaniu jakiegokolwiek paczki zapalek lub zapalniczki, których oczywiście nie miałem, i wyobraziłem sobie, że podaję jej ogień, jak w starym filmie *Malena*. Ale zamiast tego bez sensu powiedziałem:

- Tu nie wolno palić.
- Nie widziałam zakazu.
- No to właśnie pani zakazuje.

Wzruszyła ramionami. Schowała papierosa do paczki, która następnie zniknęła w jej torebce. W tym czasie przyjrzałem się jej piersiom. Były drobne. Cóż, pewnie nie można mieć wszystkiego.

– Czym mogę pani służyć? – zapytałem, kiedy już załatwiliśmy sprawę palenia.

– Czy moglibyśmy mówić sobie na ty? To chyba nie czarny kryminał, gdzie bohaterowie przechodzą na ty dopiero po pierwszym pocałunku. – Wstała, podeszła do regału z książkami i palcem przejechała po grzbietach książek. Ja spojrzenie zawiesiłem na jej pośladkach. Było to nie mniej ekscytujące niż dotykanie starych wydań klasyków. O ile oczywiście ktoś to lubi. Klasyków i kobiece pośladki.

Zapadło między nami milczenie. Napięcie rosło. Czasem spotykam kobiety, na widok których od razu mam ochotę ściągnąć z nich ubranie. Olga zdecydowanie do nich należała. Postanowiłem zagrać *va banque*.

– Aluzja wydaje się oczywista. Bardzo chętnie przejdę do konkretów – odpowiedziałem. Po chwili wyciągnąłem dłoń i przedstawiłem się: – Kuba.

Podeszła, uścisnęła wyciągniętą dłoń i powiedziała:

– Olga. Ktoś bardziej przeczulony mógłby dać ci w mordę za te, hm... – zawiesiła głos, a w kącikach jej ust pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech – konkrety – zaakcentowała ostatnie słowo.

– I taka bywa gra wstępna.

– Zdaje się, że dużo wiesz na ten temat.

– Więcej jeśli chodzi o dostawanie w mordę niż o grę wstępną. Ale jeśli dobrze zrozumiałem, ty nie jesteś przeczulona.

– To sokół maltański? – zmieniła temat, spoglądając na moje przedramię.

– Lubimy te same filmy – wysunąłem szybki wniosek.

– Lubię detektywów. – Teraz nie miałem złudzeń, że też na mnie leci. Fanka Sama Spade'a. Mogłem go dla niej zagrać. Oczami

wyobraźni zobaczyłem Olę w stroju pokojówki, który zmysłowo dla mnie zdejmuję.

– I dlatego tu przyszłaś? – Postanowiłem skończyć tę grę i przejść dalej.

– Jasne, że nie. Chodzi o mojego syna, Igora Haddada. Pewnie słyszałaś.

Oczywiście, że słyszałem. Pod koniec czerwca zrzucił swoją dziewczynę z balkonu. Znaleziony na miejscu zbrodni. Mętne tłumaczenie. Żadnego alibi. Sąsiadka słyszała, jak przed tragedią kłócił się ze swoją dziewczyną. Sprawa była jasna. Chłopak siedzi w areszcie. Czekają na proces.

– On tego nie zrobił – zapewniła Olga. Ja jednak zastanawiałem się, ile w takim razie może mieć lat. Igor miał dziewiętnaście. Jeśli urodził go w wieku dwudziestu, to teraz niechybnie zbliżała się do czterdziestki. Wyglądała na znacznie młodszą.

– Czego ode mnie oczekujesz? – Spróbowałem się skupić na tym, co mówi.

– Chciałabym, żebyś znalazł dowody na to, że Igor tego nie zrobił. On nie może pójść do więzienia.

– To nie jest prosta sprawa – zacząłem. – Muszę się nad tym zastanowić. Zostaw mi numer telefonu, po południu oddzwonię.

Wyciągnęła z torebki mały notesik i czerwonym długopisem zapisała numer swojej komórki. Wziąłem kartkę do ręki, po czym pożegnaliśmy się.

Folder nazwałem „Olga-pośladki” i mocno wcisnąłem enter, mając nadzieję, że w niedalekiej przyszłości z podobnym impetem złożę dłonie na pośladkach Olgi-Bellucci. Nawet jeśli sprawa Igora okaże się stratą czasu, to być może będzie przyjemnie.

Rozdział 2

Wtorek, 11 sierpnia 2015

Przepraszam. Nie zaproponowałam panu nawet nic do picia. – Elżbieta Rodek siedziała na krześle i patrzyła przed siebie.

Znajdowaliśmy się na werandzie, która wyglądała na samowolkę budowlaną. Inne mieszkania na parterze nie miały nawet balkonów. Elżbieta Rodek, matka Karoliny Rodek, dziewczyny, która została zamordowana, a konkretnie: wyrzucona z balkonu, pod koniec czerwca, mieszkała w kawalerce na osiedlu Przywiśle. Mieszkanie składało się z jednego pokoju, łazienki oraz aneksu kuchennego. Dobudowana weranda, z góry ocieniona małym daszkiem, dodawała pomieszczeniu przestronności. Wciąż było upalnie i pomimo zadaszenia czuło się płynący z nieba żar. Ale Rodek zdawała się nie czuć nic. Rękawy czarnej bluzki okrywały jej chude ręce. Splecione dłonie spoczywały na fałdach długiej szarej spódnicy. Kilka razy rozluźniła uścisk, aby poskubać niedostrzegalną skórę wokół paznokcia. Wyglądała jak wrak człowieka, któremu cały świat zawałił się na głowę. Zapewne tak też się w jej przypadku stało. Brązowe włosy miała poprzetykane siwymi niteczkami, a dwucentymetrowy siwy odrost dodawał jej lat. Sucha skóra na policzkach pozbawiona była makijażu. Sińce pod oczami dowodziły, że kobieta dużo płacze oraz mało śpi, co zupełnie mnie nie dziwiło. Śmierć bliskiej osoby odciska piętno nie tylko na duszy. Elżbieta Rodek straciła córkę i tę traumę miała wypisaną na całym ciele. Nie była wyjątkiem.

Kiedy zdecydowałem się zająć sprawą Olgi, zadzwoniłem do niej od razu. Ucieszyła się. I mógłbym przysiąc, iż nie tylko dlatego, że zaoferowałem pomoc w oczyszczeniu jej syna z zarzutów. A może wyobraźnia płatała mi figle? Z drugiej strony, jeśli nie spróbuję, to się nie przekonam. Tylko ryzykanci piją szampana w towarzystwie

pięknych kobiet.

Następnie zadzwoniłem do Jurka.

– Jestem w kebabie na Mickiewicza – usłyszałem w słuchawce, po czym Orłowski się rozłączył.

Schowałem telefon do kieszeni, zamknąłem okno i opuściłem biuro, udając się na ulicę Mickiewicza. Robotnicy przy Słowackiego wciąż pracowali. A właściwie pracował jeden. Reszta usadowiła się w cieniu drzewa przy domu kultury. Kilku paliło papierosy, paru pałaszowało kanapki. Czy się stoi, czy się leży... Wiadomo. Sam w taki upał wolałbym siedzieć pod drzewem. Przy poczcie przeszedłem na drugą stronę ulicy. Chandler też siedział pod drzewem, ale nie tak jak robotnicy, bo nieruchomo i z łbem uniesionym ku górze. Jego czujne oczy śledziły każdy ruch gołębia, który przysiadł na jednej z gałęzi. Spróbowałem go pogłaskać. Ciało miał napięte. Poruszył tylko nieznacznie ogonem, dając mi do zrozumienia, że w tej chwili zupełnie nie jestem tu potrzebny. Odszedłem, mając nadzieję, że gołąb pójdzie po rozum do głowy i odleci. Mieliśmy z Danutą już dość zdobyczy, które Chandler ostatnio przynosił nam coraz częściej. Czasem była to mysz, innym razem wróbel lub właśnie gołąb. Wszystkie te dowody sympatii Chandlera lądowały w przydomowym pojemniku na śmieci, na co patrzył ze zdziwieniem. Jeśli tym razem to on próbował nas kupić, wybrał złą walutę.

Plac Antoniego Surowieckiego, który kiedyś był placem Republiki Tarnobrzskiej, opustoszał. Tylko dwa popiersia kąpały się w trzydziestostopniowym skwarze z głowami uniesionymi ku górze, błyszcząc od słońca jak wysmarowane oliwką ciała na plaży. Przeszedłem chodnikiem ocienionym szpalerem drzew i dotarłem do przejścia dla pieszych. Kebab, w którym czekał Jurek, znajdował się po drugiej stronie ulicy. Poczekąłem, aż przejadą auta, i szybkim krokiem przemierzyłem jezdnię. Zanim jednak wszedłem do kebabu, ustawiłem się w kolejce do bankomatu. Chciałem kupić coś do picia, więc potrzebowałem pieniędzy. Stałem za dwiema kobietami, których siwe włosy skryte były pod słomkowymi kapeluszami przeciwsłonecznymi. Jedna z nich przecierała czoło bawełnianą chusteczką.

– A słyszała pani? Do szkół tych zбочeńców powpuszczali – powiedziała ta z chusteczką.

– Co pani mówi? – zainteresowała się jej towarzyska i poprawiła kapelusz, który zsunął się jej na czoło.

– A tak. Pedalów, gejów, homofobów. – Przysunąłem głowę bliżej, bo miałem wrażenie, że się przesłyszałem. – Wychowania homoseksualnego nauczają.

– Po wyborach cała ta sodoma i gomora się skończy – nie wytrzymałem i wtrąciłem się do rozmowy. Kobiety jak na komendę spojrzwały na mnie podejrzliwie. – Pogonią tych wszystkich homofobów! Zobaczą panie.

– Młody i mądrze mówi – odezwała się staruszka z chusteczką.

– Wiem, co mówię. W końcu nie jestem... homofobem – dodałem z emfazą, żeby jeszcze miały szansę się zreflektować, jakie znaczenie ma użyte przez nie słowo.

– Teraz to nic nie wiadomo. Kiedyś chłop to był chłop, baba to baba – powiedziała ta w kapeluszu zsuwającym się na czoło. – Nie odróżnisz człowieka od homofoba, choć wydaje się taki normalny.

– Święta racja – podsumowałem.

Staruszki dłuższą chwilę walczyły z bankomatem, wybrały pieniądze i odeszły. Tak, homofob, jak morderca, wygląda normalnie. Może być także staruszką w słomkowym kapeluszu.

Wybrawszy pieniądze, wszedłem do lokalu. W środku królowała arabska muzyka. Lubilem ją tak samo jak relaksującą muzykę w supermarkecie. Gdyby nie fakt, że właśnie tu umówiłem się z Jurkiem, od razu bym wyszedł. Zapach orientalnych przypraw sprawił, że poczułem głód, ale kupiłem jedynie butelkę zimnej wody mineralnej. Rozejrzałem się. Zza połączanego filara wystawała męska stopa w białej skarpecie i brązowym sandale. Jurek siedział we wnęce od okna. Podszedłem. Zatapiał właśnie zęby w najlepszym kebabie w mieście. Kiedy mnie ujrzał, odłożył go na talerz i ruchem głowy wskazał mi miejsce naprzeciwko.

– Przekonała cię? – zapytał, wpatrując się we mnie uważnie.

– Powiedzmy, że miała kilka mocnych argumentów.

– A jeden z nich znajdował się od pasa w dół, patrząc od strony

pleców? – Jurek ugryzł kebaba, sos pociekł mu po brodzie. Stał go natychmiast papierową serwetką.

– Czyli jednak mówimy o Oldze?

– Nie udawaj, Kuba. Przecież wiesz, o kim mówię, i wiem, czego ode mnie chcesz. – Popił kebaba colą z pokrytej zimną wilgocią szklanki. – Była u mnie dziś rano i próbowała przekonywać, że Igor nie zabił tej dziewczyny. Ale dla mnie sprawa jest jasna. Gówniarz wypierdolił ją z balkonu. Koniec. Kropka. Powiedziała, że wynajmie ciebie i widać tak zrobiła.

Upiłem łyk wody z butelki, po czym poprosiłem Jurka, aby opowiedział mi wszystko, co wie o tej sprawie. Z początku niechętny, powiedział, co mógł. Ofiarą była Karolina Rodek, dwudziestojednoletnia studentka pielęgniarstwa w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Tarnobrzegu. Została wyrzucona z balkonu z mieszkania, które wynajmowała wspólnie z koleżanką. Mieszkanie znajdowało się na jedenastym piętrze wieżowca przy Zwierzynieckiej. Śmierć na miejscu. Igor Haddad, podejrzany, siedział w areszcie. Wszystko świadczyło przeciwko niemu. Oprócz tego, że został znaleziony na miejscu zbrodni i mętnie się tłumaczył, byli także świadkowie, którzy zeznali, iż kręcił się tamtego wieczoru w okolicy wieżowców. No i ta sąsiadka, która słyszała kłótnię Igora i Karoliny. Zapamiętałem ją, bo udzieliła nawet wywiadu „Kronice Dnia”. Każdy ma swoje pięć minut. Nieważne, jakim kosztem. Jurek podał mi także z pamięci nazwiska i adresy osób z najbliższego otoczenia ofiary oraz świadków, które zapisałem w telefonie, tworząc oddzielną notatkę. Nie to, że miał doskonałą pamięć, w Tarnobrzegu nietrudno zapamiętać adresy. Jak zresztą w każdym mniejszym mieście.

– Poza tym ta sprawa ma jeszcze jeden aspekt, który wcale mi się nie podoba – dodał na zakończenie. – Wszystko przez tych uchodźców, do których osobiście nic nie mam, ale ludzie wariują. Chłopakowi i za to się obrywa. Kiedy prowadzono go do aresztu, przed komendą zgromadziło się parę osób i wykrzykiwało rasistowskie hasła, których nawet nie chce mi się powtarzać. Zostali oczywiście fachowo uspokojeni, ale ludzi denerwuje, że jakiś ciapaty zamordował „naszą kobietę”. Wiesz, nagle pojawili się obrońcy

polskich kobiet. Mniejsza o to, że ten cały Igor to przecież nasz. Urodził się tu. Jego stary to co prawda rodowity Arab, ale ludzie o pewnej mentalności nawet dziadka czy pradziadka mogą ci wypomnieć, więc pewnie wypominają. Mnie to głównie obchodzi, ale akurat w tej sprawie, jak dla mnie, jest coś nie halo. Dodatkową robotę jeszcze mamy, bo ten cały stary Igora ma w mieście parę kebabów. Akurat nie ten – Jurek wzrokiem omiół lokal – i nie w centrum, ale na kilku osiedlach, i mu je zdemolowali. W ogóle to ten jego stary siedzi. Za morderstwo. Więc i to ludzi razi i tym łatwiej im osądzić chłopaka. Ja jestem pewien, że chłopak to zrobił, ale mnie to wyszło w śledztwie, nie po osądach. Mówię... według mnie stracisz tylko czas. Sprawa jest przesądzona. – Jurek skończył kebaba i wytarł dłonie chusteczką.

– I dlatego, że jest przesądzona, to się za nią wezmę – powiedziałem, co nie do końca było zgodne z prawdą. Postanowiłem się zająć tą sprawą ze względu na Olę. W szczególności ze względu na jej tyłek.

– Taaa... A potem mi powiesz, jakie Olga ma pośladki... – ironizował Jurek. Znał mnie dobrze.

– ...ale najpierw ruszę własne cztery litery – przerwałem mu, wstając. Jurek zaśmiał się rubasznie, co trochę do niego nie pasowało. Przez chwilę nawet zastanowiłem się, czy przypadkiem do szklanki coli nie dolał sobie czegoś mocniejszego. Pożegnałem się i wyszedłem.

Pierwszą osobą, z którą postanowiłem porozmawiać, była matka Karoliny, i właśnie z nią siedziałem na werandzie.

– Dziękuję. Nie trzeba – odpowiedziałem, chcąc ulżyć zakłopotanej kobiecie, chociaż z chęcią napiłbym się czegoś zimnego. Ale nie po to tutaj przyszedłem. – Proszę mi opowiedzieć o Karolinie. Jaka była. Z kim się spotykała, jakich miała znajomych.

Wiedziałem, że moje pytania sprawiają Elżbiecie Rodek ból, ale musiałem jak najwięcej dowiedzieć się o jej córce. Kobieta była już przesłuchiwana przez policję, ja prowadziłem jednak własne śledztwo. Poza tym policjanci mogli coś pominąć. Mogli nie zwrócić uwagi na ważny szczegół.

– Wychowałam ją sama. Jej ojciec zostawił nas, kiedy Karolcia była jeszcze mała. Nie płacił alimentów. Musiałam sprzedać nasze mieszkanie i kupić tę kłitkę. Z poborów sklepowej nie starczało mi na utrzymanie większego. Kisiłyśmy się tutaj obie, dopóki Karolina nie skończyła liceum. Potem znalazła pracę w tym ciucholandzie na Sandomierskiej, zaczęła studiować pielęgniarstwo i wyprowadziła się. Od dwóch lat mieszka... to znaczy mieszkała... – Głos Rodek załamał się. – Na Zwierzynieckiej. – Zrobiła krótką pauzę i kontynuowała: – Może to moja wina? Może ją źle wychowałam?

– Dlaczego pani tak sądzi?

Elżbieta pocierała nerwowo jedną dłońią o drugą. Miałem ochotę potrzymać ją za rękę, ale nie zrobiłem tego. Nie wypadało. Ale generalnie jestem wrażliwym gościem.

– Karolina wychowywała się bez ojca. Nie potrafiłam jej tego wynagrodzić. Mąż nie chciał utrzymywać z nami kontaktu. Nie miała więc w dzieciństwie żadnego męskiego ramienia, do którego mogłaby się przytulić. To pewnie dlatego tak wcześnie zaczęła się spotykać z mężczyznami. Wiem, że nie miała dobrej opinii, ale ja jej nie oceniałam. Była moją córką. Kochałam ją. Może gdyby rozsądniej wybierała sobie partnerów, toby jeszcze żyła. Ten Igor od początku mi się nie podobał. Bywał agresywny. Pobił swoją poprzednią dziewczynę, a teraz zabił moją Karolcię. – Ramiona Elżbiety zatrzęsły się, z jej ust wydobył się cichy szloch. Przetarła oczy chusteczką, którą wyciągnęła z rękawa, i spróbowała się uspokoić. – Wejdźmy może do środka – zaproponowała, kiedy słońce zaczęło nas razić w oczy. W mieszkaniu było duszno. Zauważyłem, że na jednej ze ścian zaczął tworzyć się grzyb. To przez brak wentylacji, pomyślałem. Trudno porządnie wywietrzyć mieszkanie, kiedy ma się tylko jedno okno przerobione na drzwi wyjściowe na prowizoryczną werandę. Kineskopowy telewizor na starej drewnianej komodzie pokryty był kurzem. Pościel na łóżku była w nieładzie, a na fioletowo-czarnym dywanie odznaczał się każdy paproch. W kącie walały się koty z kurzu. Zerknąwszy na zlew w kuchennym aneksie, ujrzałem stertę dawno niemytych naczyń. Elżbieta zaniedbała nie tylko siebie, ale i dom.

– Pewnie zastanawia się pan, jak się tutaj mieściłyśmy z Karoliną.

Myślałem już o czymś zupełnie innym, ale nie przerywałem. Rodek chciała się wygadać, a ja liczyłem na to, że z potoku jej słów wyłuskam coś istotnego.

– Ja spałam na łóżku, a Karolina na rozkładanym fotelu. Gorzej było w dzień. Każdy potrzebuje trochę prywatności. Zamknąć się w swoim pokoju. Mieć chwilę dla siebie. O to było nam trudno. Zwłaszcza że Karolina dorastała i chciała mieć swoje sprawy. Czasem nie wytrzymałyśmy napięcia i dochodziło do kłótni. Córka wyrzucała mi, że to pewnie przeze mnie jej ojciec nas zostawił. Może miała rację. Ale to już nieważne. Ja bardzo ją kochałam. To była dobra dziewczyna. I ambitna. Chciała skończyć to pielęgniarstwo i wyrwać się z Tarnobrzega. Marzyła o innym życiu. A ten chłopak jej wszystko odebrał. – Tym razem w oczach Elżbiety zamiast łez pojawiła się złość. – Nienawidzę go, wie pan? Nienawiść i smutek zzerają mnie od środka. Chciałabym pozbyć się tego ciężaru, ale nie potrafię.

– Współczuję pani – powiedziałem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

Skinęła głową i podeszła do oszklonego regału, zapewne jeszcze z czasów PRL-u. Do ręki wzięła wiklinowy koszyk.

– To są jej rzeczy, a właściwie jakieś szpargały. Nigdy nie lubiłam, kiedy wrzucała tu te wszystkie śmieci.

Spojrzałem na koszyk. Było w nim trochę paragonów, pomadka w różowym etui, karta lojalnościowa ze znanej sieciówki, paczka gum do żucia, tusz do rzes, kolorowe cienie do oczu. Nie znam się na tym zbyt dobrze. „Same szpargały”, jak powiedziała Elżbieta.– Była trochę bałaganiarą. Zostawiała nieumyte naczynia w zlewie, niedopitą herbatę. Ale kiedy odeszła, to wszystko stało się takie nieistotne. Człowiek tęskni nawet za tym jej bałaganiarstwem. Ile bym dała, aby znowu przyszła na swoją ulubioną zieloną herbatę, a brudny kubek wstawiła do zlewu. Chociaż teraz to i ja stałam się bałaganiarą. – Ogarnęła wzrokiem pokój.

– Mogę rzucić okiem na te szpargały? – Mimo gęstej atmosfery i żałoby bijącej z Elżbiety i jej zaniedbanego mieszkania starałem się

być rzeczowy. Bez słowa podała mi koszyk. Wziąłem do ręki pomadkę. Zwyczajna babska szminka. Jej kolor był dla mnie nieistotny, więc bez otwierania od razu ją odłożyłem. Tak jak tusz i cienie. Paragony pochodziły z różnych sieciówek, były głównie za buty. Karolina trzymała je pewnie na wypadek reklamacji. W koszyku nie było niczego, co byłoby dla mnie istotne. Oddałem go Elżbiecie.

– Policjantom tego nie pokazywałam. Zresztą, im się tak nie zwierzałam jak panu. Sama też w tym koszyku nie grzebię. Nie mam nawet serca wyrzucić tych paragonów, choć wiem, że Karolci już nie będą potrzebne. – Odłożyła koszyk na półkę.

– Mówiła pani, że córka wcześniej zaczęła się spotykać z mężczyznami. Czy utrzymywała kontakt z poprzednimi partnerami albo oprócz Igora spotykała się z kimś jeszcze? – zapytałem, bo odniosłem wrażenie, że Rodek sama z siebie przestała już mówić. Usiadła na łóżku. Zastanowiła się chwilę. Stałem przy drzwiach wyjściowych na werandę i oparłem o framugę.

– Czy ja wiem. Rzadko rozmawialiśmy o tych sprawach. Ludzie gadali, ale im nie wierzyłam. Wydaje mi się, że spotykała się tylko z tym Igorem. Kontaktów z poprzednimi partnerami raczej nie utrzymywała. Wie pan, była taką osobą, która pali za sobą wszystkie mosty. Jeśli zaczyna coś nowego, to porzuca stare na amen. Jak jej ojciec, choć nigdy jej tego nie mówiłam. Nigdy nie chciała być jak on. To by ją zdenerwowało.

– A co ludzie gadali?

– Ludzie z reguły gadają, co im ślina na język przyniesie. Mówili, że niby się z tym Igorem prowadzi, a jak jakiś kiwnie palcem, portfel pokaże, to mu od razu do auta wskakuje. Oczywiście przy mnie nigdy tak nie gadali. Parę życzliwych osób mi o tym doniosło. – Kiedy wypowiadała słowo „życzliwych”, zrobiła palcami znak, który oznaczał, iż słowo to bierze raczej w cudzysłów. – To jakieś ploty. Proszę w to nie wierzyć. Karolcia to była dobra dziewczyna.

Jak Laura Palmer, choć Tarnobrzeg to nie miasteczko Twin Peaks, pomyślałem, a głośno zapytałem:

– Czy miała wielu przyjaciół albo wrogów?

– O tych drugich nie wiem, a przyjaciół? Też sama nie wiem.

Znajomi ze szkoły, ten cały Igor, no i ta dziewczyna, co to z nią mieszkanie wynajmowała. Razem w tym ciucholandzie pracowały. Chyba najlepiej ją znała. Ja mam wrażenie, że się od siebie oddaliłyśmy. Więcej panu nie powiem.

Elżbieta Rodek podała mi nazwisko i adres koleżanki jej córki, po czym odprowadziła mnie do drzwi. Podziękowałem za poświęcony czas i wyszedłem. Jeśli nawet Rodek sądziła, że z córką się od siebie zbyt oddaliły, to i tak była w stanie udzielić mi wielu informacji. Młoda dziewczyna ze zszarganą reputacją, pragnąca wyrwać się z Tarnobrzega. A kto by nie chciał. Sam przecież kiedyś chciałem. I wyjechałem. Ale wróciłem. Życie w większym mieście nie przyniosło mi szczęścia. Ale to nie na temat.

„SIARA HOOL'S”. Krzykliwy napis na sklepie osiedlowym od razu rzucił mi się w oczy, kiedy opuściłem stary blok, w którym mieszkała Rodek. „JEBAC STALÓWKĘ!”, odkrzykiwał napis na niewielkim budynku przypominającym rozdzielnię prądu. Lokalna drużyna piłkarska, Siarka Tarnobrzeg, miała tu swój mocny fanklub. Poza tym przykrym faktem osiedle Przywiśle miało swój urok. Dużo zieleni, bliskość Wisły, nieopodal ścieżka rowerowa prowadząca prosto nad Jezioro Tarnobrzescie. Dość przyjemne miejsce do mieszkania. Jeśli zdecyduję się na zakup mieszkania, to poszukam go właśnie tu, pomyślałem.

Wciąż chciało mi się pić. Wszedłem do sklepu. Brunetka o znudzonym wyrazie twarzy żuła gumę, stojąc przy kasie. Druga, z włosami w kolorze dojrzałego pomidora, wykładała na półkę makarony. Po chwili do tej przy kasie podszedł mężczyzna z dwiema pustymi butelkami, które wymienił na dwie pełne. Pomyślałem, że zimny browar w taką pogodę dobrze mi zrobi. Wyciągnąłem z lodówki puszkę perły, zapłaciłem kartą i opuściłem sklep. Rozejrzałem się w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca, w którym mógłbym szybko wypić piwo. Skręciłem za róg. Z napisem „SIARA HOOL'S” za plecami poczułem się jak prawdziwy chuligan. Perła smakowała wyśmienicie. Ugasiła pragnienie. Zgniotłem puszkę i ruszyłem w kierunku osiedlowego śmietnika po drugiej stronie ulicy.

– Ej, panie, daj pan tę puszkę.

Nagle nie wiadomo skąd wyrósł przede mną mężczyzna o siwych włosach posklejanych w strąki, prawie jak dredy. Brudna koszulka i czarne paznokcie dowodziły, że człowiek ten dawno nie miał kontaktu z wodą. W dłoni trzymał drewniany kijek, którym zapewne przeszukiwał śmietniki. Nawet tu, w Tarnobrzegu, coraz częściej widywałem jemu podobnych przy śmietnikach. Grzebiąc w śmieciach wyrzuconych przez innych, szukali własnej waluty, za którą pewnie niewiele mogli kupić.

Podąłem mu puszkę.

– Dużo pan za to dostaje? – zapytałem, wskazując foliowy worek pełen puszek, który stał oparty o ceglanaą zabudowę śmietnika, coraz rzadziej występującą na tarnobrzeskich osiedlach i zastępowaną dużymi plastikowymi kontenerami.

– Eee. – Machnął ręką. – Tyle, co by „na gaz” starczyło. – Wykonał charakterystyczny ruch dłonią w okolicy szyi, po czym roześmiał się, jakby udało mu się opowiedzieć dobry dowcip.

– Zależy, ile tego gazu potrzebujecie – dodałem i poczułem, że zagrałem na jego czulej strunie. Mężczyzna zmieszał się i wbił wzrok w kijek wciąż trzymany w dłoni. Pomimo wystarczająco już sponiewieranej godności odczuwał wstyd.

– A co pan taki dociekliwy? Czy ja się pytam, ile takich puszek pod sklepem potrzebujecie wypić? – Najlepszą obroną jest atak, więc zaatakowałem. Nie czułem potrzeby tłumaczenia się mu, toteż wzruszyłem ramionami. Atmosfera się rozładowała. Wtedy bliżej przyjrzałem się mężczyźnie i w zniszczonej twarzy rozpoznałem znajome rysy. Wszyscy się tu znamy, ale czasem nie wypada się do tego przyznawać. Na przykład w tak kłopotliwej sytuacji. Albo dla wygody. Bywa to zabawne, kiedy na ulicy mijasz kumpla z podstawówki i obydwaj udajecie, że się nie znacie, chociaż obaj dobrze pamiętacie czasy, kiedy razem podkradaliście starym egzemplarze „Twojego Weekendu”. Sytuacja, w której się znalazłem, niewątpliwie była kłopotliwa. Mogłem udać, lecz postąpiłem inaczej.

– A czy my się przypadkiem nie znamy? – zignorowałem jego wcześniejsze pytanie i zadałem własne.

Spojrzenie mężczyzny stało się czujne. Jakby studiując moją twarz,

sięgał w głąb swojej przeszłości. Do dawnego życia, które zatarło się nawet w jego własnych wspomnieniach. Do życia czystych ubrań, regularnych posiłków, stałej pracy i mieszkania w bloku. Niedużego, może ze dwa pokoje, ale własnego. „Mareczek”, tak zwracał się do niego nie tylko mój ojciec, ale i matka oraz wszyscy ci, którzy znali Marka Krzywego, jednego z pierwszych przedsiębiorców w mieście, który w latach dziewięćdziesiątych zaczynał na stoisku targowym. Sprzedawał buty. Biznes się kręcił. Wynajął lokal na Czerwonym. Wszystko szło dobrze. Do czasu. Dziecko Mareczka i Zofii, jego żony, zaginęło. Ludzie różnie mówili. Podejrzewano nawet, że to Zofia zaciukała małego i pozbyła się ciała, którego do dziś nie odnaleziono. Mareczek zaczął pić, zaniedbywał sklep, więc szybko zbankrutował, Zofia zaczęła wyjeżdżać na saksy za granicę. Z jednego z takich wyjazdów już do niego nie wróciła. Równia pochyła, z której Mareczek nigdy już nie zawrócił. Na Czerwonym lokal, w którym mieścił się jego sklep, do dziś stoi niewynajęty. Wyblakły od słońca i deszczu brązowy szyld „OBUWIE” na odrapanej z farby kamienicy już prawie z niczym konkretnym się ludziom nie kojarzy.

Moi rodzice przyjaźnili się z Mareczkiem i jego żoną. Raz nawet byłem ze starym i Mareczkiem na rybach. Zanim mój ojciec się rozpił. I zanim stało się tamto. Ale to nie na temat. Siedzieliśmy od rana nad brzegiem Wisły. Panował jeszcze półmrok, kiedy zarzuciliśmy trzy wędki i otworzyliśmy pierwsze browary. Oni nie złapali żadnej ryby, ja nie złapałem bakcyła do wędkowania. Skończyło się na tym, że musiałem iść po matkę i Zofię, aby przyprowadziły swoich mężów do domu.

Stałem teraz i patrzyłem na Mareczka, który w jednej dłoni trzymał moją puszkę, w drugiej drewniany kijek, a oczy zdradzały wysiłek, z jakim przychodziło mu rozpoznanie twarzy z przeszłości. Zamienił wędkę na kijek, pomyślałem bez związku. Nagle twarz Mareczka rozpogodziła się, a sucha skóra na policzkach naprężyła. Rozpoznał mnie.

– Ano masz takie oczy jak Piotrek. Tylko że on nie musiał nosić okularów. Tęczówka taka ciemna, że ci się ze źrenicą zlewa. Jakbyś miał całe oczy czarne. Kuba. Żeś wyrósł. – Zbliżył się i poklepał mnie

po ramieniu, a ja poczułem, że śmierdzi. Mimo to nie odsunąłem się.
– Co tam u ojca słyhać?

– Zmarł ponad rok temu.

Mareczek zmieszał się. Będąc kloszardem, żył trochę poza cyklem śmierci i narodzin. Nie interesowały go, tak jak stare życie, które wyparł z pamięci.

– Dobry był z niego chłop. Choć trochę zagubiony. – Mareczek sposepniał, a ja miałem ochotę dodać, że mój stary był zwykłym chujem. Nawet jeśli starał się dbać o mnie i regularnie zabierać na obiady do „Smaka”. Powstrzymałem się, bo nie chciałem ciągnąć tematu. – Ej! – krzyknął nagle Mareczek i pobiegł w kierunku śmietnika, tym samym ucinając temat mojego starego, co było mi na rękę. Podążyłem za nim wzrokiem. Mężczyzna o wyglądzie zbliżonym do Mareczka: sklezione od brudu włosy, stara, zniszczona odzież, ciągnął worek z puszkami Mareczka, gdy ten okładał go drewnianym kijkiem. Po chwili mężczyzna miał dość walki i uniósł dłonie w pojednawczym geście. Puszki rozsypały się na chodniku i Mareczek zaczął je zbierać, wciąż odganiając tego drugiego, który pomimo porzucenia worka liczył, że skradnie choć kilka puszek. Chwytał dwie i zaczął uciekać. Rozzłoszczony Mareczek rzucił w niego kamieniem, który znalazł pod ręką. Nie trafił, więc uciekającemu pogroził tylko pięścią.

– Żebym cię tu więcej nie widział. Szukaj swojego śmietnika! – krzyczał za uciekającym, zgarniając puszki do worka.

Podszedłem i pomogłem mu je pozbierać. Podziękował skinieniem głowy.

– Aaaa – jęknął i machnął ręką. – Zagadałem się i prawie straciłbym dzisiejszy łup.

Poczułem się winny, więc zaproponowałem Mareczkowi wspólny browar. Oczy mu rozbłysły i z chęcią się zgodził. Kiedy byłem w sklepie, zadzwoniła do mnie Agnieszka Segdalska. Zapytała, czy mam już w jej sprawie jakieś konkrety. Powiedziałem, że jestem właśnie na akcji i niebawem się do niej odezwę, po czym rozłączyłem się bez pożegnania. Miałem także wiadomość od Danuty, w której prosiła, żebym kupił saszetki dla Chandlera.

À propos gołębia. Ostatecznie nie poszedł po rozum do głowy i nie odleciał. Po spotkaniu z Jurkiem w kebabie wróciłem do domu. Na wycieraczkę leżał on, Danuta leżała na kanapie w salonie, a Chandler patrzył wyczekująco na mnie, siedząc na schodach.

– Kuba, to ty?! – krzyknęła moja gospodyni z salonu, kiedy ominąwszy ptaka, otwierałem drzwi.

– Ja! – odkrzyknąłem.

Zeszła po skrzypiących schodach i westchnęła.

– Chandler znowu nam coś podrzucił. Tak że ten... Możesz coś z tym zrobić? Ja się brzydę.

Mogę. Jak zawsze. Gdy utylizowałem martwego ptaka, zacząłem zastanawiać się, czy Chandler znowu nie zaczyna ze mną się droczyć. W końcu to zawsze ja musiałem sprzątać te jego niespodzianki.

No ale teraz byłem w osiedlowym sklepie. Do czteropaka perły dołożyłem ulubione saszetki Chandlera i zapłaciłem należność.

Mareczek w jednej dłoni trzymał worek z puszkami, a w drugiej kijek, którym grzebał w śmietniku. Schylił się i podniósł niedopałek. Włożył do ust, poszukał zapalek w kieszeni brudnych spodni i zapalił. Kiedy mnie zobaczył, a raczej to, co niosłem w ręku, uśmiech ponownie zagościł na jego twarzy.

– Chodźmy na punkt widokowy. Tam siądziemy i wypijemy w spokoju. – Wskazał głową kierunek. Ruszyliśmy więc w stronę Wisły. Puszki w worku Mareczka chrzęściły. Mnie zawibrował telefon w kieszeni. SMS od Olgi: „Dziś wieczorem u mnie”. „Prasuję koszulę”, odpisałem. „Nie będzie Ci dziś potrzebna”, wystukała ona. „Dla Ciebie. Na rano. Do śniadania”, ja. „Nie przypominam sobie, żebyśmy mówili chociaż o kolacji”, ona. „Kolację proponuję dopiero po pierwszym śniadaniu”, ja. „Bądź punktualnie ;)”, zakończyła ona. Ja i Olga. Odbieraliśmy na tych samych falach. Poczuję to już od pierwszego wejrzenia. Ta szybka wymiana SMS-ów utwierdziła mnie w przekonaniu, że nie były to tylko moje wyobrażenia.

Punkt widokowy usytuowany był na skarpie. W dole „Fregata”, lokal na imprezy okolicznościowe, a za nim Wisła, która w wyniku suszy odsunęła się od swoich brzegów. Pięć lat temu niemal

rozsadziła wały. Dziś płynęła sennie, nikomu nie wadząc.

Mareczek pchnął nogą potłuczone butelki po piwie, które ktoś rozbił tuż przy jednej z ławek. Pod nią znalazł dwie puszki. Dołączyły do pozostałych. Punkt widokowy był drewnianą altaną, mającą w zamierzeniu być miejscem, z którego można by było poobserwować dolinę Wisły. Rzeczywistość zweryfikowała zamierzenia. Lunetę skradziono, został tylko metalowy statyw. Altanę zdemolowano. Punkt widokowy zmienił się w punkt spotkań okolicznych żuli i zbuntowanej młodzieży, wyładowującej tu swą agresję. Albo tłumiony popęd seksualny. „JEBACĆ ŻYDÓW!”, „JEBACĆ ISLAM!”, „JEBACĆ POLICJĘ!”, krzyczały napisy koślawo wypisane czarnym markerem. Znałem lepszy sposób na rozładowanie. Pomyślałem o Oldze.

Mareczek wypalił znalezionego peta do samego filtra, po czym zdusił go pod ciężkim butem. Zdecydowanie za grubym jak na tak gorący sierpień. Wyciągnąłem czteropak i podałem mu puszkę.

– A ty, Kuba, czego nie uciekłeś z Tarnobrzega? – zapytał, kiedy upił kilka łyków i otarł usta wierzchem dłoni.

– Uciekłem. Jak prawie każdy. Wróciłem ponad rok temu. Po śmierci ojca. Prowadzę biuro detektywistyczne. – W paru zdaniach streściłem mu ponad dziesięć ostatnich lat mojego życia.

– Detektywem? Tu? To pewno nie możesz odgonić się od zdradzanych żon, co? Bo co się tu innego u nas dzieje. – Zgniół puszkę i wrzucił ją do worka. Podałem mu drugą, którą tym razem pił, celebując każdy łyk, jakby degustował wykwintny bukiet smaków drogiego wina.

– Teraz na przykład próbuję udowodnić, że młody chłopak nie zabił swojej dziewczyny. Właśnie wracam od jej matki. Mieszka tu, na Wianku.

Pokrótce zrelacjonowałem mu sprawę Igora Haddada, nie zdradzając najistotniejszych szczegółów.

– Taki młody i se życie zmarnował. Przez babę. A bo to jedna taka po świecie chodzi? Teraz będzie siedział. Bo kto to zrobił, jak nie on? – Druga puszka zaszczękała w dłoniach Mareczka i wylądowała w worku.

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć – odpowiedziałem i także skończyłem drugie piwo. Pożegnałem Marczyka i wróciłem do domu.

Trzy wypite na szybko browary zaszumiały mi w głowie i kiedy wchodziłem do salonu (tego na górze), potknąłem się o ostatni schodek.

– Kuba, czy ty przypadkiem nie masz ostatnio problemu z alkoholem? – zapytała Danuta, podnosząc wzrok znad *Żegnaj, laleczko*, które czytała już chyba po raz setny. – Myślałam, że po ostatnim weekendzie na dłużej dasz sobie spokój.

– Nie, nie mam. W sklepie bez problemu mi go sprzedają, nie prosząc nawet o dowód – odparłem i usiadłem obok niej. – Zresztą prawdziwy detektyw zawsze pije. – Wskazałem głową książkę, którą trzymała w dłoniach.

– To literatura. W życiu trzeba być trzeźwym.

– Życie na trzeźwo jest nie do przyjęcia – odpowiedziałem zdaniem, które kiedyś gdzieś przeczytałem, ale nie pamiętałem gdzie. – Tak się o mnie martwisz, Danusiu? – Nie czekając na odpowiedź, przytuliłem ją, udając upojenie alkoholowe, pod wpływem którego przecież nie byłem.

Danuta roześmiała się i zderzyła mnie po głowie powieścią Chandlera.

– Na twoim miejscu bym uważał, jeśli chcesz tę książkę przeczytać kolejne sto razy. Przecież ona się już prawie rozlatuje! A wiesz, kogo spotkałem? – postanowiłem opowiedzieć jej o Marczyku.

– Butelkę piwa na pewno. Kogoś jeszcze?

– Oj, nie bądź już taka złośliwa. Marczyk. Pamiętasz? Tego, co miał kiedyś sklep na Czerwonym.

– Z butami?

– Tego właśnie.

– Podobno strasznie się stoczył. Ale kto by się nie załamał na jego miejscu. Gdzie go spotkałeś?

– Na Przywiślu. Byłem u matki Karoliny Rodek.

– Dowiedziałeś się czegoś istotnego?

Opowiedziałem Danucie o tym, czego się dowiedziałem, a także przybliżyłem jej moje spotkanie z Marczykiem. Na końcu dodając, że

saszetki dla Chandlera położyłem tam gdzie zawsze. Następnie rzuciłem okiem na godzinę w telefonie. Niebawem miałem się spotkać z Olgą. Kiedy już wyszykowałem się na spotkanie, wspomniałem Danucie, że nie wrócę na noc. Miałem wrażenie, że spojrzała na mnie podejrzliwie.

Olga mieszkała na Gajowej. Jednorodzinne domki sąsiadowały z jednej strony ze Zwierzyńcem, z drugiej z blokami, a sama Gajowa łączyła się ze Zwierzyniecką. To tam, z balkonu jednego z trzech wieżowców, została wyrzucona Karolina Rodek. Aby z Sokolej dostać się na Gajową, musiałbym przejść przez całe miasto. Autobus miejski właśnie mi uciekł, na taksówce chciałem zaoszczędzić. Pożyczanie auta od Danuty nie wchodziło w grę. Nie po ostatnim weekendzie. Podążyłem w kierunku placu Czerwonego. Dwa ogródki piwne powoli wypełniały się stałymi bywalcami. Gwarno robiło się także „Pod Bażantem”, pijalni dla prawdziwych twardzieli. Kiedy byłem na Sienkiewicza, w pobliżu Hali Targowej, zatrzymała się obok mnie srebrna taksówka. Od razu rozpoznałem wysłużoną mazdę Heńka, starego znajomego mojego ojca, z którym piłem w ostatni weekend. On, w przeciwieństwie do mojego starego, wiedział, co zrobić z życiem, kiedy skończyła się robota na kopalni. Od kilkunastu lat jeździł taksówką. Kokosów z tego nie było, ale przynajmniej miał jakieś zajęcie. Spotkałem go przypadkiem jakiś czas temu, robiąc zakupy w Biedronce na Czerwonym. Zaczęło się oczywiście od mojego ojca. A skończyło na weekendowym picu w „Green Pubie”, które o mały włos nie miało finału w klubie „Orbita”. Potem pewnie wylądowalibyśmy już tylko „Pod Bażantem”. Na szczęście Baśka, barmanka i znajoma Danuty, dała jej znać. Danuta przyjechała i z pomocą Baśki wpakowała nas do auta. Najpierw odwiozła Heńka. Potem wróciliśmy na Sokolą. Na Mickiewicza zarzygałem jej tapicerkę. Ale to nie na temat.

Heniek otworzył drzwi. Przywitaliśmy się, po czym zapytał:

- Podwieźć cię? Jadę na Bogdanówkę.
- To zmierzamy w tym samym kierunku. Pewnie – odpowiedziałem.

Heniek był najlepszym kumplem mojego starego. Takim do tańca, różańca i wódki. W sympatii, którą mi okazywał, była nuta sentymentu do ich relacji. Ucieszył się, że syn Piotrka wrócił do Tarnobrzega. Jego wyjechał za granicę.

– Danusia bardzo zła?

– Chyba już jej przeszło. Ona nie umie się długo gniewać.

– Moja stara jeszcze się do mnie nie odzywa. Zabalowałem jak za dawnych czasów z Piotrkiem – zaśmiał się Heniek. Skręcił w ulicę Mickiewicza, omijając tym samym jedno światła.

Minęliśmy Zamek Dzikowski, dawną siedzibę założycieli miasta, Tarnowskich. Po krótkim postoju na skrzyżowaniu Mickiewicza i Sikorskiego wjechaliśmy na Zwierzyniecką. Piechotą szedłbym prawie godzinę. Heniek jechał na Topolową, wysadził mnie więc przy rondzie, skąd pieszo doszedłem do Gajowej, mijając bloki z rasistowskimi hasłami. Tym razem ktoś miał chęć „jebać ciapatych”. Za blokami rozciągało się osiedle domków jednorodzinnych na Gajowej. Znalezienie domu Olgi nie stanowiło problemu. Otoczony był betonowym ogrodzeniem. Wjazd odgradzała kuta brama z furtką, za którą rozciągał się ogród, w sporej części składający się z równo przystrzyżonej trawy. Dalej rosły krzewy, których nazw nie znałem. Była tu także altana i huśtawka. Przed domem stało czarne volvo Olgi, którym przyjechała do mnie do biura.

Nacisnąłem guzik domofonu i usłyszałem jego sygnał. Dzwonił dłuższą chwilę, zanim Olga podniosła słuchawkę i bez słowa otworzyła furtkę. Pociągnąłem za klamkę. Furtka zaskrzypiała, jakby dawno nie była oliwiona, co trochę osłabiło wrażenie doskonałości, które miałem na początku. Będąc w środku, rozejrzałem się. Wprawdzie Olga nic nie wspominała o psie, ale odkąd zaatakował mnie kundel dentystów, rodziców tego smarkacza pastwiącego się nad zwierzętami, gdy pierwszy raz wchodziłem na ich posesję, jestem na tym punkcie przeczulony. Żaden pies nie nadbiegał w moim kierunku. Odetchnąłem z ulgą i ruszyłem w kierunku drzwi. Nie zdążyłem nawet dotknąć klamki, kiedy się otworzyły. Stała w nich Olga, nie uwierzycie, w stroju pokojówki. Chwyciła koszulkę na mojej piersi i wciągnęła mnie do środka. Ledwo zdążyłem zatrzasnąć za

sobą drzwi.

Rozdział 3

Noc z 11 na 12 sierpnia 2015

Elżbietę Rodek obudził deszcz uderzający o dach werandy. Wiatr poruszał firanką, która falowała, wpadając raz na zewnątrz, raz do środka mieszkania. Niebo cięły błyskawice, po których rozlegały się grzmoty. Raz po raz rozjaśniały zaniedbany pokój. Elżbieta usiadła na łóżku. Zasnęła w ubraniu, nie pamiętała chwili, w której zmorzył ją sen. Czasem po nocach, kiedy nie mogła zasnąć, przychodziła wreszcie taka, kiedy ciało zmęczone brakiem snu domagało się go tak intensywnie, że kobieta zasypiała zupełnie bezwiednie. Ruszyła teraz w kierunku drzwi na werandę, aby je zamknąć. Nagle ciszę między jednym a drugim grzmiotem przerwał dzwonek do drzwi wejściowych.

– Kto to może być o tej porze? – Spojrzała na wyświetlacz starej nokii. Było tuż po północy. Schowała telefon do torebki niedbale rzuconej obok łóżka. O sprawdzeniu połączeń i wiadomości nawet nie pomyślała. Od śmierci córki nikt do niej nie pisał, nie dzwonił. Poszła otworzyć drzwi. Spojrzała przez judasza, ale po drugiej stronie było zupełnie ciemno. Ktoś, kto składał jej wizytę o tak późnej porze, nie pofatygował się, aby włączyć światło na klatce schodowej. Zawahała się. Postanowiła wrócić do łóżka. Tym razem rozległo się pukanie do drzwi, które Elżbieta oceniła jako natarczywe. Machnęła ręką zirytowana i przekręciła zamek w drzwiach. Nie czuła strachu. Czy może spotkać ją coś gorszego od śmierci jedynej córki, pomyślała. Śmierć byłaby wybawieniem. Uchyliła drzwi. Za nimi stała ciemna postać. Przez panujący mrok Elżbieta nie mogła rozpoznać twarzy. Uchylone drzwi spowodowały, że w mieszkaniu zrobił się przeciąg. Firanka głośno załopotiała, zahaczając niemal o dach werandy. Kobieta odwróciła głowę. W tym samym momencie poczuła mocny cios w potylicę. Upadła i straciła przytomność.

Kiedy otwierała oczy, budząc się z zamroczenia, pierwszym uczuciem, które do niej dotarło, był ból z tyłu głowy. Burza

przycichła. Nadal błyskało i grzmiało, lecz odstępy między grzmotem a błyskiem były już dłuższe. Deszcz zelżał, ale wiatr wciąż poruszał białą firanką. Ktoś był w pokoju i przeszukiwał stary regał, zrzucając wszystko z półek. Wiklinowy koszyk z rzeczami Karoliny wylądował na podłodze. Kolorowe cienie pokruszyły się, tusz potoczył się pod łóżko, a z pomadki w różowym etui spadła nasadka. Osoba plądrująca mieszkanie Elżbiety Rodek pochyliła się. Paragony i karty, które również wypadły z koszyka, odgarnęła na bok i sięgnęła po pomadkę. Elżbieta spojrzała na drzwi. Gdy błysnęło, zauważyła, że zamek jest przekreślony i zamknięty. Gdybym chciała uciec tą drogą, nie zdążę, pomyślała. Złodziej zorientuje się, że przekreślę zamek, dopadnie mnie, zanim otworzę drzwi. Powoli przesunęła się w kierunku werandy. Wzrok utkwiała w torebce leżącej nieopodal łóżka. Chwyć ją i spróbuję uciec przez taras. Nie jest wysoko. A gdy będę na zewnątrz, zadzwonię po policję, układała plan, powoli pełzając po podłodze. Plan, który wydawał się w tej sytuacji najbardziej sensowny. Dotarła do łóżka. Chwyła torebkę. Wstała i obejrzała się za siebie. Złodziej był odwrócony plecami. W dłoni trzymał jakiś przedmiot, któremu przyglądał się z zainteresowaniem. W mroku Elżbieta nie mogła rozpoznać, co to było. Nagle błysk rozświetlił pokój. Postać odwróciła się i Elżbieta rozpoznała znajomą twarz. Jęknęła. Nie mogła w to uwierzyć. Złodziej wyciągnął nóż ze stojaka w aneksie kuchennym i zaczął się zbliżać. Zebrała wszystkie siły i wybiegła na werandę. Przeskoczyła przez barierkę. Upadła na krzak dzikiej róży rosnący tuż obok, raniąc nogi i ręce. Złodziej nie poszedł za nią. Włożyła dłoń do torebki i wyciągnęła telefon. Próbowała wybrać numer alarmowy, lecz drżące palce nie mogły trafić we właściwe przyciski. Deszcz znowu się wzmagił. Błyskało i grzmiało. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Postać nie rzuciła się za nią przez werandę, lecz jakby nigdy nic wyszła klatką schodową. Elżbieta spróbowała krzyknąć. Głos ugrzązł jej w gardle. Jedyńm wyjściem była ucieczka. Zaczęła biec, ile miała sił, w kierunku Wisły. Gdy dobiegła do pomnika Józefa Sarny, zatrzymała się. Za nim znajdowała się stroma skarpa, u podnóża której ciągnęła się szeroka wstęga rzeki. Szybko podjęła decyzję, by skręcić w kierunku starych schodów.

Gdyby tak udało mi się skryć w okolicach „Fregaty”, myślała. Miałabym czas wezwać pomoc. Przyspieszyła. Niemal czuła na plecach oddech mordercy. Jednak nie chciała śmierci. Chciała żyć, nawet jeśli tuż przed otwarciem drzwi goniącej ją postaci myślała, że śmierć byłaby dla niej wybawieniem. Biegła chodnikiem, którego pokruszone płyty i nierówności niechybnie groziły potknięciem. Deszcz przemoczył jej włosy i ubranie. Wiatr poruszał mocno drzewami. Szelest liści zagłuszał przyspieszone bicie jej serca. Zaczęła zbiegać po schodach, których stan, podobnie jak stan chodnika, pozostawiał wiele do życzenia. Potknęła się i upadła. Upuściła torebkę. Próbując wstać, chwyciła się murka przy schodach. Był porośnięty mchem i mokry od deszczu, nie zdołała go się złapać, jej dłoń się ześlizgnęła. Za to morderca stał nad nią pewnie. Zanim nóż kilkakrotnie zatopił w jej sercu, zdążyła zasłonić ręką twarz. Potem poczuła, jak stacza się w dół. Usłyszała odgłos kroków. Leżąc u podnóża schodów, zobaczyła ostatni obraz w życiu. Ciężkie ciemne buty, które się od niej oddalały.

Rozdział 4

Środa, 12 sierpnia 2015

Olga zatrzymała auto przy poczcie. Ja zatrzymałem wzrok na jej piersiach. W czarnym staniku, który założyła pod białą prześwitującą bluzkę, wydawały się większe niż za pierwszym razem i większe niż ostatniej nocy. Miałem ochotę wrócić do mieszkania Olgi i powtórzyć kilka rzeczy. Ochota wzmożła się jeszcze bardziej, kiedy Olga przysunęła usta i wsunęła język między moje wargi. Położyłem dłoń na jej udzie.

– Co robisz dziś wieczorem? – zapytała, odchyliwszy głowę. Zabrałem dłoń i poprawiłem okulary.

– To samo co wczoraj.

– Mógłbyś chociaż poczekać na zaproszenie.

– A po co masz się powtarzać?

Roześmiała się.

– To do wieczora, Kuba. – Założyła ciemne okulary i włączyła silnik. Wsiadłem. Po nocnej burzy nie było śladu. Kolejny gorący dzień w Tarnobrzegu. Małomiasteczkowy żar tropików. W końcu mamy palmy nad jeziorem.

Zaczekałem, aż Olga skręci w Mickiewicza, i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Nad robotnikami pracującymi na Słowackiego unosił się pył. Wysypywali żwir pod kostkę brukową na nowy chodnik i parking. Na schodach do domu stała Danuta i paliła papierosa. Kiedy mnie ujrzała, zgasiła niedopałek o barierkę i wyrzuciła pod drzewo, gdzie przedwczoraj Chandler czaił się na nieszczęsnego gołębia. Dziś już żaden ptak się tu nie zapuścił. Za Danutą podreptał Chandler. Czarny ogon falował wyniośle. Miałem wrażenie, że nasze stosunki znów się pogorszyły. Czyżby chodziło o tego gołębia? Nie zdążyłem pomyśleć, bo za plecami usłyszałem klakson, którego nie pomyliłbym z żadnym innym. Odwróciłem się. Za mną stał srebrny polonez caro. Drzwi od strony pasażera uchyliły się i ujrzałem

znajomą twarz z krótko ostrzyżoną czupryną w kolorze fioletowym niczym ornat księdza w adwent. Marcela Krupa machnęła do mnie i krzyknęła:

– Wsiadaj, Kuba!

– To porwanie?

– A czy wyglądasz na Baltazara Gąbkę?

– Karramba! – rzuciłem i wsiadłem do auta, zastanawiając się, czy „gimby to znajo”. Pewnie nie znajo. Nie to co ja i Marcela, pokolenie niedisneyowskiej dobranocki i *Teleranka*. Zналиśmy się od przedszkola. Potem była ta sama podstawówka i liceum. Kiedy ja zaliczałem się raczej do przeciętniaków, Marcela wyróżniała się na tle reszty klasy, a nawet szkoły. Nosila dredy i grzywkę oraz często zmieniała kolor włosów, czym denerwowała większą część ciała pedagogicznego. Poza tym miała fajne cycki, które śniły mi się po nocach. To przez nie wybrałem się na kilka koncertów, które organizowała razem z podobnymi do niej znajomymi. Muzyka nie przypadła mi do gustu. Idee tak. Prawa zwierząt, stop rasizmowi, prawa człowieka. Fajne czasy. Nie to co teraz. Kult żołnierzy wyklętych i Wielkiej Polski. Tylko cycki Marceli wciąż takie same. Podkochiwałem się w niej aż do matury. Potem przy jakimś piwie wyznała mi, że jest lesbijką. To było jak cios obuchem w głowę. Wizja moich dłoni na cyckach Marceli rozplynęła się niczym znikająca zorza polarna. Zatańczyła mi przed oczami, zostawiając mroczne niebo. Skończyliśmy szkołę średnią. Ja wyjechałem studiować polonistykę w Lublinie, ona dziennikarstwo w Krakowie. Podczas gdy ja nigdy nie zamierzałem wrócić do Tarnobrzega, Marcela od początku wiedziała, że wróci. Nie interesowała jej kariera w znanych redakcjach. Chciała pracować tu, w lokalnej gazecie, i działać na rzecz lokalnej społeczności. Cała Marcela. Ściągnęła tu nawet swoją dziewczynę, Patrycję, która podobno wciąż jeszcze się tu nie zaaklimatyzowała i miewa od czasu do czasu stany depresji. Ale to nie na temat. W każdym razie Marcela rzadko chce o tym rozmawiać. Pracuje w „Kronice Dnia”, którą jeśli czytam, to tylko dla tekstów Marceli.

– Foch? – Marcela skinęła głową w kierunku drzwi, za którymi kilka minut temu zniknęli Danuta i Chandler.

– Chyba tak. Czasem mam wrażenie, że ten kot chyba mnie jednak nie lubi. – Rozłożyłem dłonie w geście bezradności.

– Kot? – zdziwiła się Marcela. – Mówię o Danucie.

Tym razem to ja się zdziwiłem.

– Dlaczego Danuta miałaby się na mnie fochować? – zapytałem, niewiele rozumiejąc.

– Może dlatego, że właśnie wysiadłeś z auta Olgi Lewickiej-Haddad? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Marcela.

Zapiąłem pasy. Polonez ruszył.

– Neeee – zacząłem, śmiejąc się, bo w końcu załapałem, do czego zmierza Marcela. – Mieszkam u niej. Przyjaźnimy się. To wszystko. Poza tym Danuta mogłaby być moją matką.

– To atrakcyjna kobieta. Nie wygląda na swoje lata. Poza tym, Kuba, daj spokój. „Mogłaby być moją matką”, co to za tekst?

– Masz rację, marny. Ale innych argumentów nie potrzebuję. Między mną a Danutą nic nie ma. Może powiesz mi w końcu, dokąd mnie wiesz? – Zamknąłem temat Danuty i przeszedłem do konkretów.

Skreśliśmy w 1 Maja. Słońce odbijało się w oknach budynku Komendy Miejskiej Policji. Cukiernia, w której kupowałem Danucie jej ulubione kulki serowe, była już otwarta. Poczujęm głód. Olga nie zaproponowała mi śniadania. Właściwie to nie wiem, czy Olga w ogóle gotuje. I szczerze mówiąc, nie interesuje mnie to. Grunt, że jest dobra w inne klocki.

Przed kolejnym skrzyżowaniem Marcela zahamowała z piskiem opon. Wyrzuciło nas do przodu, po czym ponownie przycisnęło do foteli. Jak dobrze, że zapiąłem pasy, pomyślałem i westchnąłem z ulgą.

– Pieprzone elki! – krzyknęła Marcela i uderzyła w klakson. – No jedź! Czy po tym mieście musi ich tyle jeździć? – Spojrzała na mnie. Wzruszyłem ramionami. Nawet Justyna Steczkowska robiła prawko w Tarnobrzegu.

Po chwili kierowca elki ponownie uruchomił silnik. Ruszył. Marcela mijając auto, postukała się w czoło. Młoda dziewczyna za kierownicą bezradnie wzruszyła ramionami. „Przecież dopiero się

uczę”, wyczytałem z jej spojrzenia.

– W nocy było morderstwo – powiedziała Marcela, kiedy skręcaliśmy obok „Tapimy”. Jeśli przed chwilą czułem głód, to teraz zupełnie o nim zapomniałem. – Właśnie jedziemy na miejsce zbrodni. Kiedy cię zobaczyłam na Sokolej, pomyślałam, że chcesz to zobaczyć.

– Skąd wiesz? I kto został zamordowany?

– Mam informatora w policji. Ale ty o niczym nie wiesz, okej?

– Okej – odpowiedziałem, choć domyślałem się, kim jest informator Marceli. Domyślał się tego nawet Jurek. Przecież wszyscy się tutaj znamy. Nietrudno się domyślić, że brat Marceli, Dominik Krupa, policjant z wydziału kryminalnego, zdradza czasem siostrze mniej lub bardziej poufne informacje. Marcela jednak nigdy nie wykorzystwała ich ze szkodą dla prowadzonego śledztwa, więc Jurek póki co przemyka na to oko. Inna sprawa, że na miejscu jest już pewnie sporo gapiów i któryś z nich mógł dać cynk do lokalnej prasy. Ale to nie na temat. – A zamordowany? – Zniecierpliwiłem się, bo Marcela niepotrzebnie budowała napięcie.

– Zamordowana. To kobieta. Elżbieta Rodek. Matka Karoliny Rodek.

– Mówisz poważnie? – Informacja Marceli wprawiła mnie w osłupienie. – Wiem, kim jest, kim była – poprawiłem się – Elżbieta Rodek. Rozmawiałem z nią wczoraj. Prowadzę śledztwo w sprawie Karoliny Rodek. Na zlecenie Olgi.

Pomyślałem o tym, że tak naprawdę nigdy nie wiemy, kiedy z daną osobą rozmawiamy po raz ostatni. Nie wiedziałem tego wczoraj i nie wiedziałem tego kilkanaście lat temu, kiedy... Wyparłem natrętne wspomnienie, zadając pytanie Marceli:

– Gdzie to się stało? U niej w domu?

– Ciało znaleziono nad Wisłą. Niedaleko „Fregaty”. U podnóża tych starych schodów. Pamiętasz?

Pamiętałem. Tam z Marcelą piliśmy pierwsze wino i paliliśmy pierwsze papierosy. Do dziś ich nienawidzę. Papierosów, rzecz jasna.

– Wiesz coś więcej?

– Tylko tyle. Na więcej liczę na miejscu. Myślisz, że to ma jakiś związek ze śmiercią jej córki?

– Nie wiem, Marcela. Może. To by znaczyło, że powód śmierci Karoliny Rodek jest bardziej skomplikowany. Na razie wolę nie wyciągać pochopnych wniosków.

Minęliśmy pierwsze rondo. Byliśmy na Przywiślu.

– A ty co o tym sądzisz? Trochę pisałaś o śmierci Karoliny.

– Tak. Myślę, Kuba, że sprawa jest przesądzona. To jasne, że ten gówniarz ją zabił.

– Jurek też tak twierdzi.

Marcela zaparkowała pod delikatesami. Nad Wisłę ruszyliśmy piechotą. Po drodze spojrzałem na werandę, na której poprzedniego dnia rozmawiałem z Elżbietą. Zastanawiałem się, co takiego stało się w nocy. Dlaczego ktoś zamordował matkę Karoliny? Jak została zamordowana? I najważniejsze pytanie: kto to zrobił? Drzwi balkonowe były otwarte. W środku kręcili się technicy. Zabezpieczali ślady w mieszkaniu ofiary. Widocznie coś tam się wydarzyło, zanim kobieta znalazła się u podnóża schodów nad Wisłą. Zatrzymałem się.

– Nie idziesz? – zapytała Marcela, oglądając się na mnie.

– Tutaj mieszkała Elżbieta. – Wskazałem werandę z białą barierką.

– Chciałbym rzucić okiem.

– Jak chcesz. Ja od razu idę na miejsce zbrodni – powiedziała i popędziła w kierunku skarpy.

Marcela od razu przyjęła, że Rodek zamordowano nad Wisłą. Nawet jeśli tak było, chciałem przyjrzeć się bliżej jej mieszkaniu. Po co wyszła z niego w nocy? Ktoś ją odwiedził? Przed kimś uciekała? Stałem przy wejściu na klatkę schodową. Dzika róża przy barierce miała połamane gałęzie. Uciekała przez werandę?

– Co się stało z panią Elą?

Odwróciłem się. Patrzyły na mnie duże niebieskie oczy. Nieproporcjonalne do małej twarzy pokrytej piegami. Miedziane włosy związane w kitkę błyszcząły w słońcu. Dziewczynka trzymała w dłoniach małego szarego kota, który usilnie wyrywał się z jej uścisku.

– Nie wiem – odpowiedziałem, co właściwie było zgodne z prawdą. Uznałem, że więcej powinni powiedzieć jej rodzice. Jeśli takowych posiada.

– Ona nie żyje? – zapytała dziewczynka z błyskiem w oku. Odniosłem wrażenie, że moja twierdząca odpowiedź sprawiłaby jej satysfakcję. Za kilkanaście lat rude włosy przefarbuje na ciemny kolor, będzie się ubierać i malować na czarno, słuchać metalu i odprawiać czarne msze na cmentarzu, pomyślałem. Co oczywiście mogło być prawdą albo i nie. Szary kot jakby usłyszał moje myśli, bo wyrwał się ostatecznie z uścisku dziewczynki i uciekł na klatkę schodową.

– Też chciałbym wiedzieć – odpowiedziałem, wciąż nie mając zamiaru wyjawiać jej prawdy. Tym razem po to, aby nie dać jej satysfakcji.

– Nie żyje. Starucha na bank wykitowała, bo po co tu ta policja? – W oczach dziewczynki pojawiły się diabliki. Jej twarz mówiła: ale z ciebie głupek. Nawet ja, kilkuletnia dziewczynka, wiem, że kiedy policja węszy w mieszkaniu, to czuć trupem.

Nie lubię dzieci. Nie umiem z nimi rozmawiać. Tej tutaj też nie polubiłem. Już miałem jej coś odpowiedzieć, kiedy z wnętrza klatki rozległo się wołanie:

– Mela! Chodź do domu!

Mela nie poruszyła się nawet o milimetr.

– No chodź wreszcie!

Z klatki wyłoniła się Mela w wersji o co najmniej trzydzieści lat starszej. Te same piegi na twarzy, lecz zamiast rudych włosów czarna czupryna związana w kitkę. Jeśli przed Melą nakreśliłem przyszłość zbuntowanej metalówki, to jej matka, zgadywałem, mogła mieć ją już za sobą. Wciąż podkreślała oczy ciemnym cieniem. Wyraz jej twarzy zdradzał zrezygnowanie. Emanowało z niej przeżyte z jakimś trudem dotychczasowe życie, rozczarowanie i brak ambicji. Kiedy się zbliżyła, trzymając tego samego szarego kota, którego przed chwilą trzymała jej córka, poczułem od niej alkohol. Mela w okamgnieniu przemieniła się w potulną kilkulatkę. Pociągnęła matkę za rękę i rozplakała się. Kot, korzystając z okazji, ponownie uciekł. Widać nie lubił przebywać na rękach ani Meli, ani jej matki.

– Co się stało? – zapytała kobieta, próbując uspokoić córkę.

– Ten pan mówi, że pani Ela nie żyje.

– Czy pan jest normalny? Mówić takie rzeczy dziecku. Kim pan w ogóle jest?! – wyrzuciła wzburzona matka dziewczuchy.

– Przepraszam – odpowiedziałem. – Ma pani rację. Nie powinienem. – Właściwie to powinienem powiedzieć, że jej córka to wstrętna kłamczucha, ale się powstrzymałem. – Nazywam się Jakub Rau. Jestem prywatnym detektywem.

Kobieta niechętnie uściśniła mi dłoń.

– Myślałam, że akwizytorem. – Wzruszyłem na to ramionami. Nie pierwszy raz to przecież słyszałem. – Ilona Kwieciuch – dodała.

– Miło mi, pani Ilono – odpowiedziałem grzecznościowo. Wcale nie było mi miło. Zwłaszcza że Mela, ściskając rękę matki, ukradkowo pokazywała mi język. – Niczego nie sprzedaję. Jeśli już, to kupuję – kontynuowałem, choć nie do końca była to prawda. – Czy słyszała pani coś ostatniej nocy? – Sięgnąłem po portfel. Odliczyłem kwotę wystarczającą na pół litra. Kobiecie zabłyśły oczy. Każdego można kupić. Trzeba tylko znać... no właśnie, czasami i dosłownie, walutę. Jeśli chodzi o alkoholików, nie trzeba się długo zastanawiać.

– Słyszałam... – odpowiedziała, chowając pieniądze do kieszeni, i odwróciła głowę w kierunku mieszkania Elżbiety Rodek. – Ale niech im pan nic nie mówi. Nie chcę mieć kłopotów. Nie chcę im nic mówić ani z nimi rozmawiać.

Skinąłem głową na zgodę. Widocznie Ilona miała coś do ukrycia. Ale nie miałem zamiaru w to wnikać.

– Mieszkam obok. Nie mogłam spać. Z mieszkania Elżbiety dochodziły dziwne odgłosy. Jakby ktoś wyrzucał jakieś rzeczy na podłogę. Do tego szalała burza. Dawno już tak nie zarwałam nocy.

Miałem inne zdanie na temat ostatniej nocy. Wolałem jednak zatrzymać je dla siebie. Mimowolnie pomyślałem o Oldze. I o kolejnej nocy. Aby jednak rozmowa z Iloną nie przerodziła się w gadkę na temat jej problemów ze snem, zapytałem, czy słyszała coś jeszcze. To, co mi dotąd powiedziała, nie było rewelacją. Domyśliłem się tego po rzucie okiem na wnętrze mieszkania Elżbiety. Ktoś postrzącał wszystkie przedmioty z regału. Pytanie tylko: kto?

– Nie pyta pan, dlaczego słysząc takie odgłosy, nie zareagowałam? Dlaczego na przykład nie zajrzałam do Elżbiety? – odpowiedziała

pytaniem na moje pytanie.

Nie pytałem. Przeżywszy ponad trzydzieści lat, nie dziwiłem się brakiem jej reakcji. Człowiek może umierać na ulicy, a ludzie będą przechodzić obok, odwracając głowę w drugą stronę. Ale widząc, że odpowiedź przyniesie Ilonie ulgę, po chwili namysłu zapytałem dlaczego.

– Takie odgłosy często dochodziły z jej mieszkania. – Przypomniałem sobie niechlujny wygląd pokoju, naczynia w zlewie. Brud na podłodze. Nie widziałem poprzewracanych przedmiotów. Ale przecież mogła je z powrotem układać. – Była w ogromnej rozpacz – kontynuowała Ilona. – Czasem puszczały jej nerwy. Słyszałam wówczas płacz i przedmioty lądujące na podłodze. Także w nocy. Myślałam, że to po prostu jej kolejny napad.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

– To wszystko, co pani słyszała? – zapytałem, zamierzając odejść i żałując pieniędzy, które dałem kobiecie.

– Tak, to wszystko – odpowiedziała.

Pożegnałem się i chciałem już iść.

– To wszystko, co słyszałam, ale nie powiedziałam panu, co widziałam.

Odwróciłem się zaciekawiony. Być może pieniądze, które dałem, nie poszły jednak na marne.

– Te hałasy nie dawały mi spać, więc wstałam z łóżka. Usłyszałam, że ktoś wychodzi z mieszkania Elżbiety, i spojrzałam przez wizjer. Niestety, było ciemno, więc nie rozpoznałam, kim jest ta osoba, ale widziałam, że się pochyla. Jakby upuściła jakiś przedmiot i schylała się, aby go podnieść. Czy to w czymś panu pomoże?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Tak zawsze było na początku śledztwa. Zbierałem dane jak puzzle. Dopiero potem układały się w logiczną całość. – Ale dziękuję za informację – dodałem, pożegnałem się i ruszyłem w kierunku miejsca zbrodni. Czułem, że odprowadza mnie wzrok złośliwej Meli.

Gdy doszedłem do pomnika Józefa Sarny, skręciłem w prawo. Nocą tę drogę być może przemierzała Elżbieta Rodek. Musiała iść w deszczu. Na pewno nie wyszła z własnej woli. Kto nocą, w dodatku

w deszczu, wybiera się na spacer nad Wisłę? Na pewno nie taka osoba jak ona. Nie została zamordowana w mieszkaniu, o czym zdążyłem się przekonać, będąc na miejscu. Czyżby uciekała od osoby, którą widziała Ilona Kwieciuch? Mogło tak być. Prawdopodobnie wyszła przez werandę, o czym świadczyły połamane gałęzie dzikiej róży. Morderca wybrał inną drogę. Czy krzyczała? Czy nikt jej nie słyszał? I dlaczego uciekała w kierunku Wisły? W głowie kłębiły mi się pytania, z których najistotniejsze były te: Kto zabił Elżbietę Rodek? Dlaczego to zrobił? Czy jej śmierć ma związek z morderstwem jej córki? Gdyby tak było, Igor Haddad mógł być oskarżony niesłusznie.

Przestrzeń wokół schodów otoczona była biało-niebieską taśmą. Wokół zgromadzili się także gapie, którym policja wciąż kazała się odsuwać. Marcela rozmawiała z bratem. Spojrzałem w prawo na punkt widokowy, gdzie poprzedniego dnia piłem piwo z Mareczkiem. Przypomniałem sobie tabliczkę informującą, że obiekt jest monitorowany, ale jeszcze wczoraj zdążyłem się zorientować, że nie ma tam żadnej kamery. Ominąłem tłum gapiów i zszedłem niżej. Ciało Elżbiety już tam nie było. Może i lepiej. Wiem, jak to brzmi. Co to za detektyw, który nie chce nawet spojrzeć na ciało. Ale jakoś nie miałem ochoty widzieć martwej Elżbiety Rodek. Przecież rozmawialiśmy zaledwie wczoraj. Spojrzałem na budynki wokół „Fregaty”. Wprawdzie były tam dwie kamery, ale obie skierowane w kierunku podwórza. Nie było szans, aby nagrały coś ze sceny, która rozegrała się tu nocą.

Zobaczyłem Jurka. Podniósł taśmę i przeszedł pod nią, kierując się w moją stronę. Kiedy się zbliżył, wyciągnął rękę. Przywitaliśmy się w milczeniu. Z kieszeni wyciągnął papierosy. Zapalił. Chmura dymu poleciała w moją stronę. Zauważyłem, że jest we wczorajszym ubraniu, na nogach ma te same sandały, a na T-shircie niewielką plamę po musztardzie. Wyglądał jak ściągnięty z imprezy przy grillu. Czuć było od niego nieprzetrawiony alkohol. Zabalował, zasnął w ubraniu, a nad ranem ściągnęli go tutaj, wywnioskowałem. Cóż, taka praca.

- Kilka ciosów nożem... – zaczął bez zbędnych wstępów.
- ...no trzeba było kroić kiełbasę ostrożniej – dokończyłem, ruchem

głowy wskazując plamę na jego T-shircie.

Dłonią, w której nie trzymał papierosa, spróbował zetrzeć musztardę. Zasnęta, mogła zniknąć dopiero w praniu.

– Grill na działce. Kiedy zaczęła się burza, wszyscy się zwinęli. Ja zasnąłem w altance. – Jurek zaśmiał się jak nastolatek, który drugiemu nastolatkowi opowiada o tym, jak to zachlał na ostatniej imprezie. Pomimo upływu lat wciąż widocznie bawiły go takie poalkoholowe ekscesy. – Ale...

– Ale to nie na temat – ponownie dokończyłem za niego.

Zaciągnął się papierosem i spojrzał na miejsce, gdzie pracowali technicy. Już się nie śmiał.

– Kilka ciosów nożem prosto w serce – powtórzył, tym razem kończąc.

Przypomniałem sobie wczorajszą rozmowę z Elżbietą. Wyglądała jak człowiek stojący nad grobem. Lecz w tym, kto ją zabił, nie dostrzegłem wybawiciela.

– Macie coś więcej?

– Mordercę.

Zaskoczony spojrzałem na Jurka.

– Zatrzymaliśmy Mareczka – dodał.

Moje zdziwienie urosło jak napompowany balon. Czekałem, aż Jurek spuści powietrze, mówiąc, że to żart. Nic takiego się nie stało.

– Nie wierzę. Dlaczego Mareczek miałby to zrobić? Rozmawiałem z nim wczoraj. Wypiliśmy piwo – wykrztusiłem, kiedy minęło pierwsze zdziwienie.

– Motyw rabunkowy. W gniazdku, które sobie uwił przy skarpie, znaleźliśmy torebkę zamordowanej, pusty portfel i nóż, którym ją zabił. Sam Mareczek zasnął pijany w śmietniku. Z niedopitą flaszką w dłoni. Kupił ją nocą na stacji benzynowej. Potwierdza to sprzedawca i monitoring.

– Mógł mieć pieniądze ze sprzedaży puszek. Zbierał je, kiedy go wczoraj spotkałem.

– To nie wyjaśnia, skąd torebka i nóż w jego melinie.

Jurek miał rację. Nie wyjaśniało.

– Przesłuchaliście go?

– Czekamy, aż wytrzeźwieje. Ale nie wygląda to dobrze. Jest pierwszym podejrzanym.

– Wierzysz w to, Walery? – Zwracając się bezpośrednio do Jurka, zawsze używałem jego imienia, a nie ksywy.

– To nie kwestia wiary. Na razie dowody świadczą przeciwko niemu. Zresztą, dopiero zaczynamy śledztwo. Poza tym, Kuba, nie mieszaj się w to. Daj mi pracować.

– Chyba że śmierć Elżbiety ma związek z morderstwem Karoliny. Wtedy będę musiał się wmieszać. Mam zlecenie – powiedziałem.

– A ja paragrafy. Nie zapominaj, że jesteś tylko detektywem – odpowiedział Jurek, gasząc papierosa.

Tak. Jasne. Jakbym cię nie znał, Walery, pomyślałem, a głośno powiedziałem:

– Morderca Karoliny dziwnym trafem także był od razu na miejscu... – zacząłem, ale tym razem Jurek przerwał mi:

– Jeden plus, że Mareczek nie jest śniady. Znowu rozpętałoby się piekło.

– Jakbyśmy mieli tu całe szwadrony uchodźców.

– Powiedz to tym, którzy będą manifestować w piątek.

– Obawiam się, że nie miałbym o czym z nimi rozmawiać – zakończyłem wymianę zdań z Jurkiem, który machnął na pożegnanie i wrócił za biało-niebieską taśmę.

Nie powiedziałem Jurkowi tego, czego dowiedziałem się od Ilony. Po pierwsze dlatego, że obiecałem jej, iż nie będzie miała problemów z policją. Po drugie, na razie chciałem tę informację mieć na własny użytek. Czułem, że w zabójstwie Elżbiety Rodek coś śmierdzi. Ktoś wszedł do jej mieszkania w konkretnym celu. Czegoś szukał. Sądząc po tym, co powiedziała Ilona, znalazł to. Czego mógł szukać morderca w mieszkaniu Elżbiety? I kim był, bo że nie zrobił tego Mareczek, byłem niemal pewny.

Marcela skończyła rozmawiać z bratem. Podeszła do mnie.

– Co ci powiedział Jurek? – zapytała, odgarniając fioletowy kosmyk z twarzy. Wciąż było gorąco, ale zaczął wiać delikatny wiatr.

– Właściwie tylko tyle, że mordercą jest Mareczek.

– Ciało znalazł cieć pilnujący „Fregaty”. Nic nie widział. Nic nie

słyszał. Spał. Znalazł zwłoki, kiedy robił obchód nad ranem, i od razu zawiadomił policję. Przeszukali teren wokół. Zajrzeli do meliny Marczka przy skarpie, gdzie znaleźli nóż i torebkę Rodek. A sam Marczek spał nieopodal w śmietniku. Tyle powiedział mi Dominik – zrelacjonowała Marcela. – Co o tym wszystkim sądzisz? – dodała.

– Wszystko wydaje się przesądzone – odpowiedziałem. Z nią także na razie nie chciałem się dzielić swoimi pierwszymi domysłami. – Podwiesz mnie do domu? Muszę wszystko przemyśleć.

– Jasne.

Ruszyliśmy w kierunku delikatesów, gdzie zaparkowała Marcela. Zanim wsiadłem do auta, kupiłem kilka browarów. Będzie mi się lepiej myślało.

Wysiadłem na Sokolej. Marcela pojechała do redakcji pisać artykuł. Miała temat na pierwszą stronę.

W salonie Danuty jak zwykle było głośno. Szum suszarki mieszał się z gwarem rozmów. Wszedłem na chwilę, aby się przywitać. Jeśli rano faktycznie zezłościła się na mnie, to po południu foch jej minął. Powiedziała, że była w sklepie „Wszystko po dwa złote i nie tylko” i kupiła dwa wiatraki. Jeden stoi w salonie na piętrze, drugi w moim pokoju. Z pewnością nie kosztowały dwa złote. No ale to pewnie ten asortyment spod znaku „...i nie tylko”. Trzy piwa zostawiłem w lodówce, a jedno wypłem od razu. Gdy wszedłem do pokoju, od razu pojawił się Chandler. Jeśli on także miał na mnie focha, to o tym zapomniał. Włączyłem wiatrak. Zrobiło się chłodniej i przyjemniej. Położyłem się na łóżku. Już po chwili Chandler ugniatał obok łapami pościel, mrużąc z zadowoleniem. Zwinął się w kłębek. Ja ułożyłem dłonie pod głowę. Myślałem o Karolinie i Elżbiecie Rodek. Zanim zasnąłem, zadzwoniła Agnieszka Segdalska. Ponownie zapewniłem ją, że niebawem się wszystkiego dowie.

Obudził mnie dźwięk MMS-a od Olgi. Wysłała mi swoje nagie zdjęcie. Spojrzałem na godzinę. Było po siódmej, więc przespałem prawie całe popołudnie. Oldze odpisałem, że będę na dziewiątą. Choć patrząc na zdjęcie, miałem ochotę pójść do niej od razu. Chciałem jednak porozmawiać jeszcze trochę z Danutą. Chandler wyciągnął się

obok mnie. Pogłaskałem go po brzuchu, dogadując, że zrobił się tłusty. Chyba się zbyt nie przejął, mrucał w najlepsze. A kiedy znudziły mu się moje pieszczoty, ugryzł mnie w palec. Wstałem, poprawiłem włosy i założyłem okulary. Wychodząc z pokoju, wyłączyłem wiatrak. Kot został, liżąc łapkę.

W salonie panowała niemal zupełna cisza, którą mącił jedynie cichy dźwięk włączonego wiatraka. Danuta siedziała na kanapie z laptopem na kolanach. Kręcone włosy, które, musiałem przyznać, zawsze mi się podobały, związała w kitkę. Obok piętrzył się stos zużytych chusteczek świadczących o tym, że Danuta płakała. Zawahałem się. Może nie chce, abym widział ją w takim stanie, pomyślałem, lecz mimo to wszedłem do salonu. Chyba jednak nie chciałem, żeby siedziała tak sama.

– Co robisz? – zapytałem.

Starła z policzka łzę. Do stosu zużytych chusteczek dołączyła kolejna.

– Oglądam stare zdjęcia Magdy i Roberta. Heniek mi je zeskanował. W ramach przeprosin za sobotę. Podrzucił mi dziś na pendrivie.

Magda i Robert to dzieci Danuty. Robert mieszka w Anglii, Magda w Szczecinie, ale nie chcą jej znać. Innym razem opowiem dlaczego, bo teraz to nie na temat.

Spojrzałem na zdjęcie. Koszmar z dzieciństwa każdego trzydziestolatka. Fota z Mikołajem. Choć nie jestem pewien, czy wciąż ich nie robią. Na kolanach faceta ze sztuczną brodą i oblepioną pozłotkiem różgą siedzi para przestraszonych dzieciaków. Mam podobne zdjęcie.

– Myślisz, że wciąż je robią?

– Co?

– Te paskudne pedofilskie zdjęcia.

– Oj, Kuba...

Danuta się roześmiała.

– No co? Zobacz tylko, gdzie ten facet trzyma rękę. Pod spódniczką Magdy.

Danuta przesunęła kolejne zdjęcie. Uśmiech został na jej twarzy. Ja poszedłem po piwo, rad, że znowu udało mi się ją rozśmieszyć.

– Byłabym zapomniała! – krzyknęła z góry. – Kupiłam ci także kubek z Bogartem.

Stał na suszarce, więc sięgnąłem po niego. Bogart w kapeluszu i płaszczu patrzył z nostalgią.

Kiedy wróciłem do salonu z butelką piwa w jednej dłoni, a z kubkiem w drugiej, Danuta sprzątała chusteczki.

– Piękny, prawda? – Wskazała na kubek. – Gdzieś wyczytałam, że twarz Bogarta ma wyraz szlachetnej rozpaczki. Piękne.

– A ja wyczytałem, że ten wyraz osiągał dzięki zakładaniu lewego buta na prawą stopę i odwrotnie. Pomysłowe – powiedziałem i przelałem piwo do kubka.

– Kuba... to kubek do picia herbaty – jęknęła Danuta.

– Myślę, że Bogart mógłby mieć inne zdanie – odrzekłem i wypilem kilka łyków.

Usiadłem na kanapie. Poczułem, że coś wrzyna mi się w pośladek. Usiadłem na szmince Danuty. Wziąłem ją do ręki i podałem jej, mówiąc, żeby uważała na te swoje kosmetyki.

– To nie kosmetyk, ale pendrive. Można go kupić w tym sklepie „Wszystko po dwa złote i nie tylko”. Mają tam różne gadżety. Miałam ci kupić taki w kształcie pocisku.

Prawie zakrztusiłem się piwem. Jak mogłem być tak głupi. Przecież pomadka, to znaczy pendrive Danuty, wyglądała identycznie jak ta szminka w domu Elżbiety Rodek. Zacząłem kojarzyć fakty. Tego właśnie mógł szukać morderca Elżbiety. Co było na pendrivie? Kto chciał go odszukać? Pytania kłębiły mi się w głowie. Odrzuciłem połączenie od Olgi, która zadzwoniła w tym samym momencie, i wybrałem numer Jurka. Chciałem wiedzieć, czy technicy zabezpieczający ślady w mieszkaniu Elżbiety natrafili na pendrive’a.

Rozdział 5

Czwartek, 13 sierpnia 2015, rano

Dzień moich trzydziestych drugich urodzin rozpoczął się od kaca i ucisku na klatce piersiowej. Kaca zafundowałem sobie sam. Ucisk na piersi fundował mi właśnie Chandler. Leżałem na wznak, a futrzak leżał na mnie. Był kolejny upalny poranek. Uczucie gorąca wzmagały kac i kot. Do moich uszu dochodził odgłos robót na Słowackiego. Robotnicy wypracowywali dzisiaj chyba sto procent normy. A przynajmniej ja odnosiłem takie wrażenie. Hałas dobiegający zza okna wwiercał mi się w mózg i tam eksplodował ze wzmożoną siłą. Otworzyłem oczy. Chandler wpatrywał się we mnie czujnie. Kiedy zauważył, że się budzę, zaczął mruścić, gniotąc łapami kołdrę na mojej piersi. Po chwili jedną łapę wyciągnął w kierunku mojej brody i szturchnął mnie nią kilka razy. Po czym uniósł się nieznacznie, zbliżając lekko wilgotny nos do mojego. Wysunął szorstki język i lizał mnie po nosie i policzkach, a kiedy doszedł do brody pokrytej dwudniowym zarostem, zaczął kąsać, co łaskotało mnie niezmiernie. Próbowałem odsunąć Chandlera od siebie, ale był uparty. Zacząłem więc go głaskać, zanosząc się śmiechem. Zacząłem od grzbietu i przeszedłem do miejsca pod brodą, gdzie uwielbia być pieszczony chyba każdy kot. A na pewno uwielbia to Chandler. Przestał mnie kąsać. Mruczał z zadowoleniem, momentami niemalże furcząc. Jedną dłonią gładziłem jego grzbiet, a drugą drapałem pod brodą aż do momentu, kiedy znudziły mu się pieszczoty i zaczął podgryzać moje palce. Zsunąłem go z piersi. Ułożył się obok i rozpoczął kocią toaletę, która pochłonęła go bez reszty.

Ja również przekręciłem się na bok. Na nocnej szafce stał kubek z Bogartem, który dostałem od Danuty. O ile wczoraj szlachetne w swej rozpaczach spojrzenie Bogarta nie robiło na mnie wrażenia, o tyle dziś odniosłem wrażenie, że spogląda na mnie z pobłażliwością. Humphrey patrzył na mnie tak, jak tylko może patrzeć jeden

alkoholik na drugiego. Ze zrozumieniem, ale jednocześnie ze świadomością porażki. Z poczuciem uwiecznienia w błędnym kole. Właściwie Bogart w płaszczu i kapeluszu wyglądał jak zbity pies, któremu dołożyć może każdy, kto nigdy nie znalazł się w takim błędnym kole. Na przykład ja. Mogę przecież przestać pić, kiedy tylko zechcę.

– Więc, panie Bogart, nie patrz na mnie tak, jakbyśmy byli złączeni wspólnym bólem. Nie jesteśmy – dodałem na głos i odwróciłem kubek, żeby Bogart mógł pogardzić czymś innym.

Założyłem okulary i ponownie przekręciłem się na wznak. Chandler skończył toaletę i wyciągnął się obok, leżąc na grzbiecie. Chyba spał. Ja zacząłem układać sobie w głowie wczorajszy wieczór z Jurkiem. Nie było to łatwe, bo części wieczoru po prostu nie pamiętałem.

Kiedy do niego zadzwoniłem, Jurek był na działce i znowu grillował. Jak powiedział, musiał odreagować morderstwo Elżbiety Rodek. Poza tym grilla z tamtego wieczoru przerwała burza i należało go skończyć, dodał. Kupiłem więc w Kauflandzie pół litra i kiełbaski sojowe, po czym poszedłem na działki przy Świętej Barbary. Przy samych działkach znajduje się kościół. Po drugiej stronie ulicy blokowisko. Zawsze gdy tam jestem, zastanawiam się, jak mieszkańcy tych bloków znoszą każdą niedzielę, kiedy to w kościele odprawia się kilka mszy. Zwłaszcza latem, gdy upał zmusza do otwarcia okien. Ale to nie na temat. W końcu ja tam nie mieszkam. Odszukałem działkę Jurka, co nie było trudne, bo impreza trwała w najlepsze. Dałem mu flaszkę, kiełbaski rzuciłem na grilla i po wysłuchaniu po raz kolejny powodów, dla których Jurek zdecydował się zostać gliną – chciał dorównać bratu, który był nawigatorem na lotnisku; brat już nie żyje, a Jurek wciąż musi znosić swój kierat – przeszedłem do rzeczy. Między jednym a drugim kieliszkiem zapytałem Jurka, czy w mieszkaniu Elżbiety został znaleziony pendrive w kształcie pomadki. Okazało się, że policjanci przeszukujący kawalerkę denatki go nie znaleźli. Potwierdziło się więc moje przekonanie, że może to być znaczący trop. O czym nie omieszkałem powiedzieć Jurkowi. Ktoś wszedł do mieszkania Elżbiety w konkretnym celu. Celem tym był ów przedmiot, a zwłaszcza to, co się na nim znajdowało. Oczywiście były

to na razie tylko przypuszczenia. Układałem przebieg wydarzeń z poszlak. Pytanie tylko: co było na nim nagrane? Przy Marcčku go nie znaleziono, więc to nie on go zabrał. Nie jego w takim razie widziała Ilona. Zresztą, po co Marcčkowi pendrive, skoro od lat żyje nawet bez telefonu komórkowego? Nie. Oskarżanie Marcčka o wtargnięcie do mieszkania Elżbiety, kradzież pendrive'a, a potem zabicie kobiety było według mnie dość naciągane. Niemniej dowody zbrodni znalezione w jego melinie świadczyły przeciwko niemu. Policja miała więc Marcčka. Następnego dnia miało odbyć się jego przesłuchanie. Ja miałem trudniejsze zadanie. Postanowiłem odnaleźć zaginiony pendrive, który doprowadziłby mnie do mordercy i być może powiązał śmierć Elżbiety ze śmiercią Karoliny. Jeszcze nie wiedziałem, jak to zrobić. Zresztą, impreza na działce zaczynała się rozkręcać. Myślenie przełożyłem na jutro, niczym Scarlett O'Hara, i sięgałem po każdy kieliszek, który podsuwał mi Jurek. Jutro nastąpiło, a myślenie na kacu przychodziło mi z trudem. Dziś miałem być w areszcie. Chciałem porozmawiać z Igorem Haddadem. I na tym postanowiłem się skupić. Poza tym, do cholery, Jurek także mógłby ruszyć dupę i zainteresować się tym pendrive'em. Albo zainteresować kogoś ze swoich podwładnych. Dominika Krupę na przykład. Ale tak jak wspomniałem, Jurek był małomiasteczkowym gliną, który nade wszystko cenił sobie spokój. Podejrzanego miał już w areszcie. Po co komplikować śledztwo.

– Sto lat, sto lat! – Zza uchylonych drzwi zabrzmiał głos Danuty. Roześmiałem się. Danuta potrafiła zafałszować nawet tak prostą melodię, co na swój sposób było urocze. Jak jej kręcone włosy.

Weszła do środka. W dłoniach trzymała tort, na którym paliły się dwie świece. Jedna w kształcie cyfry trzy, druga w kształcie dwójki. Spojrzałem na nie i przypomniałem sobie, że podobny tort na moje dwudzieste trzecie urodziny upiekła mi Anna. Wtedy jeszcze moja dziewczyna. Ale to nie na temat. Tylko cyfry były w odwrotnej kolejności, nie miałem kaca, a przyszłość wydawała się świetlana. W końcu miałem ją spędzić z Anną. Tak mi się wtedy wydawało.

Uniosłem się na łóżku i wtedy zorientowałem się, że nie mam gaci. Położyłem się z powrotem. Danuta postawiła tort na nocnym stoliku,

Chandler zbliżył się i go powąchał, po czym zorientowawszy się, że to żaden z jego przysmaków, odszedł. Prawdopodobnie zbiegł po schodach do kuchni i tam pałaszował swoje chrupki.

– Tak że ten... Wszystkiego najlepszego, Kuba – powiedziała Danuta i pocałowała mnie w policzek.

– Dziękuję – odrzekłem. – To co? Mam teraz pomyśleć życzenie i zdmuchnąć świeczki?

– Jeśli uważasz, że to niczym nie grozi.

– Fakt, mój oddech mógłby dziś rozpać iskrę w ognisku – odpowiedziałem, pośliniłem palce i dotknąłem palących się knotów. – I trzydzieści dwa lata poszły z dymem – dodałem.

– A pomyślałeś życzenie?

– Nic samo i tak nie przyjdzie – westchnąłem, choć przez głowę przebiegła mi myśl, że mógłbym sobie życzyć tego, aby za kolejną dekadę znalazł się jeszcze ktoś, kto także przyniesie mi tort. Życie samemu nie jest dla mnie. Myśl, że za dziesięć lat mogłoby nie być przy mnie nikogo, zasmuciła mnie tak, że przytuliłem Danutę i powiedziałem:

– Dziękuję, Danusiu. Jesteś wspaniała.

Ku mojemu zaskoczeniu nie zaprotestowała, choć po wczorajszej imprezie przy grillu nie tylko mój oddech nie pachniał różami. Przesunąłem dłoń w kierunku jej włosów. Kiedy miałem ją w nich zanurzyć, zadzwonił telefon.

Danuta odsunęła się. Ja sięgnąłem po telefon. Dzwoniła Olga. W pierwszej chwili chciałem odrzucić połączenie, ale uznałem, że kolejny unik z mojej strony będzie niegrzeczny. Poza tym liczyłem na przynajmniej jeszcze jedną wspólną noc. Odebrałem.

– Rozumiem, że nie musisz odbierać ode mnie telefonów po wspólnie spędzonej nocy, ale, do cholery, zatrudniłam cię i twoim cholernym obowiązkiem jest odbieranie telefonów ode mnie, chociażby z tego powodu! – krzyczała i byłem pewien, że Danuta ją usłyszała. Z jakiegoś powodu zrobiło mi się głupio, że tak się stało.

Owinąłem się kołdrą od pasa w dół i podszedłem do okna, za którym zrobiło się ciszej. Robotnicy pewnie mieli przerwę.

– Nie odbierałem, bo właśnie dla ciebie pracowałem – skłamałem,

bo właściwie nie miałem stuprocentowej pewności, że morderstwo Elżbiety Rodek było w jakimś stopniu powiązane ze śmiercią jej córki. Odwróciłem się. Danuty nie było. Wyszła bez słowa. – Jeśli dasz mi dziś wolne, z chęcią popracuję dla ciebie w innym charakterze – zaryzykowałem, choć zdążyłem się już zorientować, że taka bezpośredniość raczej Olgę kręci, niż odpycha.

Zaśmiała się. Miałem rację.

– Wpadnij późnym popołudniem. Ale jeśli dziś także mnie wystawisz, pozostaną nam tylko stosunki zawodowe.

– Jak by nie patrzeć, zawsze to jakieś stosunki – odpowiedziałem i poprawiłem zsuwającą się z bioder kołdrę.

– Cześć, Kuba – rzuciła Olga i rozłączyła się.

Odszukałem wczorajsze bokserki, które leżały pod łóżkiem, założyłem je i poszedłem pod prysznic. Kiedy się wykąpałem, spojrzałem w lustro. Uznałem, że z dwudniowym zarostem wyglądam bardziej męsko, i postanowiłem się nie golić. Ciekawe, czy Oldze też się spodoba. Potem ubrałem się i poszedłem porozmawiać z Igorem Haddadem. Danuta sprzątała w swoim salonie.

Zabiłeś Karolinę? – zadałem pierwsze pytanie.

Igor Haddad siedział naprzeciwko mnie. Ręce skrzyżował na piersi. Nogi wysunął prosto przed siebie. Głowę trzymał wysoko, a na jego twarzy błąkał się wyzywający uśmiech. Lewy kącik ust uniósł nieco wyżej. Wargi odsłoniły białe zęby. Był młody, przystojny i pewny siebie.

– Może tak. Może nie. Jakie to ma znaczenie. Karolina nie żyje – odpowiedział, wciąż patrząc beczelnie.

– Takie, że jeśli to zrobiłeś, to resztę życia przesiedzisz w pierdłu. Tego chcesz?

– Odnoszę wrażenie, że nawet jeśli bym tego nie zrobił, to i tak takie właśnie czeka mnie życie. Nawet mój adwokat twierdzi, że sprawa jest beznadziejna. Pały już dawno postawiły na mnie krzyżyk.

– Strażnik, który był obecny podczas naszej rozmowy, chrząknął.

– Olga twierdzi inaczej. Dlatego mnie wynajęła. Chciałbym poznać twoją wersję wydarzeń.

Chłopak westchnął.

– Mogłem się tego domyślić. A co, jeśli to ja zabiłem Karolinę? Była dziewczynę kiedyś pobiłem. Mój stary ma morderstwo na koncie. Jaki ojciec, taki syn, co nie?

– A może: jaka matka? – zapytałem, choć podobieństwa do Olgi nie dostrzegłem.

– Moja matka nie żyje. Ojciec ją zabił.

Po raz pierwszy musiałem przyznać, że okulary bez antyrefleksów były dobrym wyborem. Dzięki temu Igor widział w nich teraz odbicie światła z okna za plecami zamiast moich zdziwionych oczu.

– Olga jest jego drugą żoną. Choć nie zawsze tak się zachowywała, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Nie wiedziałem. Za chwilę miałem się dowiedzieć.

– Dla mnie nic nie znaczy. Kilka razy poszliśmy do łóżka. Jestem młody, więc skorzystałem. – Uśmiech z lekko uniesionym kącikiem ust nie zniknął z jego twarzy. – Ale kochałem tylko Karolinę. Nieważne, czy ją zabiłem, czy nie. Bez niej moje życie nie ma już sensu. Mogę przesiedzieć je w pierdłu.

Wyszedłem, mówiąc, że to jeszcze nie koniec naszej rozmowy. Dlaczego Olga nie powiedziała mi tak oczywistej rzeczy? Przecież prędzej czy później bym się tego dowiedział. Wszyscy się tu znamy, ale skrywamy przed sobą sekrety. To, czego się dowiedziałem, w niekorzystnej sytuacji stawiało samą Olę. A co, jeśli to ona zabiła dziewczynę Igora? Zazdrość i nieodwzajemnione uczucie to czasem wystarczający motyw. Dlaczego jednak przyszła do mnie? Może liczyła na to, że jeśli się ze mną prześpi, pomogę jej wypłatać Igora z beznadziejnej sytuacji, w której się znalazł, a policji dam kogoś innego? Jeśli tak pomyślała, widocznie źle przeczytała Hammetta. Z drugiej strony każdego można kupić. Trzeba tylko znać odpowiednią walutę. Lecz w tym wypadku Olga zagrała złą walutą. O ile w ogóle to była gra.

Rozdział 6

Czwartek, 13 sierpnia, południe

Cześć, tato. – W słuchawce rozległ się głos młodego mężczyzny mówiącego z wyraźnym niemieckim akcentem. – Czy coś się stało? Wikusia miała dziesięć nieodebranych połączeń.

Komisarz Walery Orłowski otarł pot z czoła, próbując sobie przypomnieć, kiedy wykonał połączenia do córki, lecz rekonstrukcja wydarzeń z poprzedniego wieczoru sprawiała mu trudność. Przyszedł Kuba z flaszką wódki, a impreza przy grillu przeciągnęła się. To pamiętał na pewno. Nie pamiętał natomiast, o czym dokładnie rozmawiali, oraz nie pamiętał tych dziesięciu połączeń do Wikusi. Jego Wikusi. Chociaż odkąd wyszła za mąż za Karła, w pewnym stopniu przestała być tylko jego Wikusią. Trochę go denerwowało, że Karl także zwraca się do niej tym samym zdrobnieniem, ale musiał się z tym pogodzić. Zwłaszcza że Wiktorcia nie miała nic przeciwko, aby mąż zwracał się do niej tak samo jak ojciec.

Walery Orłowski zmrużył oczy. Oparł łokcie o blat biurka i jak w przyspieszonym filmie przesunął w pamięci dzieciństwo i dorastanie córki. Kiedy się urodziła, był najszcześliwszym ojcem na świecie. I chyba najbardziej pijanym. Czekając na wieści ze szpitala, opróżnił flaszkę wódki. Gdy usłyszał, że jest ojcem zdrowej dziewczynki, nie krył łez i wzruszenia. Poczuł, że coś w jego dotychczasowym życiu się zmieniło, i obiecał sobie, że zawsze będzie chronił to nowe życie, któremu dali początek razem z Barbarą. Wiktorcia od razu stała się oczkiem w głowie tatusia, jak mawiała Barbara – i miała rację. Walery angażował się w wychowanie córki. Spędzał z nią każdą wolną chwilę. Nie był gliniarzem, którego ciągle nie ma w domu i który przez pracę zaniedbuje rodzinę. Rodzina zawsze była dla niego na pierwszym miejscu. Kiedy Wiktorcia zaczęła dorastać i z podlotka przeobrażać się w młodą kobietę, bacznie obserwował jej adoratorów. Gdyby któryś odważył się ją zranić, ostro

by popamiętał. Pierwszy kryzys pojawił się, gdy Wiktoria wyjechała z Tarnobrzega studiować zielarstwo na Uniwersytecie Przyrodniczym w Lublinie. Co prawda cieszył się, kiedy dostała się na wymarzone studia, rozumiał, że Tarnobrzeg to małe miasto i aby coś w życiu osiągnąć, większość młodych z niego wyjeżdża, lecz mimo wszystko nie mógł się z tym do końca pogodzić. Wiktoria zapewniała, że Lublin nie jest przecież tak daleko i że będzie często przyjeżdżać do domu, ale Walery wiedział swoje. Córka dorosła i z czasem jej przyjazdy staną się rzadsze. Nic już nie będzie takie jak dawniej. Gdzieś przeczytał o syndromie opuszczonego gniazda i stwierdził, że właśnie go dopadł.

Potem było jeszcze gorzej. Wiktoria obroniła pracę magisterską i została na uczelni robić doktorat. Barbara była dumna. Nie tylko dlatego, że przed koleżankami z urzędu miasta, gdzie pracowała, mogła pochwalić się córką, która nie tylko skończyła studia, ale i dostała etat na uczelni. Była dumna, bo uważała, że udało jej się dobrze wychować córkę. Walery, mimo że cieszył się z sukcesu Wiktorii, czasem narzekał, że tak rzadko ją widuje.

Aż tu nagle córka oznajmia mu, że przeprowadza się do Niemiec. Na jednej z konferencji naukowych poznała Karla, wyjątkowego mężczyznę, jak powiedziała. Karl pochodził z Bawarii, gdzie miał własną aptekę i plantację ziół. Także ukończył zielarstwo. Połączyła ich wspólna pasja i nie bacząc na protesty Walerego, Wiktoria przeprowadziła się do Niemiec i zamieszkała z Karlem, a po roku wzięli ślub. Teraz razem prowadzą aptekę i doglądają plantacji.

To wystarczający powód, aby nie pałać sympatią do Karla, uważał Orłowski. Nie był to jednak dobry moment, aby po raz kolejny okazać zięciowi antypatię. Był raczej zły na siebie, że znowu dzwonił do Wikusi pod wpływem alkoholu. Z relacji Barbary, która również nie pochwaliała jego pijackich telefonów do Wiktorii, wiedział, że w trakcie takich rozmów bywa żaloszny, powtarza się i czasami płacze. Było mu wstyd. Piłeś, nie dzwoń. Taką maksymę powinien sobie zapisać i przykleić gdzieś w widocznym miejscu. Na szczęście Wikusia nie odebrała i tym razem nie musiał się wstydzić.

– Nie, nic się nie stało. Musiałem usiąść na telefonie i sam

zadzwoił – skłamał po dłuższej pauzie. – A co u was? – zapytał, choć bardziej interesowało go, co u Wikusi. Zdrowie i samopoczucie Karla w ogóle go nie obchodziło.

– Wszystko w porządku, tato – odpowiedział Karl. Waleremu podskoczyło ciśnienie. Nie znosił, kiedy zięć mówił do niego „tato”. – Interes się kręci, my się kochamy, żyć nie umierać – dodał Karl po chwili.

– Kiedy nas odwiedzicie? – zapytał komisarz, mając nadzieję, że Karl powie, iż Wikusia niebawem przyjedzie.

– Nie wiem, tato. Mamy dużo pracy, rozumiesz?

– Tak, tak. Rozumiem. Ja też jestem zajęty. Powiedz Wikusi, że ją pozdrawiam i żeby się do mnie odezwała. – Walery rozłączył się, po czym z irytacją pchnął telefon po blacie. Aparat zatrzymał się przy krawędzi biurka.

Do pokoju komisarza Walerego Orłowskiego wszedł Dominik Krupa.

– Czego? – rzucił do młodego policjanta, który zrobił zdziwione oczy.

– Kazał pan dać znać, kiedy przyprowadzą Mareczka, więc daję – odpowiedział Dominik. – Może pan zacząć przesłuchanie – dodał.

– Mhm – odburknął komisarz. – Już idę.

– Dominik! – krzyknął za wychodzącym policjantem, po czym dodał: – *À propos* morderstwa Elżbiety Rodek: trzymaj język za zębami przed Marcelą. Nie chcę żadnych wycieków, rozumiesz?

Dominik Krupa skinął głową na znak, że rozumie, chociaż zdziwiło go, że Orłowski nagle się z tym do niego zwrócił. Zwykle przymykał na to oko. Widocznie coś go zirytowało i postanowił wyżyć się na mnie, wywnioskował policjant i zamknął za sobą drzwi.

Orłowski wstał z krzesła i ruszył do pokoju przesłuchań. Po drodze próbował przypomnieć sobie, o co pytał go Kuba. Chodziło mu chyba o pendrive'a. Tak, teraz sobie przypomniał. Kuba pytał, czy w mieszkaniu Rodek został znaleziony pendrive w kształcie pomadki. Powiedział mu, że nie. Tymczasem dziś rano okazało się, że taki pendrive znaleziono w melinie Mareczka. Po ponownym przeszukaniu.

Komisarz szedł do pokoju przesłuchań niechętnie. Doskwierał mu kac i upał. W taką pogodę najchętniej zaszyłby się gdzieś z zimnym piwem w rękę. Przypomniało mu się także, iż wczoraj wieczorem również narzekał na swoją pracę. Gdyby nie brat nawigator, któremu chciał dorównać, nie zostałby gliną. Znalazłby jakąś spokojną pracę, prawdopodobnie w kopalni w Machowie, jak większość jego rówieśników, a w wolnych chwilach chodziłby na ryby. Tak się jednak nie stało. Ostatnich kilkanaście lat życia spędził, tropiąc przestępców. Wprawdzie Tarnobrzeg to nie Warszawa czy inne duże miasto i nie dopuszczano się tu zbyt wielu spektakularnych przestępstw, ale były i takie, które na zawsze wwierciły się w pamięć komisarza, powracając czasem w snach. Zdarzyły się mu również sprawy nierozwiązane do dziś.

Orłowski był zupełnym przeciwieństwem typowego policyjnego psa, któremu skacze poziom adrenaliny, gdy tylko poczuje krew. Zdawał sobie sprawę, że są gliniarze, którzy gdy nic się nie dzieje, przeżywają niemalże depresję. Odżywają, gdy pojawia się trup. Ale jego najbardziej cieszył spokój. Irytował się, kiedy w mieście coś się działo. Tarnobrzeg to nieduże miasto. Tu mieszkańcy mają czuć się i żyć bezpiecznie. Dlatego kolejne morderstwo tego lata było komisarzowi wielce nie na rękę i gryzło się z jego wizją spokojnego miasta, gdzie wszyscy wszystkich znają, plotkują, czasem się kłócą, lecz nie zabijają. Wielce nie na rękę było mu także przesłuchiwanie Mareczka, którego przecież dobrze znał. Kolejny minus bycia gliniarzem w małym mieście. Ktoś, kogo widzisz niemal codziennie, nagle okazuje się mordercą i musisz się nim zająć. Z tą myślą Orłowski otworzył drzwi do pokoju przesłuchań.

W środku panował zaduch. Przez otwarte okno sączyło się ciężkie powietrze i szum aut sunących ulicą. W rogu pokoju stał zakurzony biały wentylator, którego wolno obracające się ramiona wcale nie dawały ochłody.

Orłowski spojrzał na Mareczka. Mężczyzna wytrzeźwiał i powoli zaczynało dochodzić do niego, w jakiej sytuacji się znalazł. Krople potu zrosiły mu czoło. Wzrok wbił w szklanę z wodą stojącą na stoliku, przy którym siedział. Ręce ułożył przed sobą, dłonie splatając

jak do modlitwy. Na brudnym T-shircie pod pachami rysowały się dwie ciemne plamy.

Komisarz podszedł do wentylatora. Mareczek uniósł lekko głowę, obserwując komisarza, który zamiast przełączyć wentylator na szybsze obroty, całkiem go wyłączył.

– To nie, kurwa, spa, tylko areszt. Nie będzie wygody – powiedział.

– Spa może nie, ale widać sauna – odezwał się Mareczek.

– Na twoim miejscu żarty zachowałbym na inną okazję. Tu od nich jestem ja.

– Czyli jesteście w cyrku?

– Uważaj, żebyś nie spadł z cienkiej liny, po której stąpasz – odgryzł się Orłowski i wyszedł na chwilę.

Kiedy wrócił, rzucił na stół przed Mareczkiem zabezpieczony nóż, portfel i pendrive'a.

– Co to jest? – zapytał.

Odsunął ciężkie krzesło, które w zetknięciu z podłogą wydało nieprzyjemny dla uszu dźwięk. Usiadł naprzeciwko Mareczka. Spojrzeniem śledził każdy grymas na twarzy mężczyzny. Było gorąco. Woda w szklance pewnie była ciepła, mimo to Mareczek sięgnął po nią i upił kilka łyków.

– Nóż, portfel i babska szminka – odpowiedział, odstawiając szklankę. – Walery, daj spokój. Przynieś lepiej coś mocnego do picia i daj zapalić.

Komisarz uśmiechnął się. Grymas przypominający uśmiech wykrzywił suchą i pomarszczoną twarz Mareczka.

– Nóż, portfel, babska szminka? – zaczął powoli Orłowski, pomijając dalszą część wypowiedzi Mareczka. – To jest nóż, którym zabito kobietę, to jest jej portfel, a to także rzecz należąca do niej. – Orłowski podniósł pendrive'a, po czym cisnął go z powrotem na stół.

– A wiesz, co jest najlepsze? – Wycelował palec w kierunku Mareczka.

– Najlepsze jest to, że wszystkie te rzeczy w dniu zabójstwa znalazły się w twojej melinie. Czy ty, kurwa, nie rozumiesz, że twoja sytuacja jest co najmniej tak do dupy, jak woda w tej szklance? – Komisarz pchnął energicznie szklankę po stole. Spadła na podłogę, roztrzaskując się w kawałki. Woda utworzyła niewielką kałużę.

Na twarzy Marka pojawiło się napięcie. Rzucił okiem na przedmioty leżące na stole, jakby widział je pierwszy raz w życiu.

– Walery, chyba nie wierzysz, że ja to zrobiłem. Znasz mnie przecież.

– Nieważne, w co wierzę. Dowody świadczą przeciwko tobie, więc albo się od razu przyznasz, albo przestanę być miły. Chyba że udowodnisz, że naprawdę tego nie zrobiłeś, co także by mnie ucieszyło, bo jak by nie było, w podstawówce byliśmy kumplami, Marek, więc nawet wolałbym, żebyś to nie był ty. Głupio tak swojego zamykać.

– Mówiłem już to tamtemu policjantowi. Temu gówniarzowi. – Mareczek ruchem głowy wskazał drzwi. – Poprzedniego dnia trochę nazbierałem na śmietnikach. Butelki, puszki. Potem je sprzedałem. Miałem za co pić. Padało. Obudziłem się i postanowiłem pójść na stację benzynową po kolejną flaszkę, bo poprzednia już ze mnie wywietrzała. I wtedy natknąłem się na tę kobietę. Zleciała ze schodów. Ktoś musiał ją zepchnąć, ale nikogo nie widziałem. Zresztą, bardziej zajęty byłem nią. Kiedy w końcu zrozumiałem, że nie żyje, spanikowałem i zacząłem uciekać. Kupiłem na stacji dwie flaszki, które od razu wypilem. Upiłem się do nieprzytomności i musiałem zasnąć w tym śmietniku, gdzie mnie znaleźliście. Tyle pamiętam.

– Dość mętnie przedstawia się twoja historia. A może było tak, że byłeś tak kompletnie pijany, że nawet nie pamiętasz, że ją zabiłeś. A potem jeszcze okradłeś.

– To nawet nie jest mój nóż – zaprotestował Mareczek.

Miał rację. Nóż pochodził z mieszkania Elżbiety Rodek. To, jak znalazł się w melinie Mareczka, było jeszcze w fazie ustaleń. Orłowski brał pod uwagę hipotezę, że Mareczek włamał się do mieszkania ofiary. Być może gonił ją aż do skarpy przy Wiśle. Mareczek jednak nie ułatwiał mu sprawy. Twardo trzymał się tego, że to nie on zabił Elżbietę Rodek. Więc kto, myślał Orłowski.

Przesłuchanie przeciągnęło się do popołudnia. Kiedy się skończyło, komisarz zadzwonił do Kuby. Powiedział mu, że pendrive, o który pytał, został znaleziony u Mareczka. Niech młody się trochę pogłowi. W końcu dzięki ustaleniom Kuby wielokrotnie śledztwo szło naprzód.

Sam natomiast postanowił porozmawiać z córką.

Rozdział 7

Czwartek, 13 sierpnia 2015, popołudnie i wieczór

Leżałem z Olgą w łóżku i bawiłem się jej włosami. Kilka kosmyków przykleiło się jej do skóry. Była spocona i wycieńczona. Zadbalem o to. Nie lubię, kiedy kobieta wychodzi z łóżka niezadowolona. Wyraz spełnienia malujący się na jej twarzy utwierdzał mnie w przekonaniu, że dałem radę. To był nasz drugi raz, ale już zdążyłem się zorientować, co Oldze sprawia największą przyjemność. Ona nie pozostawała dłużna. Nie tylko miała najlepszy tyłek na świecie, posiadała też kilka innych umiejętności, za które również zasługiwała na mistrzostwo świata. Leżeliśmy więc wycieńczeni i spełnieni. Ja zanurzałem dłoń w gęstych włosach Olgi. Ona ułożyła głowę na mojej piersi i bawiła się moim sutkiem.

– O czym myślisz? – zapytała po chwili.

– O niczym szczególnym – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, bo właściwie zacząłem myśleć, że zamiast zanurzać dłoń w jej włosach, mógłbym jeszcze raz pobawić się jej piersiami.

Olga przysunęła się jeszcze bliżej. Zostawiła mój sutek i palcem wskazującym zaczęła sunąć w dół. Nie interweniowałem. Ręka Olgi zniknęła pod kołdrą, ale z łatwością odnalazła moje najczulsze miejsce i zaczęła masować. Pocałowałem ją, jedną dłoń wciąż zanurzając w jej włosach, a drugą już miętoszając piersi. Po chwili Olga uwolniła się z mojego uścisku i zsunęła kołdrę niżej. Całując, schodziła w dół, nie przestając patrzeć mi w oczy. Nie przestawała nawet, kiedy wzięła go do ust i zaczęła ssać. Jak wspomniałem, nie lubię, kiedy kobieta wychodzi z łóżka niezadowolona. Każdego można kupić. Trzeba tylko znać odpowiednią walutę. Dla wielu kobiet jest nią dobry seks. Przysunąłem Olgę z powrotem do siebie, po czym obróciłem na plecy. Jej nogi zarzuciłem sobie na ramiona i wszedłem w nią głęboko. Nie przestałem, dopóki nie osiągnęła orgazmu. Dopiero potem pozwoliłem jej skończyć, co tak dobrze zaczęła.

Znowu legliśmy obok siebie zmęczeni. Zaspokojony, zacząłem myśleć o tym, czego dziś dowiedziałem się od Igora. Założyłem bokserki i postanowiłem odbyć z Olgą poważną rozmowę.

– Jestem lepszy? – zapytałem, nie bawiąc się w niepotrzebne wstępy.

– Lepszy od kogo? – Olga odpowiedziała pytaniem na moje pytanie. Odsunęła się i ułożyła w pozycji pólężącej. Włosy odgarnęła do tyłu. Jej piersi sterczały, skierowane w moją stronę. Nie pozwoliłem, by zbyttno mnie rozproszyły.

– Od Igora – rzuciłem, bacznie obserwując, jak się zachowa.

Olga nasunęła na siebie kołdrę, zakrywając piersi. Zacząłem zakładać koszulkę.

– Kto ci powiedział? – zapytała tonem, którym mogłaby zamrozić gorące źródło.

– Igor. Przesłuchiwałem go dziś rano. Dlaczego powiedziałaś mi, że jest twoim synem? Pomijając już fakt, że mieliście romans. O tym, że lubisz młodszych, zdążyłem się już przekonać, więc to mnie akurat nie dziwi.

Przez chwilę myślałem, że dostanę w twarz. Olga natomiast roześmiała się.

– A co to ma do rzeczy, czy jest moim synem, czy nie? Z romansów nie muszę ci się tłumaczyć.

– To ma do rzeczy, że stawia cię w kręgu podejrzanych osób.

– W kręgu podejrzanych osób? Czyżbyś jednak zaczął już kogoś podejrzewać? Myślałam, że tylko pijesz i się ze mną pieprzysz.

Założyłem spodnie. Przystawało być miło.

– Igor powiedział, że cię wzięło. To znaczy, że się zakochałaś. Czy to nie wystarczający motyw, aby pozbyć się rywalki?

– Czy ciebie do reszty popieprzyło?

– Czy ty zawsze tylko o jednym? – odgryzłem się.

Znalazłem okulary. Leżały na stoliku obok paczki nieotwartych prezerwatyw. W przyływie namiętności nie myśleliśmy o nich.

– Wierzysz mi czy gówniarzowi podejrzanemu o morderstwo? – Olga spróbowała załagodzić sytuację.

– Czyżbyś przestała wierzyć w jego niewinność? – Przerzucanie się

pytaniem trwało w najlepsze. Coraz bardziej czułem, że Olga kręci, więc zaatakowałem: – Elżbietę Rodek może też zabiłaś. Wprawdzie tę noc, kiedy ją zabito, spędziliśmy razem, ale część nocy przespałem. Nad ranem nie było cię w łóżku. Kiedy się obudziłem, wychodziłaś spod prysznic... – nie skończyłem, bo Olga wrzasnęła:

– Przestań!

– Znasz *Sokoła maltańskiego* – zacząłem zmierzać do finału, będąc zadowolonym, że ubranie mam już na sobie. Nie uśmiechało mi się łapanie taksówki w bokserkach.

– A co to ma do rzeczy?

– To, że wiesz, jak to jest z detektywami.

– Nie schlebiaj sobie. Żaden z ciebie Sam Spade.

– W takim razie o tobie też to dobrze nie świadczy.

– Wyjdź!

– Daruj sobie melodramat, bo zaburzasz konwencję.

– Wypierdalaj!

– Tak już lepiej.

Wyszedłem. Zatrzasnęła za mną drzwi.

Tuż za drzwiami potknąłem się o ciężkie, ubłocone buty, które Olga rzuciła niedbale tuż za progiem. Widocznie pracowała w nich w ogrodzie. Leżały obok małej motyki. Sięgnąłem po telefon, aby zadzwonić po taksówkę, lecz stwierdziłem, że lepiej się jednak przespaceruję. Skoro jestem w okolicach Zwierzynieckiej, trochę się rozejrzę. Może znajdzie się ktoś chętny do rozmowy na temat Karoliny Rodek. Kiedy chowałem komórkę do kieszeni, zadzwonił Jurek. Poinformował mnie, że pendrive, o który pytałem, jednak się znalazł. Był w melinie Marcuszka. Zbiło mnie to z tropu. Marcuszek z kolei stawiło w jeszcze gorszej sytuacji. Z jednej strony myśl, że Marcuszek mógł zabić Elżbietę Rodek, jakoś do mnie nie przemawiała. Z drugiej strony ślady wskazywały na niego. Czyżbym niepotrzebnie pokłócił się z Olgą? Nawet jeśli to nie ona była poprzedniej nocy u Elżbiety, to okłamała mnie w kwestii Igora. Miałem prawo być na nią zły. Myślę, że dobrze to rozegrałem.

Szedłem chodnikiem wzdłuż Zwierzynieckiej. W pobliżu trzech wieżowców przeszedłem na drugą stronę. „WIELKA POLSKA”,

krzyczało ogromne graffiti na ścianie osiedlowych garaży. Trzy zakapturzone postacie członków Ku Klux Klanu namalowane obok nie pozostawiały złudzeń co do tego, jaką wizję Wielkiej Polski miał na myśli autor graffiti. Do tego krzyż celtycki, godło Polski i herb Tarnobrzega. Ktoś się nie bał i dojechał. Z rozmachem. Którego brakowało napisowi obok: „POLSKA WOLNA OD ISLAMU. PRZECIWKO BRODATYM CIAPAKOM FRONT NIENAWIŚCI”, nakreślone jakby w pośpiechu, koślawo. Cóż, nie ma czasu, walka trwa.

Minąłem śmietnik, na którym ktoś jeszcze dopisał: „JEBĄĆ CIAPATYCH”, jakby graffiti i napis na garażach były za mało wymowne. Miła okolica, pomyślałem. Wystarczający powód, aby rzucić się z okna. Pochylając się nad miejscem parkingowym dla niepełnosprawnych, gdzie ponad miesiąc temu leżało ciało Karoliny Rodek, zastanawiałem się, czy przypadkiem dziewczyna jednak nie popełniła samobójstwa. Ironizowałem, rzecz jasna.

Przykucnąłem i dotknąłem palcem smugi przypominającej krew. Kostka, którą wyłożone było miejsce parkingowe, była czerwona, lecz w jednym miejscu miała ciemniejszy odcień. Czy krew może pozostawić taki ślad i czy może on utrzymać się tak długo, niezmyty przez deszcz? Podstawy się kłaniają. Jeśli mam się zajmować sprawami morderstw, muszę podszkolić się w kryminalistyce. Albo chociaż postarać się o konsultantów, myślałem, kiedy za plecami ktoś do mnie przemówił:

– Dzień dobry.

Wstając, odwróciłem się. Za mną stał mężczyzna. Na oko pięćdziesięcioletni.

– Mógłby być lepszy.

– Kazimierz Staszek. – Nie zważając na moją odpowiedź, mężczyzna przedstawił się i wyciągnął rękę.

– Kuba Rau. – Również się przedstawiłem i uściśnąłem wyciągniętą dłoń.

Kazimierz Staszek? To nazwisko coś mi mówiło. Po chwili już wiedziałem co. Staszek to miejscowy radny, czynnie angażujący się społecznie. Trochę prawicowy świr, dość bogaty, ale z gestem. Żadna

akcja charytatywna się bez niego nie obejdzie. Poza tym wykłada w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej. Ma prywatną praktykę. Tu i w paru innych miastach. Jego żona jest znaną w mieście dentystką. Na pewno stać ich na kupno domku za miastem, a mimo to wciąż mieszkają w wieżowcu z wielkiej płyty. Nie wywyższają się, ludzie ich lubią.

– To tutaj spadła. Znałem ją. Miła dziewczyna. Ambitna – dodał po chwili. – Wielka szkoda.

– Dobrze ją pan znał?

– Dobrze nie. Byłem jej wykładowcą i wynajmowała mieszkanie w tym samym bloku. Stąd ją znałem. Ta tragedia wstrząsnęła wszystkimi. Podobno zadała się z nieodpowiednim człowiekiem – dodał nieco ciszej.

– Co pan ma na myśli?

– No wie pan. Spotykała się z tym Igorem Haddadem. Jego ojciec zabił swoją żonę. Syn okazał się taki sam. No ale oni wszyscy tacy sami. Dzicz.

– Jacy „wszyscy”?

– No ci Arabowie. Inna kultura. Nigdy się nie zasymilują, jak widać. Ten młody urodził się już tutaj, a zwyczajnie wyssał z mlekiem matki.

– A może właśnie przesiąkł naszą kulturą.

– No co pan? – zaśmiał się Staszek. – My nie zabijamy własnych kobiet.

– Tylko bijemy je w zaciszu czterech ścian, bo zupa była za słona, wie pan – powiedziałem, zastanawiając się, czy faktycznie mam do czynienia z człowiekiem wykształconym.

– Jakub Rau? Czy pan przypadkiem nie jest prywatnym detektywem? – Kazimierz Staszek postanowił zmienić temat.

– Tak, jestem. Właśnie pracuję nad sprawą morderstwa Karoliny Rodek.

– A ta sprawa przypadkiem nie jest już przesądzona? Przecież to jasne jak słońce, że zabił ją ten Igor.

– Nie dla mnie – odpowiedziałem i pożegnałem się z Kazimierzem Staszkiem.

Odchodząc, zorientowałem się, że naszej rozmowie przysłuchuje się para wyrostków. Minąłem ich bez słowa.

Nadal nie miałem zamiaru dzwonić po taksówkę. Spacer, jak widać, są bardzo kształtujące. Było późne popołudnie. Żar unosił się między blokami i zalewał chodniki. Toczył się po asfalcie niczym lawa spływająca po krawędzi wulkanu. Ludzie siedzieli w domach lub nad jeziorem. Nie miałem planów na resztę dnia ani na wieczór, choć były moje urodziny. W Lublinie podzwoniłbym po znajomych i zrobilibyśmy sobie maraton po knajpach. Tu nie miałem prawie żadnych znajomych. Nie było też wiele knajp. Stwierdziłem, że po prostu pójdę do domu i resztę dnia spędzę z Danutą. Może obejrzymy jakiś film.

Kiedy doszedłem do placu Czerwonego, w kieszeni zadzwonił mi telefon.

– Cześć, Kuba. Gdzie jesteś i co robisz? – zapytała Marcela. Głos miała drżący ze zdenerwowania.

– Jestem na Czerwonym. I w zasadzie nic nie robię. Coś się stało?

– Tak. Nie wytrzymuję już z Patrycją. Powiedziała, że mnie nienawidzi. Wysłała z domu, trzaskając drzwiami. Mam ochotę się dziś napić. Napijesz się ze mną?

– Będę „Pod Bażantem” – powiedziałem i rozłączyłem się.

W takim mieście jak Tarnobrzeg picie to jeden z niewielu sposobów na zabicie nudy. A że trochę się nudziłem, nie odmówiłem Marceli.

Mimo że było jeszcze wcześniej, trzy na cztery stoliki „Pod Bażantem” były zajęte. Podeszedłem do wolnego stolika i odsunąłem drewniany taboret. Usiadłem i zacząłem przeliczać pieniądze w portfelu. Drobne wysypałem na solidny drewniany stół. W tej knajpie niemal wszystko było drewniane. Nawet na ścianach była boazeria. Taki standard: krata w oknie, goła baba na ścianie, na suficie kasetony pożółkłe od dymu papierosowego, jarzeniówka nad barem, za barem od lat ta sama pani Kasia. Czas zatrzymał się w latach dziewięćdziesiątych. Bar „Pod Bażantem” najbardziej upodobali sobie mundurowi. Przychodził tu Jurek, Dominik Krupa i inni policjanci. Od pewnego czasu lubiłem przychodzić i ja.

Przeliczywszy gotówkę, stwierdziłem, że starczy mi na cały wieczór

picia. Jeśli chodzi o cenę alkoholu w knajpie, pod tym względem, w porównaniu z dużymi miastami, Tarnobrzeg miał przewagę. A „Pod Bażantem” był chyba najtańszy w mieście. Podeszedłem do baru i zamówiłem piwo. Po chwili zastanowienia wziąłem jeszcze setkę. Wypiłem i odstawiłem kieliszek na bar.

Kiedy przyszła Marcela, kończyłem pierwsze piwo. Podeszła do baru, kupiła dwie setki, które od razu wypła, i zamówiła dwa duże piwa. Jedno dla mnie.

– Twoje zdrowie, Kuba – powiedziała, stawiając piwo przede mną.
– Nie zapomniałam, że masz dziś urodziny.

Podziękowałem, po czym Marcela zaczęła opowiadać o swoich problemach z Patrycją. Patrycja przyjechała z Marcelą z Krakowa tuż po studiach. Chociaż nie pamiętam, jak to dokładnie było. Miały wieść wspólnie szczęśliwe życie, lecz Patrycja wciąż nie potrafiła się odnaleźć w Tarnobrzegu. Nie mogła znaleźć pracy i często miewała depresję. Kolejny nawrót właśnie się zaczął. Po trzecim piwie Marcela zaczęła sobie wyrzucać, że zostawiła Patrycję samą w domu, ale naprawdę nie mogła już z nią wytrzymać.

Tak zleciało nam popołudnie. Rozmawialiśmy i piliśmy piwo na przemian z wódką.

Kiedy chciałem wstać i ruszyć w kierunku baru, poczułem czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciłem się. Za mną stało dwóch wyrostków. Po koszulkach rozpoznałem, że to ci sami, których widziałem przy Zwierzynieckiej. Jeden miał na twarzy bliznę w kształcie sierpa. Pomyślałem, że musi wyglądać dość groteskowo, kiedy na jakiejś manifestacji wykrzykuje: „Raz sier-pem, raz mło-tem czer-wo-ną ho-ło-tę”.

– To ty prowadzisz śledztwo w sprawie Karoliny Rodek? – zapytał ten, którego ręka wciąż spoczywała na moim ramieniu.

– Ja, a bo co?

– Bo to! – rzucił i pięścią niemal zmiażdżył mój nos. Krew pociekła mi po koszulce. To był argument, z którym trudno było dyskutować.

Wstałem i od razu zatoczyłem się na stół, który załamał się pod moim ciężarem. Nie był taki solidny, na jaki wyglądał. Za to cios zadany mi w brzuch taki być musiał, skoro nawet drewniany stół

pode mną się rozpadł.

Rozdział 8

Piątek, 14 sierpnia 2015

Działa aż na pięć sposobów: usuwa tłuszcz, czyści kamień...

- Po prostu państwo w państwie...
- Pan wyjechał mi z prawej strony...
- Monika nie może pogodzić się z decyzją męża...

Siedziałem w salonie i przerzucałem kanały w telewizji. Dźwięki wydobywające się z telewizora tworzyły irytującą kakofonię. Zwłaszcza że miałem kaca. Żaden program mnie nie zainteresował, więc przerzucałem dalej.

- Odkryj również przeciwmarszczkową linię...
- Jedno jest pewne. Gośka kłamie...
- Przed użyciem skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą...

Większość sytuacji, które przydarzają się nam w życiu, powinna być opatrzona tą informacją. Na przykład picie alkoholu. Grozi utratą samokontroli. Albo znalezieniem się w nieodpowiednim miejscu i czasie. Z drugiej strony, gdybym nie poszedł do baru „Pod Bażantem”, to tych dwóch wyrostków z pewnością znalazłoby inną okazję, aby mi zasugerować, że interesując się morderstwem Karoliny Rodek, interesuję się nie swoimi sprawami. Przyczyną nie był alkohol, lecz moja praca. Ale ja zwykle interesuję się nie swoimi sprawami, więc wychodzi na to, że ona także powinna być opatrzona stosowną informacją.

Zadzwoił telefon. Odnalazłem go pod poduszką i odebrałem. Dzwoniła Agnieszka Segdalska. Ta klientka zdradzana przez męża, której sprawę postanowiłem nieco przeciągnąć, aby mieć za co opłacić rachunki. Przeciąganie jednak nie może trwać w nieskończoność. Grunt to zadowolony klient, który poleci cię kolejnemu. Umówiłem się więc z Segdalską na poniedziałek, postanawiając sprawę zakończyć. Pomyślałem o Oldze. Gdyby okazało się, że miała coś wspólnego z morderstwami obu pań Rodek,

byłoby mi to wielce nie na rękę. Raczej nie mógłbym liczyć na to, że zapłaci mi za czas poświęcony na odkrycie tego faktu. Każdego można kupić. Trzeba tylko znać odpowiednią walutę. Moje wymagania ostatnio spadły. Ale miałem nadzieję, że wraz z nadejściem września sytuacja się poprawi. Lato sprzyja romansom. Liczyłem więc, że we wrześniu w moim biurze pojawi się chociaż kilka zdradzanych żon. Rąk pełnych roboty nie miałem, a rachunki się same nie opłacą.

Wczorajsze pobicie nie okazało się tragiczne w skutkach. Nie miałem złamanego nosa, choć krew zalała mi prawie całą koszulkę. Żebra podczas upadku także nie poniosły uszczerbku. Choć wyglądało groźnie. Nie zgłosiłem pobicia na policji. Za dużo zachodu. Ktoś, kto znalazł się w podobnej sytuacji, z pewnością przyzna mi rację. Natomiast sprawa morderstwa Karoliny Rodek zaczynała być coraz bardziej interesująca. Ktoś ewidentnie nie chciał, abym się w to mieszał. Kto? Tego zamierzałem się dowiedzieć, rozmawiając z wyrostkami, którzy wczoraj się na mnie rzucili.

Ściszyłem dźwięk w telewizorze i gapiłem się w sam obraz. Danuta nie otworzyła dziś zakładu. Właśnie brała prysznic, a na korytarzu stała duża różowa walizka, której od dawna nie używała. Chandler spoczywał na szklanym stoliku i uważnie obserwował obraz w telewizorze. Jakaś kobieta siedziała w fotelu z kotem na kolanach. W tle spacerowały dwa inne koty. Kolejny leżał na kanapie. Prawdopodobnie był to program o kociarzach. Zupełnie mnie nie interesował, ale nie zmieniłem kanału. Widocznie Chandler znalazł w nim coś dla siebie.

Sprawdziłem fejsa w telefonie i zacząłem się nudzić. Jeśli chodzi o fejsa, jestem raczej mało aktywny. Może dlatego, że nie mam za bardzo czym się chwalić. Ale z nudów postanowiłem właśnie wrzucić jakąś fotę. Padło na Chandlera. Koty w internecie podobno robią furorę. Wszedłem pod stolik. Z tej perspektywy Chandler wyglądał oryginalnie. Jak już mam coś wrzucać, to niech to będzie z polotem i fantazją. Chociaż byłem prawie pewien, że ktoś przede mną już na pewno wpadł na taki pomysł. To znaczy na fotę kota od spodu. A kot od spodu najlepiej wygląda przez szklany stolik. I ja musiałem wyglądać w tej pozycji interesująco, Chandler bowiem przestał

patrzeć w telewizor i przez szybę stolika zerkał na mnie. Stroilem głupie miny i stukałem palcem w stolik. W końcu Chandler przybrał najbardziej interesującą według mnie pozę i zrobiłem zdjęcie.

Kiedy wychodziłem spod stolika, ktoś zadzwonił do drzwi. Odruchowo podniosłem głowę i stuknąłem czołem w ramę stolika. Chandler zbiegł po moim ramieniu, kierując się w stronę drzwi i pomrukując. Czasami miałem wrażenie, że ma w sobie coś z psa.

– Czekasz na kogoś?! – krzyknąłem do Danuty.

Odpowiedział mi szum prysznica. Zacząłem więc schodzić po schodach w kierunku drzwi. Po drodze wrzuciłem fotę na fejsa, licząc na wiele lajków. Sprawdzę je potem.

Chandler nerwowo kręcił się przy drzwiach. Otworzyłem je.

– Dzień dobry – przywitał się stojący przede mną mężczyzna.

Ciemne oczy, dwudniowy zarost, złoty zegarek na przegubie dłoni. Wyglądał jak George Clooney po ciężkiej nocy. Na Chandlerze chyba nie zrobił wrażenia, bo fuknął przeciągle, przycupnął w bezpiecznej odległości i spoglądał na gościa nieufnie.

– Dzień dobry – odpowiedziałem. – Pan do kogo?

– Do pani Danuty. Byliśmy umówieni.

– Ale Danuta ma dziś zamknięte – zacząłem i jednocześnie zorientowałem się, że facet raczej nie przyszedł się ostrzyc.

Zamknięty zakład, różowa walizka, Danuta szykująca się od rana. Połączyłem szczegóły w logiczną całość i wyszło mi, że Clooney stojący w naszych drzwiach przyszedł w innym celu. Nie zdążył odpowiedzieć w jakim, bo z góry rozległ się głos Danuty:

– Kuba, możesz przyjść na chwilę?

Wpuściłem gościa dalej, zamknąłem drzwi, a sam udałem się na górę.

– Co to za facet, tam na dole? – zapytałem i spojrzałem na Danutę.

Wyglądała jakoś inaczej. Coś zrobiła z włosami. Nie były kręcone, lecz proste. Twarz też umalowała jakoś inaczej. I założyła sukienkę. Musiałem przyznać, że prezentowała się świetnie. Ale gdy pomyślałem, że wystroiła się tak dla Clooneya z dołu, poczułem ukłucie zazdrości. Zupełnie nie wiem dlaczego.

– To Konrad. Jedziemy razem na weekend do Krakowa. Wracam

w niedzielę. Pamiętaj o Chandlerze i pomóż mi znieść tę walizkę na dół. – Ruchem ręki wskazała różowy bagaż.

Podniosłem go i dopiero teraz poczułem, jaki jest ciężki.

– Waży tyle, że mogłabyś zostać tam co najmniej na tydzień – skomentowałem. – A tego Konrada to skąd wytrzasnąłaś? Chandler go chyba nie polubił.

– Chandler czy ty?

– Masz rację, nie przepadam za Clooneyem.

– Poznałam go wczoraj nad jeziorem – zaczęła, zupełnie bagatelizując ironię w mojej odpowiedzi. – Zaproponował wspólny wyjazd i ja się zgodziłam.

– Nie za szybko?

– Przecież nie wychodzę za niego za męża. To tylko wspólny wypad do Krakowa.

– Prawie go nie znasz – drażyłem.

– No więc zamierzam poznać. Chyba nie jesteś zazdrosny? – zapytała z dziwnym uśmiechem.

– Nie, nie jestem – odparłem. – Tylko się martwię o ciebie.

– Zupełnie niepotrzebnie. No już. Pomóż mi z tą walizką.

Zniosłem ją na dół. Danuta przywitała się z Konradem, całując go w policzek. Coraz bardziej nie podobał mi się ten wyjazd. Chandlerowi też nie. Kręcił się wokół nóg Danuty, jakby chciał ją zatrzymać. Mówiłem, że Chandler czasem zachowuje się, jakby miał coś z psa. Teraz zachowywał się jak pies ogrodnika. To prawie tak samo jak ja. Nie chciałem, żeby Danuta wyjeżdżała z tym typem. Ale raczej nic już nie mogłem zrobić poza zamknięciem za nimi drzwi i życzeniem miłej podróży.

Kiedy wchodziłem na górę, zadzwoniła Olga. Wahałem się, czy odebrać. Byłem na nią jeszcze zły. Poza tym nie miałem przecież pewności, czy nie jest zamieszana w oba morderstwa. Wprawdzie miałem tylko przypuszczenia, ale były wystarczające, aby co najmniej wzbudzać wątpliwości. W końcu jednak wybrałem przycisk odbierający połączenie.

– Kuba, przyjeźdź do mnie – powiedziała, chyba płacząc, bo pociągnęła przy tym nosem.

– Znów dramatyzujesz. Następnym razem się zastanów, zanim zatrzaśniesz za kimś drzwi – odparłem, nie mogąc się powstrzymać.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

– Jesteś dupkiem! – krzyknęła i pewnie zamierzała się rozłączyć.

– Olga, poczekaj – powiedziałem pojednawczym tonem. Właściwie ją polubiłem i podświadomie chyba nie chciałem tak z nią skończyć. – Co się stało? – dodałem.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

– Przyjedź, bo ktoś na moim płocie wypisał podły rasistowski napis – powiedziała. – Nie chcę go nawet cytować. Przyjedziesz, to sam zobaczysz.

Rozłączyłem się, po czym wybrałem numer Heńka. Przyjechał w kilkanaście minut. Za kilkanaście kolejnych byłem pod domem Olgi.

„STOP POLSKIEMU KUREWSTWU Z ISLAMSKIMI MORDERCAMI”, przeczytałem napis na płocie domu Olgi. Obrońcy polskich kobiet, pomyślałem i nacisnąłem przycisk domofonu. Furtka otworzyła się od razu. Tak samo jak drzwi od domu. Stała w nich Olga i ruchem ręki zaprosiła mnie do środka.

– Cześć, Kuba – przywitał się ze mną Jurek, który także był na miejscu. Z notatnikiem w ręku spisywał zeznania Olgi.

Aktu wandalizmu dokonano prawdopodobnie w nocy. Olga zauważyła go rano, kiedy zamierzała pojechać do jednego z kebabów, by przeprowadzić rozmowę kwalifikacyjną. Ostatnio zwolniło się u niej kilku pracowników. Jeden otwarcie powiedział, że nie będzie pracował u morderców. W kontekście tych słów zacząłem się poważnie zastanawiać, czy sprawcami są narodowcy. Zwykłym ludziom także zaczynało odbijać. Nie muszę chyba dodawać, jakie skutki to już miało w historii. Ale to nie na temat. Przynajmniej na razie.

Jurek skończył pisać, po czym wstał, szykując się do wyjścia.

– Co z Mareczkiem? – zapytałem.

– Wciąż jest zatrzymany w charakterze podejrzanego – odpowiedział Jurek i wznosił dłonie w geście rezygnacji. – Ja już sam

nie wiem, co się dzieje w tym mieście. Dwa morderstwa, wandalizm – spojrzał na Olgę, a ja sobie przypomniałem, że Oldze zdewastowano także jeden z kebabów. – Tarnobrzeg to spokojne i bezpieczne miasto. Tak powinno być, a ostatnio mam ręce pełne roboty. Jeszcze dzisiaj ta manifestacja. – Westchnął ciężko.

– A co u Wiktorii? – zmieniłem temat. Rozmowa o córce zwykle poprawiała Jurkowi humor. Ale nie tym razem.

– Nie zamierzają z Karlem na razie przyjechać – odrzekł i machnął dłonią, jakby odpędzał kolejną natrętną myśl. – Słuchaj, Kuba. Ten pendrive, o którego pytałeś i co go znaleźliśmy u Marczecka, jest pusty. Nic na nim nie ma. Jakbyś chciał wiedzieć. A sam Marczecek do niczego się nie przyznaje.

Ja z kolei nie przyznałem, że trop, który miałem, pobiegł w takim razie w ślepym kierunku. Sytuacja wyglądała tak: ktoś zamordował Elżbietę Rodek. Ktoś, kto był u niej w domu. Potem prawdopodobnie zamordował ją nad Wisłą. Czy był to Marczecek? Jurek był skłonny uznać, że tak. Motywem był rabunek. A pendrive? Elżbieta przecież mogła go schować do torebki. Może po moim wyjściu jednak uprzętnęła rzeczy córki. Ale tak teoretyzować można bez końca. Z tego, co mówił Jurek, wynikało także, że w mieszkaniu Rodek nie znaleziono żadnych śladów. Na przedmiotach z meliny Marczecka także. Oprócz krwi denatki. Nóż kuchenny, którym została zabita, pochodził z jej mieszkania. Prawdopodobnie więc morderca wcale nie planował zabójstwa. Chwycił nóż, wybiegając za Elżbietą. W każdym razie to każe przypuszczać, że był w jej mieszkaniu. Skoro nie ma śladów, morderca działał w rękawiczkach, a tych nie odnaleziono. Działała to zarówno na korzyść, jak i niekorzyść Marczecka.

Jurek wyszedł. Zostałem z Olgą.

Usiadłem obok niej i spróbowałem ją objąć. Odsunęła się.

- Nie po to do ciebie dzwoniłam.
- Myślałem, że szukasz pocieszenia.
- Zadzwoiłam, bo wciąż dla mnie pracujesz.
- O ile nie jesteś tym mordercą.
- Jeszcze mi powiedz, że to ja nasmarowałam ten napis.
- Nie wiem. Może jesteś psychopatką.

Wybuchnęła śmiechem.

– Muszę poważnie rozważyć tę opcję – powiedziałem i przysunąłem ją do siebie. Tym razem się nie broniła, więc ją pocałowałem. Wariatka czy nie, całowała dobrze. Zupełnie nieprofesjonalne podejście. Ale może miała rację. Żaden ze mnie Sam Spade.

Kiedy z zamkniętymi oczami i ustami przy ustach Olgi odnalazłem rząd guzików na jej bluzce i zacząłem je rozpinać, ponownie się ode mnie odsunęła.

– Nie teraz, Kuba – powiedziała, kładąc dłoń na mojej piersi. – Pomóż mi zamalować ten napis. Potem jadę na tę rozmowę kwalifikacyjną. Spotkajmy się dzisiaj wieczorem, dobrze?

– Dobrze. Przynajmniej będę cię miał na oku.

– To miło, że się o mnie jednak troszczysz.

– Troszczę się o innych. Na wypadek gdybyś znowu planowała kogoś zabić.

– To już przestaje być śmieszne.

– Morderstwo nigdy nie jest śmieszne. No chyba że pisze o nim Eoin Colfer – dodałem po chwili namysłu.

Olga pokiwała głową, jakby zabrakło jej sił do niegrzecznego dziecka, które po raz kolejny robi tego samego psikusa. Potem zaczęła się przebierać. Przy mnie. Zdjęła białą bluzkę i czarną spódnicę, pod którymi miała białą bieliznę. Gdyby naprawdę okazała się morderczynią, miałbym dylemat. Pomyślałem, czy zakończenie *Sokoła maltańskiego* nie jest przesadnie literackie. Co zrobiłby Spade, gdyby zobaczył teraz Olgę? Ja moralność i przyzwoitość schowałbym do kieszeni. Olga natomiast na chwilę schowała się do garderoby. Wyszła w legginsach i T-shircie. Takiej jej jeszcze nie widziałem. No cóż, muszę przyznać, że legginsy leżały dobrze.

– Nie gap się na mój tyłek, tylko chodź. Pomalujemy płot.

Poszedłem bez słowa sprzeciwu.

Kiedy skończyliśmy, odeszliśmy na odległość kilku metrów, aby ocenić nasze dzieło. Olga zapaliła papierosa i odchyliła głowę w bok, wypuszczając dym z płuc. Jeśli chciała w ten sposób ustrzec mnie od chmury papierosowego dymu, to na nic się to zdało. Zawiał delikatny wiatr i dym papierosowy wbił się w moje nozdrza niczym mroźne

powietrze w płuca przy minus piętnastu stopniach. Widząc moje wzburzenie, zaciągnęła się jeszcze kilka razy i zgasiła papierosa obcasem ciężkich butów.

– Wygląda okropnie – powiedziała i zamknęła wiadro z farbą.

Przyznałem jej rację. Wprawdzie obraźliwy czarny napis zniknął pod warstwą białej farby, ale poziomy biały pas nie wyglądał znacząco lepiej.

– Będę musiała wymienić cały płot. Tylko tego mi jeszcze brakowało – dodała ironicznie. – Okej, Kuba, ja się teraz przebiorę i jadę na tę umówioną rozmowę. Dzięki za pomoc i do wieczora. – Pocałowała mnie. – Bo przyjdiesz wieczorem, prawda?

– Jeśli nie będę miał żadnych planów.

– Ja jestem twoim planem.

Nie ripostowałem.

Czasem lubię dać kobiecie przewagę.

Spojrzałem na zegarek. Za godzinę na placu Bartosza Głowackiego miała się rozpocząć antyuchodźcza manifestacja. Postanowiłem ją zobaczyć. Ale wcześniej postanowiłem wstąpić do sklepu „Wszystko po 2 złote i nie tylko”, który znajdował się w okolicy. Skoro taki pendrive był tak łatwo dostępny, to przecież jest prawdopodobne, że Mareczkowi ktoś podobny podrzucił. Jak nóż i torebkę. Taką hipotezę wysnułem, malując płot i przyglądając się pośladowi Olgi w legginsach. Jak widać, można połączyć przyjemne z pożytecznym.

Skróciłem drogę, idąc obok graffiti, któremu przyglądałem się wczoraj. Dziś minąłbym je, nie zatrzymując się nawet na chwilę, ale od wczoraj coś się tu zmieniło. Trzy postacie członków Ku Klux Klanu zostały przekreślone. Krzyż celtycki zamalowano, a słowo „WIELKA” zastąpiono wyrazem „ANTIFA”. Jest jeszcze nadzieja dla tego miasta, pomyślałem i skręciłem obok sklepu meblowego.

W sklepie „Wszystko po 2 złote i nie tylko” spędziłem kilkanaście minut, nie dowiedziawszy się niczego istotnego. Pendrive’y w kształcie pomadki sprzedają się dość często i sprzedawca nie pamiętał twarzy osób, które je kupowały. Na wszelki wypadek, w razie gdyby sobie przypomniał, zostawiłem mu wizytówkę. Wyszedłem i mając jeszcze trochę czasu, wolnym krokiem poszedłem

w stronę placu Bartosza Głowackiego.

Gdy znalazłem się na Czerwonym, manifestacja właśnie się rozpoczęła. Pod pomnikiem Głowackiego stał niewysoki mężczyzna w koszulce ze znakiem Polski Walczącej i żarliwie przemawiał. W przemowę nie omieszkął wpleść nawiązań do morderstwa Karoliny, Igora przedstawiając w świetle najgorszym z możliwych. Moim zdaniem było to obrzydliwe. Jak całe to przemówienie. Pełne chorej nienawiści.

Następnie tłum zebrany na placu ruszył, skandując na przemian hasła, które tu przemilczę. Wśród maszerujących rozpoznałem kilka znajomych twarzy. W tym twarz Kazimierza Staszka, który uklonił mi się z ciepłym uśmiechem, po czym dołączył do krzyczących.

Zauważyłem także charakterystyczną twarz z blizną, z którą poprzedniego dnia miałem bliższe spotkanie. Obok szedł chłopak, który także wczoraj mu towarzyszył i od którego oberwałem. Wolałem nie wchodzić w tłum. Było gorąco, a bliskość innych ciał działała na mnie odstręczająco. Białe-czerwone flagi mieszały się z zielonymi. Doznałem dziwnego klaustrofobicznego uczucia. Łopot flag i okrzyki maszerujących dodatkowo je potęgowały. Nie wiedziałem, jak rozwiązać problem uchodźców, ale daleki byłem od nienawistnych okrzyków, które wydobywały się z gardeł maszerujących. Eskalacja tych nastrojów do niczego dobrego nie doprowadzi. Tylko idiota nie dostrzega analogii do wydarzeń z przeszłości. Ale to nie na temat. Wszedłem w tłum, bo chciałem śledzić wyrostków, którzy wczoraj obili mi głowę. Jeden z nich, ten z blizną, jednak mnie zauważył. Szturchnął kolegę i coś mu szepnął. Przyspieszyli. Ja również.

Kiedy pochód zbliżał się do skrzyżowania ulicy Sienkiewicza z Sikorskiego, tłum zgęstniał. Z chodnika przeniósł się na ulicę. Przedzierałem się do przodu, ocierając się o ludzi. Łokciem potraściłem chłopaka niosącego zieloną flagę. Ta wyślizgnęła mu się z dłoni, a materiał uderzył mnie w twarz, przylepiając się do niej. Ściągnąłem ją i rzuciłem na ziemię, zwracając tym samym uwagę pozostałych maszerujących. Ktoś szybko ją podniósł, a mnie wypchnięto z pochodu, dorzuciwszy kilka niewybrednych epitetów.

Dwóch wyrostków, których tak nieudolnie śledziłem, zaczęło uciekać. Jeden biegł w kierunku ulicy Sienkiewicza, drugi skręcił w Sikorskiego. Nie namyślając się długo, pobiegłem za tym drugim. To w końcu od niego oberwałem. Liczyłem, że dowiem się dlaczego. Chłopak miał na oko dwadzieścia lat. Był młodszy i szybszy. Wprawdzie ja ledwo przekroczyłem trzydziestkę, ale dobrej kondycji nie miałem. Łapiąc zadyszkę, pomyślałem, że przydałby mi się może jakiś trening. Ale to nie była najlepsza pora na snucie planów sportowych. Dobiegłszy do skrzyżowania, wyrostek skręcił w Wyspiańskiego, pozostawiając mnie daleko w tyle. Nie miałem szans go dogonić, biegnąc wciąż za nim. Skręciłem w Dekutowskiego, mając nadzieję, że dogonię go przy Targowej. Nie myliłem się. Szedł dalej Wyspiańskiego, pewny, że mnie zgubił. Obok straży pożarnej przeszedłem na drugą stronę, a kiedy zbliżyłem się do ulicy Wyspiańskiego, szedłem, chowając się za budynek, w którym znajdował się market chiński, sklep spożywczy i parę innych lokali usługowych. Na skrzyżowaniu chłopak zatrzymał się, po czym ruszył w kierunku ulicy Moniuszki, a następnie zniknął w bloku z mieszkaniami socjalnymi. Wszedłem za nim.

– Pan do kogo? – zza szyby portierni zachrypiął głos starego ochroniarza. Emeryt dorabiający do emerytury, pomyślałem i odpowiedziałem zgodnie z prawdą:

– Kilka minut temu wchodził tu taki młody chłopak. Ja do niego.

Oczy ciecia zwięziły się jak oczy krótkowidza pragnącego dojrzeć coś w oddali. Zostałem zlustrowany od góry do dołu. Poczuję się dziwnie.

– Nigdy tu pana nie widziałem – powiedział i kaszlnął ochryple.

– Bo nigdy tutaj nie byłem. Obcym wstęp wzbroniony? Nie rozumiem, o co panu chodzi – zirytowałem się.

– A nie, niewzbroniony. To nie osiedle strzeżone. Nie ten standard – odpowiedział ochroniarz i zaśmiał się rad z własnego dowcipu. – Tak tylko pytam. Znam wszystkich, którzy tu przychodzą, a pana pierwszy raz widzę. Dlatego spytałem.

Poprawiłem okulary uspokojony. Ochroniarz był najwyraźniej zwyczajnym ciekawskim staruszkiem, który nudną pracę urozmaicał

sobie podglądaniem życia innych.

– Właściwie to mógłby mi pan pomóc. Jestem prywatnym detektywem. – Wyciągnąłem wizytówkę i podałem mężczyźnie. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, pod którym numerem mieszka ten chłopak?

Staruszek założył okulary i przez dłuższą chwilę przyglądał się wizytówce z obu stron. Potem zdjął okulary i powiedział:

– Pod szesnastką. A coś przeszkrobał? To dobry chłopak. Opiekuje się chorym dziadkiem.

– Nie – skłamałem. – Chciałem z nim tylko porozmawiać. Myślę, że mógłby mi udzielić cennych informacji – dodałem i ruszyłem schodami na górę.

Ochroniarz miał rację. Panował tu zupełnie inny standard niż na osiedlu strzeżonym, o czym przekonałem się, wchodząc już na pierwsze piętro. Wszechobecny zaduch, będący mieszanką niestrawionego alkoholu i zapachu przepoconych ludzkich ciał, sprawił, że moim pierwszym odruchem była chęć wycofania się. Wąski korytarz pomalowany był na szaro. Po obu stronach znajdowały się szeregi blisko sąsiadujących ze sobą białych drzwi. Na końcu korytarza, niczym światelko w tunelu, majaczyło okno przesłonięte połówką od papierosowego dymu firanką, delikatnie poruszaną podmuchem gorącego wiatru. Obok przyklejono naklejkę z zakazem palenia, ale zapach świadczył o tym, że nikt go tu nie przestrzega. Wszędzie panował półmrok. Okno było jedynym jasnym punktem. Jakby wyszło z pomieszczenia całe światło, znowu na myśl przyszło mi powiedzenie Lwa Archera. Odszukałem drzwi z numerem szesnaście. Zapukałem.

Otworzył mi chłopak, za którym niedawno biegłem. Rozpoznał mnie, po czym pchnął drzwi w moją stronę, pragnąc zamknąć mi je przed nosem. O ile w bieganii okazał się sprawniejszy, o tyle w bezpośrednim starciu silniejszy byłem ja. Odepchnąłem drzwi w jego stronę. Nie dał rady ich zamknąć. Wszedłem do środka. Duszne powietrze z korytarza, przesiąknięte zapachem alkoholu i odorem potu, zmieszało się teraz z wonią lekarstw. Mieszkanie było małe. Mniejsze niż kawalerka Elżbiety Rodek. Składało się z pokoju

i aneksu kuchennego. Ale było czyste, czego na pewno nie można było powiedzieć o mieszkaniu Rodek. Nie było łazienki i toalety. Znajdowały się na korytarzu. Korzystali z nich wszyscy mieszkańcy bloku. W pokoju stało biurko, na nim stary komputer stacjonarny, a obok, na ławie przysuniętej do ściany, mały kineskopowy telewizor, w którym leciał serwis informacyjny. Były tu także dwa łóżka. Nad jednym wisiał wizerunek papieża Polaka. W łóżku spał mężczyzna.

– Czego chcesz? – warknął chłopak.

– Porozmawiać – odpowiedziałem.

– Nie tutaj. – Chłopak przeniósł wzrok na śpiącego mężczyznę. – Nie będziemy mu przeszkadzać.

Skinąłem głową na znak, że się zgadzam. Zeszliśmy po schodach. Czułem na sobie wzrok starego ciecia, który wyszedł z portierni i rozprostowywał kości, przechadzając się wzdłuż holu. Obserwował nas, dopóki nie usiedliśmy na ławce przy wejściu. Ulicą Moniuszki rzadko przejeżdżały auta. Senną ciszę mąciła dyskotekowa muzyka dobiegająca z jednego z okien. Ktoś krzyknął, żeby ją ściszyć, bo dziecko nie może spać. Bez rezultatu.

Chłopak wyciągnął paczkę papierosów i podsunął ją w moją stronę. Podziękowałem. Zapalił i wciągnął dym do płuc.

– Bóg, honor, imperium, bohaterowie, potęga, siła, walka... – zacząłem czytać słowa, które miał wypisane na koszulce i które układały się w kształt Polski. – Na rozum już miejsca nie starczyło? – zapytałem, co było dość ryzykowne, zważywszy na fakt, że poprzedniego wieczoru chłopak obił mi mordę. Nie mogłem się jednak powstrzymać.

Zbył moje pytanie milczeniem. Kilka razy zaciągnął się dymem.

– Nie mieszaj się w to – powiedział po chwili i spojrzał mi prosto w oczy. – Nie interesuj się zabójstwem Karoliny Rodek.

– Bo co?

– Bo następnym razem to nie ja obiję ci mordę. – Zdusił papierosa podeszwą i wstał. Chciał odejść.

– Poczekaj. – Spróbowałem go zatrzymać.

Odwrócił się.

– Jeśli jednak coś byś sobie przypomniał, tu jest mój adres i telefon.

– Po raz kolejny tego dnia wyciągnąłem moją wizytówkę i podałem chłopakowi.

Zawahał się, ale wziął kartonik, przyglądał się mu przez chwilę, po czym schował do kieszeni. Tej samej, z której wystawała paczka fajek.

– Łukasz Ciesielski – przedstawił się i podał mi rękę. Uścisnąłem ją. W gruncie rzeczy to nie musiał być zły chłopak. W końcu opiekował się chorym dziadkiem. – Nic do ciebie nie mam. – Popatrzył na mój nos, który właściwie nie nosił żadnych śladów wczorajszego pobicia – Bez urazy. Ale więcej nie mogę powiedzieć.

Pokiwałem głową na znak, że rozumiem. Właściwie to dochodziło do mnie, że Łukaszowi ktoś musiał za to pobicie zapłacić. Młody chłopak opiekujący się chorym dziadkiem. Nietrudno dojść, jaka jest jego waluta. Raczej mu się nie przelewa.

– A mógłbyś dać mi namiar na twojego kolegę? – Zatrzymałem go ponownie.

– Mieszka na Słonecznej. Ale on też ci niczego nie powie.

Łukasz wyjął moją wizytówkę z kieszeni, oderwał kawałek i długopisem, który trzymał w drugiej kieszeni, zapisał numer domu. Podał mi skrawek, który szybko schowałem.

– Dzięki – powiedziałem. – A tak w ogóle nacjonalizm to kiepska droga – dodałem, odchodząc.

Łukasz wzruszył ramionami. Co go tam obchodziło gderanie starszego gościa, do tego prawie gliny, jak czasem o mnie myślano. O ile nie brano mnie za akwizytora.

Zbliżało się popołudnie. Gorąco nie ustępowało. Poczułem miękki asfalt pod stopami. Sierpień tego roku rozpieszczał amatorów tropikalnych upałów. Ja do nich nie należałem. Poza tym efektem upałów była susza, a to generalnie niedobrze. Chociaż znacznie gorsze są powodzie. Taka jak ta pięć lat temu. Droga do Sandomierza wyglądała jak po apokalipsie.

Wyciągnąłem telefon i sprawdziłem godzinę. Miałem jeszcze sporo czasu do spotkania z Olgą, postanowiłem więc pójść pod wskazany przez Łukasza adres. Ulica Słoneczna. To nieopodal centrum. To właściwie osiedle domków jednorodzinnych. Mieszkali tam

tarnobrzeżanie, którzy coś w tym mieście osiągnęli. A osiągnąć coś w tym mieście oznacza mieć satysfakcjonującą pracę. Do tego dobrze płatną. Niewielu się to udaje. Miałem nadzieję, że i mnie się kiedyś poszczęści. Na razie miałem satysfakcjonującą pracę. W końcu sam sobie byłem sterem, żeglarzem i okrętem. Każdy by tak chciał. Liczyłem, że kiedyś będzie także dobrze płatna.

Słowackiego, Targową, a potem Dekutowskiego wróciłem na ulicę Sikorskiego. Zaszedłem do Lidla, gdzie po krótkim namyśle, czy wziąć colę, czy piwo, ostatecznie zdecydowałem się na piwo. Uznałem, że będzie lepsze na kaca. Wypiłem za sklepem, po czym ruszyłem w kierunku ulicy Słonecznej. Bez trudu odnalazłem dom, którego numer podał mi Łukasz. Brązowa blachodachówka lśniła w słońcu niczym popiersia na placu Antoniego Surowieckiego. Wokół rozciągał się równo przystrzyżony trawnik. Za domem znajdował się basen. Na jego powierzchni leniwie kołysał się dmuchany materac w czerwonym kolorze. Sam dom miał kolor kawy z mlekiem. Ogródzony był kutym stalowym płotem. Schodów wejściowych strzegły dwa kamienne lwy. Podobizna trzeciego, metalowego, zdobiła ogromną kołatkę do drzwi. Był to typowy domek jednorodzinny, lecz prezentował się bardziej luksusowo od innych wokół.

Uchyliłem furtkę i od razu dobiegło mnie szczekanie psa. Kiedy dostrzegłem nadbiegającego jamnika, z powrotem zamknąłem furtkę. Małe psy są najgorsze. Potrafią ucześcić się nogawki i rozszarpać ją na strzępy. Wiem, o czym mówię. Ale to nie na temat.

Spojrzałem w okno. Kremowa firanka poruszyła się nieznacznie. Po chwili w drzwiach stanął kolega Łukasza. Jednak w przeciwieństwie do niego nie próbował już przede mną uciekać. Szedł w moim kierunku z dumnie podniesioną głową.

– Fafik, do nogi! – krzyknął do psa.

Fafik posłusznie pobiegł do swojego pana. Ułożył się obok jego stóp i spoglądał na mnie nieufnie. Ja odwodziłem go od siebie tym samym.

– Nic ci nie powiem, więc lepiej stąd spadaj – odezwał się, trochę sepleniąc. Nadrabiał groźną miną i bandycką blizną na twarzy, o której już wspominałem.

– Kto nastął na mnie ciebie i Łukasza? Tylko to chcę wiedzieć – zapytałem, chociaż nie liczyłem na odpowiedź. Uznałem, że też będzie milczeć.

Podszedł bliżej. Pies za nim.

– Zostaw sprawę morderstwa Karoliny. Winny już siedzi w areszcie – wycedził przez zęby.

Spojrzał mi prosto w oczy. Wytrzymałem jego przeszywające spojrzenie i odparłem:

– A więc o to ci chodzi. Igor Haddad jako morderca Karoliny Rodek idealnie pasuje do obrazu złego ciapatego, prawda? Po co niszczy ten obraz. Nawet jeśli jest nieprawdziwy.

– A kto inny mógł to zrobić? Jego stary też pozbył się pierwszej żony. Oni już tacy są. Czy wy tego nie rozumiecie?

Nie rozumiałem, dlaczego zwraca się do mnie w liczbie mnogiej. Widocznie wywnioskował, że prowadząc śledztwo w sprawie morderstwa Rodek, wpisuję się w znienawidzoną opcję lewacką, która bezkrytycznie stoi po stronie uchodźców. Nie była to prawda. Po prostu wykonywałem swoją pracę. Choć muszę przyznać, że zawsze daleko mi było do pravicowego sposobu myślenia. Ale jeśli kiedykolwiek miałem wątpliwości, gdzie sytuuję się światopoglądowo, to stojący przede mną młody nacjonalista właśnie mnie dookreślił. Gdybym chciał posłużyć się jego retoryką, powiedziałbym, że oni już tacy są. Zawsze ciasno ujmują rzeczywistość. Ale nie chciałem się z nim równać. Nie chciałem także wdawać się z nim w dyskusję. Szykowałem się więc do odejścia.

– Tacy jak wy niszczą naszą cywilizację, opartą na chrześcijańskich wartościach. A kiedy trzeba bronić ojczyzny, pierwsi uciekacie z tonącego okrętu – dodał, kiedy się odwróciłem.

Nie wiem, na jakim był teraz okręcie, ale miałem wrażenie, że chłopak nieźle odpłynął. Poszedłem w swoją stronę.

Zbliżał się wieczór, gorąco nie mijało. Ulice były puste jak w niedzielne popołudnie. Jeśli pragniecie spokoju, zamieszkajcie w Tarnobrzegu.

Wracając, myślałem o Łukaszu i jego koledze, którego imienia nawet nie poznałem. „Łuki”, tak zacząłem nazywać go w myślach, był

w moim odczuciu zagubionym chłopakiem, który z powodu biedy i trudu związanego z opieką nad chorym dziadkiem po prostu zbłądził. Chcącemu wyrwać się z szarej codzienności nacjonalizm podał rękę i zdefiniował otaczającą rzeczywistość. Ale jego kumpel to dość nieprzyjemny typ. Z bogatego domu. Buntuje się dla kaprysu. I chyba mocno wierzy w swoją ideologię. Choć to nie on mnie uderzył, przynajmniej tak mi się zdawało, lecz Łuki, to nie chciałbym go już więcej spotkać.

Tak rozmyślając, doszedłem do Sokolej. Na chodniku podbiegł do mnie Chandler i z wyrzutem miauknął. Pogłaskałem go. Otarł mi się o łydkę i pobiegł do drzwi, oglądając się i sprawdzając, czy idę za nim. Otworzyłem drzwi. W środku było chłodniej niż na zewnątrz. Może jednak zamykanie okien i drzwi w czasie upału ma sens. Muszę o tym powiedzieć Danucie, kiedy wróci.

Chandler od razu podbiegł do miski, ja otworzyłem lodówkę i wyciągnąłem piwo, rad, że zostawiłem je na później. Zimny płyn przyjemnie podrażnił mi przełyk. Spojrzałem na zegarek wiszący nad lodówką. Jeśli chciałem być punktualny, powinienem się pośpieszyć. Wymieniłem wodę Chandlerowi i dosypałem suchej karmy. W toalecie sprawdziłem kuwetę. Wprawdzie Chandler cały dzień był na zewnątrz, ale być może rano zdążył nabrudzić. Poruszałem łopatką w żwirku, odchylając się na bezpieczną odległość. Czysto. Kiedyś nawet bym nie pomyślał, że polubię kota, a co dopiero, że będę sprzątać po nim kupę. Nie takie rzeczy się w życiu zdarzają. Koniec końców, lepiej sprzątać gówno, niż w nie wdepnąć.

Z piwem w rękę poszedłem na górę. Usiadłem na kanapie i sprawdziłem fejsa w telefonie. Moje poranne zdjęcie z Chandlerem miało sześćdziesiąt lajków, piętnaście komentarzy i jedno udostępnienie. Udostępniła Danuta. Większość komentarzy to były serduszka. Dostałem także kilka prywatnych wiadomości. Koleżanka ze studiów myślała, że nie żyję, tak rzadko udzielam się na fejsie. Nie ma cię na fejsie, nie istniejesz. Niektórzy naprawdę w to wierzą. Wylogowałem się, skończyłem piwo i poszedłem wziąć prysznic. Miałem przecież życie bez fejsa.

Rozdział 9

Piątek, 14 sierpnia 2015, wieczór

Zmęczenie dawało mi się we znaki. Wprawdzie kac przeminął, jak niewygodne wspomnienie, poważniejszego uszczerbku na zdrowiu w wyniku pobicia nie doznałem, ale nie czułem się do końca sprawny. Wpływ na mój stan miał zapewne popołudniowy bieg za Łukaszem i jego kolegą oraz upał. Zmęczyła mnie także Olga. Ale był to przyjemny rodzaj zmęczenia. Seks zbliża ludzi. To prawda. A na pewno tego wieczoru zbliżył mnie i Olę. Rozmawialiśmy więcej niż zwykle.

Leżałem spocony na łóżku, nie mając siły nawet jej objąć. Głowa Olgi spoczywała na moim ramieniu, a jej palce wędrowały po mojej piersi, znacząc wilgotną skórę niewidocznymi wzorami. Nad nami obracał się żyrandolowy wentylator, a za oknem odzywały się jakieś owady, może świerszcze. Mogłem tak leżeć bez końca.

– Zgłodniałam – powiedziała nagle, odsuwając się i burząc nastrój. Zaczyna się proza życia.

Uwolniwszy ramię od jej ciężaru, splotłem dłonie za głowę i przyglądałem się, jak zakłada ubranie.

– Idę zrobić coś do jedzenia. Masz ochotę na kanapki z polędwicą drobiową?

– Dziękuję, nie jestem głodny. Poza tym nie jadam mięsa – odpowiedziałem, wciąż wpatrując się w Olę, która zapinała guziki prześwitującej bluzki.

– Serio? Nie mówiłeś o tym wcześniej.

– Wybacz. Odniosłem wrażenie, że masz bardziej wysublimowane pragnienia, niż zdobywanie wiedzy dotyczącej moich upodobań kulinarnych.

– Jak zawsze skromny. A teraz pewnie mi powiesz, że ludzie nie powinni jeść mięsa, bo nie są drapieżnikami, nie mają kłów, pazurów i tak dalej.

– Co do ludzi, to nie mam o nich wysokiego mniemania. Są jak świnie, zjedzą wszystko. Nie ubliżając świniom oczywiście.

Olga roześmiała się. Coraz bardziej lubiłem jej śmiech. Zwłaszcza że umiałem go wywołać. Miała rację. Nie byłem skromny.

– A tak poważnie: dlaczego nie jesz mięsa? Zawsze mnie to ciekawi.

– Bo nie lubię zwierząt. Wszystkich – odpowiedziałem, przewracając się na bok. Podparłem głowę ręką. Olga przeszła na drugą stronę pokoju. Chciałem mieć jej tyłek w zasięgu wzroku.

– Pytałam poważnie.

– To była poważna odpowiedź.

Wyszła do kuchni. Gdy wróciła, w jednej dłoni niosła talerz z kanapkami, w drugiej piwo.

– Ale piwa chyba nie odmówisz – powiedziała, schylając się i wyciągając rękę z butelką w moją stronę.

– Jak jeszcze paru innych rzeczy. – Odgarnąłem kosmyk włosów, który opadł jej na czoło, po czym sięgnąłem po piwo. Butelka była zimna. Wypiłem kilka szybkich łyków.

Olga zjadła kanapki. Ostatni kęs popiła piwem, które bez pytania wyciągnęła mi z ręki. Kiedy oddawała mi butelkę, na której nie było już śladu szronu, a piwo zaczynało robić się ciepłe, to kolejny powód, dla którego można znienawidzić upały, nasze palce zetknęły się na chwilę. W pewien sposób mnie to wzruszyło. Pomyślałem o chwyceniu Olgi za rękę. Zamiast tego zapytałem:

– Dlaczego mnie okłamałaś? Dlaczego powiedziałaś mi, że Igor to twój syn?

Wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Podeszła do nocnego stolika, gdzie leżała paczka jej ulubionych fajek. Wyciągnęła papierosa, włożyła do ust, ale kiedy chciałem podać jej ogień, odłożyła papierosa z powrotem do paczki. Doceniłem to. Mimo że tym razem z chęcią odpaliłbym jej papierosa, niczym aktor w filmie *noir*. Usiadła zrezygnowana na skraju łóżka.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale naprawdę miałam taki zamiar. Właściwie zwróciłam się do ciebie w konkretnym celu. To, co powiedział ci Igor, to prawda. Zakochałam się w nim. A może tylko

mnie zauroczył? Z perspektywy ostatnich dni raczej to drugie. W każdym razie, idąc do ciebie, myślałam, że jestem zakochana. Dlatego chciałam, abyś oczyścił Igora z zarzutów. Poza tym wierzyłam, że jest niewinny. Właściwie nadal w to wierzę i chciałabym, abyś znalazł prawdziwego mordercę Karoliny Rodek, ale jestem niemal pewna, że już nie kocham Igora. Kiedy cię zobaczyłam, poczułam „to coś”. Wiem, że to banalnie brzmi, ale to prawda. Od pierwszego wejrzenia miałam ochotę poznać cię bliżej. Nie mogłam więc powiedzieć, że kocham Igora. Na szybko wymyśliłam więc kłamstwo, że Igor jest moim synem. Spodziewałam się, że się dowiesz, że to nieprawda, ale liczyłam, że do tego czasu coś już się między nami wydarzy i mi wybaczysz, a może nawet pomyślisz, że to urocze.

Skończyła i spojrzała na mnie. Pomyślałem, że to całkiem głupie, a nie urocze, lecz nie powiedziałem jej tego. Właściwie nie powiedziałem nic, tylko ją pocałowałem. Ale inaczej niż do tej pory. Długo, delikatnie i czule.

Kiedy oswobodziła się z moich ramion, powiedziała:

- Kuba, opowiedz mi coś o sobie.
- A co chciałabyś wiedzieć?
- Co robiłeś wcześniej? Dlaczego zostałeś detektywem? Byłeś zakochany?
- Za dużo tych pytań. Zdecyduj się.

Zdecydowała się na trzecie. Ułożyłem się wygodnie na plecach, skrzyżowałem dłonie pod głową i zacząłem opowiadać. Zdziwiony, że tak otwieram się przed Olgą. Czyżby stawała się dla mnie kimś bliskim? Opowiedziałem jej o Annie. Mojej pierwszej miłości. O tym, jak poznaliśmy się na studiach. Była to głupia, namiętna i pełna sprzeczek miłość. Studiowaliśmy polonistykę, ale z okresu studiów bardziej pamiętam namiętne noce z Anną niż przesiadywanie w bibliotekach, które z pewnością również było, skoro udało nam się skończyć studia. W roku, w którym obroniliśmy prace magisterskie, pobraliśmy się. Rozpoczęliśmy także swoje pierwsze prace. Ja ciągle je zmieniałem, były to głównie posady w sklepach, i jednocześnie uczyłem się w szkole detektywów. Anna dostała za to pracę w banku,

gdzie szybko pięła się po szczeblach kariery. Zaczęły się wyjazdy integracyjne, nowi znajomi, a z czasem nowy facet. Pewnego dnia po prostu oświadczyła, że chce rozwodu. Kiedy zrozumiałem, że nie mam wyjścia, że Anna ani myśli ratować nasze małżeństwo, ustąpiłem. Dałem jej, czego chciała.

– ...i wróciłem do Tarnobrzega. Reszty powinnaś się domyślić – skończyłem opowieść.

– Wróciłeś do Tarnobrzega? – Olga pokiwała z niedowierzaniem głową. – Nie wolałeś zostać w Lublinie? Albo wyjechać do innego dużego miasta? Na przykład do Warszawy?

– W Lublinie zostało zbyt dużo wspomnień i złych emocji. Inne miasto? Nie myślałem wtedy o tym. Poza tym zmarł mój ojciec. Zostawił mieszkanie. Musiałem się wszystkim zająć.

Olga przysunęła się bliżej. Objąłem ją ramieniem.

– A ty?

– Co ja?

– Dlaczego wyszłaś za ojca Igora?

Tym razem Olga sięgnęła po papierosa, może trochę nerwowo, lecz pewniej. Zapaliła i położyła paczkę i zapalniczkę obok. Nie był to jej ostatni papieros tego wieczoru.

– Wychowałam się w domu dziecka – zaczęła. – Nie miałam w życiu łatwo. Kiedy opuściłam dom dziecka, zaczęłam pracować w klubie nocnym. Tam poznałam ojca Igora. Zaczęliśmy się spotykać. Był jeszcze wtedy żonaty. Nie byłam w nim zakochana. Był ode mnie starszy o trzynaście lat. Ale dawał poczucie bezpieczeństwa. Chciał się mną opiekować. Może to było wyrachowanie z mojej strony, ale pomyślałam, że wiążąc się z nim, zapewniam sobie stabilizację. Była to najlepsza decyzja, jaką mogłam podjąć. I wtedy to się stało. Zamordował swoją żonę. Nigdy się do tego nie przyznał, ale dowody były jednoznaczne. Prawdopodobnie zrobił to z miłości do mnie. Chciał być tylko ze mną. Zanim go skazano, wzięliśmy ślub. Zapisał na mnie dom oraz sieć kebabów. Jestem więc ustawiona do końca życia. No i chciałam opiekować się Igorem.

– Najlepiej jak potrafisz – wtrąciłem, nie mogąc się powstrzymać.

Nic na to nie odpowiedziała. Zapaliła kolejnego papierosa

i ciągnęła:

– Igor nigdy nie miał do mnie złego nastawienia. Wydaje mi się, że zawsze go w jakiś sposób fascynowałam. Wiesz. Tak jak dojrzała kobieta fascynuje młodego chłopaka. Zakochał się w Karolinie Rodek, ale nam to nie przeszkadzało w nawiązaniu romansu. Ja chyba się zakochałam, on lubił seks ze mną. Tak się uzupełnialiśmy – skończyła.

– A potem poznałaś mnie i też się zakochałaś – powiedziałem.

Olga zaśmiała się. Nie wiedziałem, jak mam to odebrać, więc po prostu postanowiłem ją pocałować. Odsunęła się.

– Wiesz, Kuba, chyba musisz już iść.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem.

– Jutro rano muszę wcześniej wstać. Umówiłam się z robotnikami. Mają wymienić płot. Chciałabym resztę nocy spędzić sama i się wyspać.

Nie protestowałem. Zadzwoiłem po Heńka. W drodze powrotnej myślałem o rozmowie z Olgą. Chyba zaczynałem ją lubić jeszcze bardziej. No i przestałem ją podejrzewać.

Rozdział 10

Sobota, 15 sierpnia 2015

Rozmowa z Olgą nastroiła mnie nostalgicznie. Gdy wróciłem do domu, odpałem laptopa i otworzyłem folder, do którego starałem się zaglądać jak najrzadziej. Były w nim moje zdjęcia z Anną. Nie wyrzuciłem ich, chociaż szansa na to, że kiedyś znowu będziemy razem, wydawała się mniejsza niż to, iż w niedalekiej przyszłości wyjadę na zagraniczne wakacje. Nie przy moich obecnych zarobkach. Oglądałem zdjęcia z naszego ślubu, z czasów studenckich i zastanawiałem się, w którym momencie z naszą miłością zaczęło się dziać coś złego. Doszedłem do wniosku, że zupełnie przegapiłem ten moment. Resztę wieczoru spędziłem z butelką piwa i Chandlerem. Kubek z Bogartem zniknął z pokoju. Danuta musiała wynieść go do kuchni. Tym samym oszczędziłem sobie wątpliwej przyjemności picia w towarzystwie gościa, który choć był alkoholikiem, osiągnął w życiu więcej niż ja. Jego obecność działałaby deprymująco. Chandler był dobrym towarzyszem. Ułożył się na łóżku i słuchał. Czasem człowiek potrzebuje się wygadać. A koty są dobrymi słuchaczami. Do tego nie przerywają i nie pouczają. Wylałem więc na niego wszystkie swoje smutki i poszedłem spać.

Ale to było wczoraj. Wczoraj Mareczek jeszcze żył. Dziś moja nostalgia przeminęła, a ciało Mareczka leżało nad brzegiem Wisły. Wybaczcie ten zaskakujący przeskok. Tak, Mareczek został zamordowany. Jak z podejrzanego stał się nagle denatem? O tym za chwilę. Tymczasem jego ciało, obnażone od pasa w dół, ze skrępowanymi drutem nogami i przyklepionymi dosłownie wszędzie drobinami piasku, leżało na brzegu Wisły. Rzeka płynęła leniwie, krzykliwe rybitwy latały nad jej brzegiem, co jakiś czas przysiadając na pożółkłej od upału trawie. Stałem, milcząc. Jurek także niewiele się odzywał. Trzeci trup w ostatnim czasie. Nie wyglądało to dobrze. Zwłaszcza że Mareczka dopiero wczoraj zwolniono z aresztu. Sędzia

uznał, że fanty znalezione w jego melinie to za mało, aby stosować wobec niego areszt. Nie pytajcie dlaczego. Niezbadane są wyroki sędziów. Zwłaszcza w Tarnobrzegu. Ale to temat na inną opowieść.

Mareczek wciąż był podejrzany, lecz zamiast aresztu otrzymał zakaz opuszczania miasta. Jak widać, Mareczek nie wyszedł na tym najlepiej. Technicy, prokurator, lekarz sądowy pracowali na miejscu zbrodni, a ja przyglądałem się ich krzątaniu z pewnej odległości. Dziś byłem skłonny przychylić się do twierdzenia Jurka, że Tarnobrzeg to spokojne miasto i ludzie powinni czuć się tu bezpiecznie, a nie umierać. W dodatku w wyniku morderstwa.

Zbierając się z miejsca, w którym odnaleziono ciało, natknąłem się na Marcelę. Nie zamieniliśmy właściwie słowa. Ona chyba także czuła bezsens całej sytuacji. Tylko gapie na wale przeciwpowodziowym ciekawsko spoglądali na teren otoczony policyjną taśmą. Miałem dość.

Sherlock Holmes zagadkę śmierci Karoliny Rodek i jej matki rozwiązałyby, nie wychodząc z domu. Nie byłem Sherlockiem Holmesem. Nie miałem nawet swojego doktora Watsona. Wracając do Tarnobrzega i otwierając tu biuro detektywistyczne, liczyłem na to, że będę dostarczał dowodów do spraw rozwodowych albo szukał osób zaginionych, które odnajdywałyby się same po kilku dniach. Tymczasem mieszkalem tu tylko od ponad roku, a już doszło do trzech morderstw. W dodatku niemal w ciągu miesiąca. Zaczynałem rozumieć frustrację Jurka. Tarnobrzeg to małe miasto. Powinno tu być bezpiecznie.

Szedłem w kierunku domu. Po drodze chciałem kupić piwo, lecz wszystkie sklepy były dziś zamknięte. Dopiero przy próbie wstąpienia do trzeciego z rzędu przypomniałem sobie, że jest święto. Zdenerwowałem się. Na szczęście bar „Pod Bażantem” był jak zawsze otwarty. Na Sokolej jak zwykle spotkałem Chandlera. Wałęsał się po podwórku sąsiada. Podejrzewaliśmy z Danutą, że nasz sąsiad regularnie go dokarmia. Nie myliliśmy się. Pan Waldemar otworzył drzwi i wystawił miskę z jedzeniem. Chandler podbiegł i zaczął jeść. Waldemar, widząc moje spojrzenie, schował się. Jakby się zawstydził. Nie zdążyłem nawet machnąć mu na powitanie. Minałem urząd

miasta i fontannę i udałem się w kierunku placu Czerwonego. Za moimi plecami, z budynku urzędu miasta, rozległ się hymn Tarnobrzega. Z przodu natomiast ujrzałem owczarka niemieckiego, który siedział przy ławce, na której usadowił się jego pan. Pies uniósł łeb i zawył przeciągle, naśladując melodię. Było samo południe. Najwyższa pora, aby się napić.

Plac był pusty. Z kościoła Dominikanów dobiegały odgłosy świątecznej mszy. Fontanna wzbijała się do góry od niechcenia. Kolejne leniwe, upalne tarnobrzegie południe. Usiadłem pod parasolem. Nie byłem pierwszym klientem. Otworzyłem portfel i przeliczyłem gotówkę. Na jedno zimne piwo wystarczy. Wszedłem do środka, złożyłem zamówienie i po chwili postawiłem zimną szklankę na stoliku pod parasolem. Obok swój ogródek miała pobliska lodziarnia. Był prawie pusty. Tylko brunetka o nieproporcjonalnie dużych oczach i małych, wąskich ustach popijała jakiegoś shake'a. Kiedy zauważyła, że się jej przyglądam, założyła nogę na nogę i skierowała spojrzenie w przeciwnym kierunku. Widocznie nie miała ochoty na towarzystwo. Przeniosłem spojrzenie na plac. Wciąż było pusto. W taką pogodę większość tarnobrzeżan wyleguje się nad jeziorem.

Będąc w połowie piwa, postanowiłem pomyśleć o śledztwie. Ponad miesiąc temu zginęła Karolina Rodek. Oskarżony o jej zabicie Igor Haddad siedzi w areszcie, czekając na proces. Kilka dni temu została zamordowana jej matka, a dziś znaleziono martwego Mareczka, jej domniemanego zabójcę. Dwa morderstwa w tak krótkim odstępie czasu. Wszystko zaczęło się w momencie, kiedy zacząłem się kręcić wokół tej sprawy. Świadczy to tylko o tym, że morderca nie zdążył zatrzeć po sobie wszystkich śladów i próbuje to teraz naprawić, być może na wypadek gdyby udało mi się coś odkryć. Jakiś ślad znajdował się w domu Elżbiety Rodek, skoro zginęła. Mareczek został zwolniony z aresztu. Być może morderca bał się, że coś widział, że coś może mu się przypomnieć, a wtedy policja wpadnie na jego trop.

Pociągnąłem łyk piwa. Miałem nadzieję, że więcej osób nie jest zamieszanych w sprawę. Jeśli tak, ktoś jeszcze mógł w najbliższym czasie zostać zamordowany, skoro morderca zaczął eliminować

potencjalnych świadków lub osoby mogące coś wiedzieć. No i ten napad na mnie. Wprawdzie miałem zostać tylko nastraszony, ale komuś ewidentnie było nie na rękę, że mieszam się w zamknięte już właściwie śledztwo.

Po trzynastej plac Czerwony wypełnił się ludźmi wychodzącymi z kościoła. Roili się jak pszczoły w ulu. Ich szemrzące rozmowy przypominały bzyczenie owadów zapylających kwiaty. Przy trzydziestostopniowym upale było to dość męczące.

– Dzień dobry, panie detektywie – usłyszałem zza niewielkiego płotu z reklamą piwa Żywiec, który wyznaczał niewielką przestrzeń ogródka piwnego baru „Pod Bażantem”.

Podniosłem wzrok. Przede mną stał Kazimierz Staszek.

– Dzień dobry. Panu Bogu świeca, a diabłu ogarek? – zapytałem znad pustego kufła, mając na myśli wczorajszy udział Staszka w manifestacji i dzisiejszą mszę świętą.

– Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi. – Zaśmiał się.

– O to, jak w swoim sumieniu godzi pan brak miłosierdzia z chrześcijańskim nakazem miłowania.

– Właśnie wróciłem z kazania. Nie musi mi pan prawić własnego. W dodatku z pustą szklanką w ręku.

– Czy chciałby mi ją pan napełnić?

– Jest pan bezczelny, panie detektywie – odpowiedział Kazimierz, po czym się uśmiechnął. Widać odpowiadał mu taki rodzaj bezczelności. – Jak panu idzie śledztwo? – dodał po chwili.

– Jeśli ma pan ochotę pogadać, zapraszam do stolika.

Rozejrzał się po ogródku i skrzywił z niechęcią.

– Może przejdźmy do tego obok. – Wskazał ogródek przy lodziarni.

– Postawię panu loda, co pan na to?

– Brzmi niemoralnie.

– Niech pan nie łapie mnie za słówka. To jak?

Wstałem. Odstawiłem kufel do baru i przeszedłem do ogródka obok.

Kazimierz podał mi lody owocowe w ogromnym waflu, z którego wystawała srebrna łyżeczka, wyglądająca niczym język węża. Spróbowałem. Smakowały wyśmienicie. W sam raz na drugie

śniadanie.

– Śledztwo idzie powoli. Odwrotnie proporcjonalnie do liczby trupów – odpowiedziałem na zadane wcześniej pytanie. – W dodatku sam niedawno zostałem pobity – dodałem, bacznie obserwując reakcję Staszka.

Zrobił zatroskaną minę. Sprawiał wrażenie szczerego.

– Jeśli mógłbym w czymś panu pomóc, proszę pytać. Mam wpływy w mieście. Oczywiście to nic nielegalnego. Po prostu znam się z ważnymi osobami i czasem wyświadczamy sobie przyjacielskie przysługi.

– Ostatnio nie mieliśmy okazji dłużej porozmawiać. Może przypomniało się panu coś istotnego, co dotyczy Karoliny Rodek? – zapytałem po chwili zastanowienia.

– No cóż. Na ten temat chyba wszystko panu powiedziałem. Nie znałem jej dość dobrze. Po prostu była moją studentką. Ale wie pan? Coś mi się przypomniało. – Kazimierz poruszył się, zakładając nogę na nogę. – Wydaje mi się, że na wiosnę zaczęła spotykać się z kimś nowym. Nie zwróciłem uwagi, gdyby miało to miejsce tylko raz, ale sytuacja powtórzyła się kilkakrotnie. Moje wykłady były zazwyczaj w piątki, na koniec wszystkich zajęć. Kilka razy po Karolinę przyszedł ktoś inny. Na pewno nie był to Igor. Może powinien pan zbadać ten trop.

– Czy wie pan, kto to był?

– Nie. Może to ktoś spoza miasta? Nie widziałem go nigdy wcześniej. Z drugiej strony, mimo że to małe miasto, to bywa też, że jednak nie wszyscy się tu znają. Mógłby więc być nawet z miasta.

– A może mógłby go pan opisać? – drażyłem, pochłaniając porcję lodów.

– Widzę, że panu smakują. – Kazimierz zauważył mój apetyt. Uśmiechnął się z zadowoleniem. – Zawsze po mszy na nie przychodzę. No, ale...

– ...ale to nie na temat – wtrąciłem.

– Właśnie. Niczym szczególnym się nie wyróżniał. Wysoki brunet, szczupły, chyba starszy od Karoliny. Nie przyglądałem mu się za bardzo. W końcu prywatne sprawy moich studentów to nie mój

interes. Właściwie odnotowałem ten fakt od niechcienia. Po prostu, gdy ja wychodziłem z zajęć, po Karolinę przychodził tamten. Dlatego to zapamiętałem.

Zjadłem lody i zacząłem nadgryzać wafelek. Wstałem i zacząłem żegnać się z Kazimierzem.

– Dziękuję za informację. Być może okaże się cenna – powiedziałem, wstałem od stolika i odszedłem.

Ruszyłem w kierunku Bogdanówki. Miałem umówione spotkanie ze Stanisławem Opiołkiem. Był pierwszy na miejscu przestępstwa.

Opiołkowie mieszkali w niewielkim mieszkanku, na które składał się mały salon, sypialnia, aneks kuchenny i łazienka. Jedno z nich, odpowiedzialne za wystrój lokum, gustowało we wszelkich odcieniach brązu. Ściany w kolorze kawy z mlekiem korespondowały z brązem zasłon, dywanu i mebli z wczesnych lat osiemdziesiątych. Mogły mieć tyle lat co ja.

Drzwi otworzył mi Opiołek. Za nim przydreptał biszkoptowy labrador, który na mój widok wydał z siebie stłumione szczeknięcie.

– Cicho, Brunuś – uspokoił go Opiołek, na co pies zareagował flegmatycznym machnięciem ogonem.

– Kto tam, Stasiu? – Z głębi mieszkania dobiegł głos starszej kobiety, prawdopodobnie żony Opiołka.

– To pan detektyw. Mówiłem ci, że ma dziś przyjść – rzucił Opiołek, odwracając głowę w kierunku salonu.

– No tak. Ale co to za chodzenie po ludziach w święto – skomentowała Opiołkowa.

– Niektórzy nawet w święto pracują, a nie oglądają seriale – odpowiedział jej Opiołek, a na mnie spojrział przepraszająco. – Proszę, niech pan wejdzie – powiedział i dłonią zaprosił mnie do środka.

Pogłaskałem labradora, który wyglądał na dość wiekowego. Odszedł, nic sobie nie robiąc z mojej pieczyoty, i ułożył się przy stopach Opiołkowej, która siedziała na kanapie z pilotem w ręku. Widocznie w swoim kilkunastoletnim życiu odebrał już taką porcję pieczyoty, że jedna więcej nie robiła na nim wrażenia. W mieszkaniu było duszno. Powietrze wpadające przez okno i balkon tylko potęgowało uczucie gorąca. Opiołkom to jednak nie przeszkadzało.

Wiatrak stojący w kącie stał bezużytecznie jak pełny kufel piwa na kinderparty. Opiołkowa oglądała powtórkę *Ojca Mateusza*, a mnie przywitała chłodnym skinieniem głowy.

– Dalej. Do sypialni. Tam porozmawiamy. – Opiołek wskazał ręką wejście do drugiego pokoju i poszedł przodem, prawą nogę pociągając za sobą, a dłonią przytrzymując dolny odcinek pleców.

– Problemy z kręgosłupem? – zapytałem.

– Aaa. – Opiołek machnął ręką. – Na starość wszystko szwankuje. Coś by się chciało, a pozostają tylko dobre chęci, a wie pan, co jest nimi wybrukowane. Człowiek nie potańczy, nie dojdzie, gdzie chce. Same ograniczenia. Rwa kulszowa – dodał, siadając z trudem na wersalce.

– A próbował pan rehabilitacji?

– A jak nie? Próbowałem. Ale idzie pan do lekarza, dajmy na to, w styczniu, a rehabilitacja dopiero za pół roku, i co to da? Na taki ból to laser i prądy od razu by się przydały. Byłem zimą na zabiegach, ale akurat kręgosłup nie dawał mi się we znaki. Sam ortopeda mi powiedział, że zabiegi nie działają na zaś. No ale wszystkie wybrałem. Teraz by mi się najbardziej przydały, ale nie wiem, czy jakbym teraz poszedł, to czybym się jeszcze na ten rok załapał.

Sypialnia Opiołków, wbrew moim przypuszczeniom, nie składała się z jednego małżeńskiego łóża, lecz z dwóch stojących naprzeciwko siebie wersalek. Znak, że Opiołkowie już dawno przestali ze sobą sypiać. Usiadłem na drugiej, naprzeciwko Opiołka. Nad jego głową wisiało czarno-białe monidło w posrebrzanej ramie, na której zebrała się warstewka kurzu. Idealne podsumowanie każdego starego małżeństwa.

– No ale jest jeden dobry lek na wszystko. – Głos Opiołka wyrwał mnie z zamyślenia.

Stanisław Opiołek wstał, przytrzymując biodro.

– Niech mi pan pomoże. – Wskazał wersalkę. – Proszę podnieść do góry.

Posłuchałem. Pod poduszką z pierza znajdowała się przenośna lodówka. Opiołek wyjął z niej dwa piwa. Zamknąłem wersalkę i usiedliśmy. Charakterystyczny syk otwieranej puszkii Opiołek

próbował zagłuszyć kaszlnięciem. Wypadło to groteskowo. Mimo to tę samą czynność powtórzył, otwierając drugą puszkę.

– Wszystko słyszałam, Stasiu. – Zza cienkiej ściany oddzielającej sypialnię od salonu dobiegł głos Opiótkowej. – Chociaż w święto byś nie pił. Nie mówiąc o tym, że mamy sierpień, miesiąc trzeźwości, ale co cię to obchodzi. – Byłem pewien, że właśnie w tym momencie Opiótkowa machnęła ręką i ponownie wpatrzyła się w ekran telewizora. Ojciec Mateusz już pewnie schwytał mordercę, labrador Opiótków nawet nie kiwnął ogonem, a ja wciąż nie wiedziałem, kto morduje w Tarnobrzegu.

– To pan detektyw pije, nie ja – rzekł Opiótek. Odpowiedziała mu cisza. Widocznie Opiótkowa straciła chęć do komentowania. W ich długoletnim pożyciu małżeńskim dość już nastrzępiła języka, skonstatowałem.

– Chyba się pan nie gniewa. Detektywi ponoć dużo piją.

– Piłem, zanim zostałem detektywem. Raczej bym tego nie łączył.

– Ja nie piłem, dopóki się nie ożeniłem. I skłonny byłbym to jednak łączyć.

Roześmiałem się. Riposta Opiótki była błyskotliwa.

– Ale gdybym nie pił, nie znalazłbym się wtedy na miejscu zbrodni. Byłem na spacerze z Brunusiem. Lubię z nim wychodzić, ale to także dobry pretekst, żeby... – Opiótek zrobił charakterystyczny gest w okolicy szyi. – Czego chce się pan w takim razie dowiedzieć? Przyznam szczerze, chyba wszystko powiedziałem już policjantom. Panu będę mógł tylko wszystko powtórzyć.

– To proszę powtórzyć. Co pan widział? Czy widział pan, jak Karolina Rodek wypadła z balkonu?

– Tak nie mogę powiedzieć. – Opiótek w skupieniu spojrzał za okno. Jakby próbował przypomnieć sobie wszystko, co wydarzyło się tamtego wieczoru. – Nie widziałem, jak wypadła z balkonu. Stałem odwrócony. Usłyszałem krzyk, a potem był tylko przytłumiony odgłos uderzenia. Nie wiem, jak to nazwać. Jakby ktoś worek ziemniaków wyrzucił z okna. Odwróciłem się, a ona już leżała.

Upił łyk piwa. To nie było przyjemne wspomnienie.

– Czy usłyszał pan coś jeszcze? – Także pociągnąłem łyk piwa. Nie

było zimne, smakowało wstrętne, ale nie takie rzeczy pijałem.

– Nie. Kiedy zdenerwowany zacząłem wybierać numer alarmowy, ona już chyba nie żyła.

– A może na miejscu zauważył pan kogoś nietypowego?

– Czy ja wiem... – Opiółek zamyślił się. – Po chwili zjawiło się tam sporo ludzi. Głównie mieszkańców tych wieżowców. Ale nie, nikogo podejrzanie wyglądającego nie widziałem. Zresztą sam byłem w szoku. Przystanąłem z Brunem tylko na chwilę, aby napić się piwa. W domu żona zawsze truje mi o to głowę. Zresztą, był pan świadkiem. Często tak robię. A właściwie robiłem. Teraz chodzę na spacer w innym kierunku. Tamta okolica nieprzyjemnie mi się kojarzy.

Dopiliśmy piwo. Opiółek niewiele mi powiedział, ale i jemu na wszelki wypadek zostawiłem moją wizytówkę, mówiąc, że gdyby sobie coś przypomniał, niech da znać. Z doświadczenia wiedziałem, że to czasem działa. Liczyłem na to, że po moim wyjściu Stanisław Opiółek jeszcze raz wróci wspomnieniem do ostatnich dni czerwca i może coś sobie przypomni.

Wyszedłem odprowadzany przez kuśtykającego Opiółka, podejrzliwe spojrzenie Opiółkowej i wzrok starego, znudzonego labradora.

Panie, pomóż mi pan – rozległo się za moimi plecami.

Odwróciłem się. Za mną szła kobieta w wieku mojej matki, gdyby ta... Ale to nie na temat. Krople potu rosiły jej pomarszczone i opalone czoło. Białe ramiona i brązowe przedramiona świadczyły o tym, że opalenizny nabrała raczej podczas pracy w ogródku działkowym niż na plaży przy naszym jeziorze. Pod pachą taszczyła zwinięty w rulon dywan, który wciąż się jej wyslizgiwał. Prawdopodobnie to przy nim potrzebowała mojej pomocy. Wziąłem go od niej i próbowałem nieść. Był ciężki jak bela drewna.

– Może spróbujemy razem? – zaproponowała kobieta, widząc, że wcale nie radzę sobie lepiej niż ona.

Nie zaprotestowałem. Nie jestem typem macho, który gotów jest zrobić najgłupszą rzecz, aby tylko udowodnić swoją męskość. Kobieta

chwyciła jeden koniec i szła przodem. Ja trzymałem za drugi, próbując podążać za nią w tempie, które narzuciła.

– Promocja jest. Dywany za połowę ceny. Może pan też coś sobie wybierze?

– Nie, dziękuję. Nie mam nawet własnego mieszkania, w którym mógłbym taki dywan rozłożyć – odpowiedziałem.

– Ja mieszkam w tamtym wieżowcu. – Wskazała palcem blok, w którym mieszkała Karolina Rodek. Zachwiałem się, bo na chwilę środek ciężkości dywanu przechylił się na moją stronę. – To już niedaleko. Gdybym wiedziała, że to takie ciężkie, tobym jednak wzięła tę dostawę do domu. Ale pomyślałam, że mam blisko, to co będę przepłacać.

– Ma pani rację – przyznałem, chociaż w środku pomyślałem, że to szczyt sknerstwa i głupoty. Ostatecznie mogła też wybrać mniejszy dywan. Ten, który nieśliśmy, pewnie najlepiej czułby się w ogromnym salonie.

– Sama mieszkam. Dzieci wyjechały. Tak to syn by mi pomógł. Ale syna nie ma, więc na stare lata sama się muszę ze wszystkim obchodzić – dodała, jakby chcąc się usprawiedliwić.

– Mówi pani, że mieszka w tamtym wieżowcu? – Wskazałem kierunek głową, korzystając z faktu, że kobieta akurat obejrzała się w moją stronę. Środek ciężkości dywanu ponownie przechylił się na moją stronę. Ponownie się zachwiałem.

– A tak. W tym, co to się to nieszczęście wydarzyło. Pewnie pan słyszał. Ale kto w Tarnobrzegu nie słyszał. – Ostatnie zdanie wypowiedziała ciszej. Jakby do siebie.

– Słyszałem. A właściwie to nad tą sprawą pracuję – powiedziałem, a kobieta znowu się odwróciła. Tym razem udało mi się zachować równowagę.

– A to pan z policji? Rozmawiałam już z policjantami, a pana nie pamiętam. – Przeszyła mnie świdrującym wzrokiem.

– Nie, nie jestem z policji. Ale wykonuję zawód pokrewny. Jestem prywatnym detektywem.

Kobieta zatrzymała się.

– Siądźmy na chwilę. Odpoczniemy i pomoże mi pan zanieść ten

dywan do domu – stwierdziła.

Nie zaprotestowałem.

– Była pani na miejscu zbrodni?

– Ha, ja nawet mieszkam obok tego, jak pan powiedział, miejsca zbrodni. Moje mieszkanie sąsiaduje z mieszkaniem tamtej dziewczyny. Teraz stoi puste, ale przecież trudno się dziwić.

Od razu skojarzyłem, że moja rozmówczyni to sąsiadka, która zeznała, że słyszała kłótnię Igora i Karoliny, zanim dziewczyna została wyrzucona przez okno.

– Ale wie pan, ta para to się często kłóciła – dodała, kiedy poprosiłem, aby powtórzyła mi to, co powiedziała policji. – W końcu ten chłopak nie wytrzymał. Ja go wcale nie bronię. Niech pan nie myśli. Właściwie to ja się nigdy niczego dobrego po nim nie spodziewałam. Ojciec zabił matkę, to co z takiego chłopaka mogło innego wyrosnąć. Podobno jakąś inną dziewczynę kiedyś pobił. Już wtedy powinni byli go przymknąć. A tak doszło do tragedii. Ale ta dziewczyna, ta Karolina, to też lepsza nie była. Z każdym się prowadziła. No i jakby była mądra, toby się z tym całym Igorem nie zadawała.

– To może wie pani, czy do niej do domu ktoś jeszcze przychodził?

– Baba była chętna do rozmowy, więc postanowiłem ją podpytać. Miałem nadzieję, że powie coś o gościu, o którym wspomniał Kazimierz Staszek.

– Czy ja wiem... – Zawiesiła głos. – Niby nie widziałam, żeby ktoś do niej do domu przychodził.

– To skąd pani wie, że „z każdym się prowadziła”?

– A bo może do niej do domu nikt nie przychodził, ale ona chodziła. Bo wychodzić, to często wychodziła. W krótkich spódnicach. Po co miałyby się tak ubierać, jak nie dla chłopów. No i ludzie gadali, więc panu powtarzam, jak pan już taki ciekawy.

– Dziękuję pani – powiedziałem, chociaż tak naprawdę nie dowiedziałem się niczego nowego. Poza tym, że kolejna osoba nie miała dobrego zdania o Igorze i Karolinie. – To co? Idziemy z tym dywanem?

– A idziemy, idziemy – zgodziła się kobieta.

Dalsza droga upłynęła nam w milczeniu. Po małym problemie z umieszczeniem dywanu w windzie dotaszczyliśmy go do jej mieszkania. Podziękowałem za herbatę i ciastka, które kobieta zaproponowała w zamian za pomoc. Do domu wróciłem piechotą.

W domu zastałem otwarte drzwi, Chandlera wylegującego się na progu i różową walizkę Danuty w korytarzu. Zdziwiłem się, bo powiedziała, że wróci w niedzielę. Na moje pytanie o tak szybki powrót obojętnie wzruszyła ramionami i wyciągnęła kubek lodów z lodówki.

– Masz ochotę? – zapytała, nakładając dużą porcję na talerzyk.

– Czemu nie – zgodziłem się, nie mając lepszego pomysłu na kolację. Mimo że zjadłem już dziś lody z Kazimierzem.

Olga się dziś nie odezwała. Resztę wieczoru spędziłem z Danutą przed telewizorem, opowiadając jej o zabójstwie Marcjuszka i postępach w śledztwie, które nie były spektakularne. Właściwie wciąż krążyłem w martwym punkcie. Noc przespałem twardym snem, ale to zdarzało mi się dosyć często.

Rozdział 11

Niedziela, 16 sierpnia 2015

Spróbowałem oprzeć się na tylnym siedzeniu, ale gdy poczułem, że koszulka znowu przylepia mi się do pleców, zrezygnowałem. Pochyliłem się, podpierając głowę dłonią, i westchnąłem jak dzieciak na nudnych urodzinach starej ciotki. Naprawdę czułem, że znajduję się tu za karę. Tylko nie mogłem przypomnieć sobie, czym zawiniłem, że mnie spotkała. Oczywiście prawda była taka, że sam się na to zgodziłem.

Tak że ten... – westchnęła Danuta, kiedy poprzedniego dnia próbowałem wydobyć z niej powód wcześniejszego powrotu z wypadu z Clooneyem do Krakowa. – Może wybierzesz się jutro ze mną nad jezioro? – zapytała po chwili, pragnąc zmienić temat.

– Clooney nie ma ochoty? – nie odpuszczałem.

– Nie proponowałam. Poza tym, Kuba, on ma na imię Konrad.

– Myślałem, że George.

– Lepiej pomyśl nad moją propozycją. To jak? – Spojrzała na mnie wyczekująco. – Chyba że to pokrzyżuje twoje plany z Olgą... – Zawiesiła głos, po czym sięgnęła po książkę, chcąc tym pozornie zakończyć temat.

– Nie pokrzyżuje – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Olga wciąż się do mnie nie odzywała. – W ogóle nie wiem, skąd to przypuszczenie. Olga to przecież tylko moja klientka.

Nie wiem dlaczego, ale poczułem, że muszę wytłumaczyć się Danucie. Czyżbym naprawdę zaczynał ją traktować nie tylko jako przyjaciółkę? To prawda. Polubiłem ją. W końcu mieszkaliśmy razem już ponad rok. Przegadaliśmy niejedną wieczór. To zbliża ludzi. Lecz odnotowałem nie tylko fakt, że poczułem się w obowiązku, by jej wytłumaczyć. Zrobiło mi się głupio, że ją okłamałem. Olga przecież

nie była tylko moją klientką.

– W takim razie świetnie. Jedziemy jutro nad jezioro – zdecydowała Danuta, kiedy ja zastanawiałem się nad charakterem naszej znajomości.

– Sam nie wiem. Nie lubię smażyć się na piasku...

– Będzie fajnie. Zobaczysz. – Danuta już nie przyjmowała sprzeciwu.

– Okej. W takim razie zobaczymy – odparłem.

Siedziałem na tylnym siedzeniu auta Danuty i wcale nie było fajnie. Obok mnie podrygiwała dmuchana piłka. W bagażniku turlał się składany parasol w towarzystwie dmuchanego materaca, który nadmuchać mieliśmy dopiero na miejscu. Pomimo otwartych okien w aucie było gorąco i duszno. Staliśmy w kilometrowym korku, który poruszał się w ślimaczym tempie, bo jak się okazało, nie tylko my wpadliśmy na pomysł, aby niedzielę spędzić nad jeziorem. Na horyzoncie majaczyły sztuczne palmy, a ścieżką rowerową mijali nas rowerzyści.

Podniosłem głowę. Na wysokości wzroku miałem supeł od sznurka bikini Danuty, który znajdował się na jej opalonej szyi. Pachniała kokosem. Widocznie zdążyła się już przed wyjazdem czymś nasmarować. Jej zapach był jedyną przyjemną rzeczą w tej chwili. Bo na pewno nie były nią pachy Heńka siedzącego na miejscu kierowcy. Dwie duże plamy wyraźnie odznaczały się na jego zielonej koszulce.

– Jak mogłem dać się na to namówić. – Ciszę przerwał Heniek, mówiąc dokładnie to, co i ja miałem na myśli. – A mógłbym teraz siedzieć z zimnym piwkiem przed telewizorem. – Westchnął, ściskając mocno kierownicę.

– To jest właśnie konsekwencja waszego upodobania do alkoholu – odpowiedziała Danuta.

Miała rację. Po naszej ostatniej wspólnej alkoholowej libacji, kiedy Danuta musiała po nas przyjechać, Heniek obiecał, że kiedyś się jej za to odwdzięczy. To był właśnie ten dzień. Jechaliśmy nad jezioro, a Heniek był naszym kierowcą.

– Mogłaś poprosić, abym na przykład skosił ci trawnik.

- Ja nie mam trawnika.
- No właśnie.
- Chcesz przez to powiedzieć, że w ogóle nie powinnam cię o nic prosić? – Spojrzenie Danuty mogło w tej chwili zabić.
- Nic nie chcę przez to powiedzieć poza tym, że mogłaś poprosić o przysługę wymagającą mniej poświęceń.
- No proszę cię, Heniek. A myślisz, że mnie się uśmiechało wstawać w nocy i odbierać was kompletnie pijanych z „Green Pubu”?!
Heniek już szykował kolejną ripostę, która niepotrzebnie wzmagając napięcie grożące wybuchem kłótni, ale powstrzymałem go:
- Przestańcie. Atmosfera i tak jest już wystarczająco gorąca. Nie musicie jej dodatkowo podgrzewać.
- No nie. Może jeszcze ty, Kuba, jesteś niezadowolony z tego, że postanowiłam zorganizować nam niedzielę.
- Niezadowolony jestem z tego, że zaczynacie się kłócić – odpowiedziałem, co tylko częściowo było zgodne z prawdą. Ja także wolałbym teraz siedzieć z zimnym piwem jak Heniek. Nawet przed telewizorem.

Danuta wzruszyła ramionami. On popatrzył na nią, po czym powtórzył ten sam gest. Uznałem, że konflikt został zażegnany.

Wyciągnąłem telefon, by zadzwonić do Jurka. Byłem ciekaw, co udało ustalić w sprawie śmierci Mareczka i czy jest jakiś nowy trop dotyczący morderstwa Elżbiety Rodek. Po chwili jednak rozmyśliłem się. Była niedziela. Jurek miał prawo dzień świąty święcić. Nawet jeśli w jego wydaniu było to grillowanie zakrapiane dużą ilością piwa. Postanowiłem zadzwonić następnego dnia. Aby jednak na darmo nie wyciągać telefonu z kieszeni, napisałem SMS-a do Olgi. Nie odpisała, co powoli zaczynało mnie irytować.

Tymczasem posuwając się żółwim tempem, dotarliśmy do punktu poboru opłat. Heniek uiścił co trzeba i ruszyliśmy we wskazanym kierunku, gdzie mogliśmy zaparkować. Kobieta pobierająca opłaty wskazała nam prawą stronę, jechaliśmy więc na plażę, która powstała jako druga.

Przez otwarte okna wdzierał się zapach rozpalonych grilli i wody z jeziora. Ludzkie głosy mieszały się z chlupotem wody i odgłosem

aut szukających miejsca na parkingu. Mijali nas rowerzyści, a drogę przebiegali ludzie w strojach kąpielowych, którzy zmierzali w kierunku już zaparkowanych aut lub punktów gastronomicznych. Potem wracali z plastikowymi kuflami pełnymi piwa bądź piłkami plażowymi i napompowanymi materacami.

Spojrzałem na jezioro, które w tak słoneczny dzień jak dziś miało barwę zimnego błękitu. Przez chwilę poczułem ochotę, aby wypłynąć na jego środek, zanurkować na samo dno i zobaczyć na własne oczy faunę i florę jeziora, które widziałem ostatnio w internecie.

Po dłuższej chwili Heniek, nie bez wtrącania się Danuty, znalazł w końcu miejsce do zaparkowania. Wysiedliśmy.

Sztuczna plaża rozciągająca się przy brzegu jeziora mieniła się kolorami jak grzywa tęczowego jednorożca. Rozłożone na piasku koce, ręczniki, turlające się piłki i wetknięte parasole układały się w feerię barw działającą na mnie wyjątkowo drażniąco. Wśród plażowego ekwipunku, przeważnie parasoli i osławionych parawanów, chodzili lub leżeli wysmarowani olejkami ludzie. Zanim zdążyłem wyrazić dezaprobatę dla pomysłu Danuty o spędzeniu niedzieli nad jeziorem, wetknęła mi w dłoń parasol i materac z pompką. Heniek, który zdążył już zdjąć koszulkę i skarpety, stał w sandałach i obcisłych slipach kąpielowych, trzymając przed sobą piłkę plażową. Danuta właśnie zdejmowała sukienkę. Po chwili mogłem podziwiać jej bikini w całości, a nie tylko jego zapowiedź, czyli sznureczek na szyi, który miałem nieustannie przed oczami w trakcie podróży nad jezioro. Włosy związała w kucyk. Założyła kapelusz z szerokim rondem i ciemne okulary. Wyglądała jak gwiazda filmowa.

– No. Tak że ten... Chodźmy znaleźć jakieś miejsce – powiedziała, biorąc do ręki duży wiklinowy kosz i zamykając auto, promiennie się przy tym uśmiechając.

Ja i Heniek spojrzeliśmy na siebie. Prawdopodobnie w głowie mieliśmy tę samą myśl: uciec jak najdalej.

Piasek parzył jak rozżarzony węgiel. Przekonałem się o tym, kiedy schodząc po drewnianych schodkach, zdjąłem klapki i zanurzyłem stopę w miękkim podłożu. Zrobiwszy kilka kroków, ponownie

założyłem buty. Idąc za Danutą i Heńkiem, czułem, jakbym kroczył po grzędawisku. Drogę przebiegła mi para mokrych dzieciaków. Niemal mnie przewróciły, zachwiałem się, ale w ostatniej chwili podparłem się złożonym parasolem.

– Tu chyba będzie dobrze. – Danuta obróciła się wokół własnej osi z uśmiechem na twarzy, obnażając lśniąco białe zęby.

Jak na komendę wzruszyliśmy z Heńkiem ramionami. Znalezienie dobrego miejsca w piekle, w którym koc leży niemal przy kocu, graniczyło z cudem.

Wbiłem parasol w gorący piach, co dało trochę cienia. Pomogłem Danucie rozłożyć ogromny koc z trzema kotami, kolejny już w tej mocno rozbudowanej kuwecie. Odniosłem wrażenie, że patrzą na mnie z wyrzutem. One także nie miały ochoty leżeć na nagrzanym piasku w otoczeniu amatorów plażowania.

– Kuba, posmarujesz mi plecy olejkim? – zapytała Danuta, kiedy wygodnie rozłożyła się na kocu.

Spojrzałem na Heńka, licząc, że mnie wyręczy, ale on nerwowo zaczął nadmuchiwać materac. Właściwie nie miałem nic przeciwko smarowaniu pleców Danuty olejkim, zwłaszcza że w czarnym stroju kąpielowym prezentowały się nawet pociągająco. Chodziło o ten olejek. Nie lubię tłuścić sobie rąk tymi wszystkimi babskimi smarowidłami.

– Myślałem, że posmarowałaś się przed wyjazdem.

– Tak, ale olejek należy aplikować kilka razy. Zwłaszcza na słońcu.

Wobec takiego argumentu byłem bezsilny. Spryskałem plecy Danuty specyfikiem do opalania, który mi podała, i zacząłem go rozsmarowywać. Pachniał oczywiście kokosem.

Kiedy skończyłem, Danuta zaproponowała, że mnie posmaruje. Zrezygnowała, gdy powiedziałem, że nie zamierzam zdejmować koszulki. Opłukałem dłonie w jeziorze i wróciłem na koc.

Heniek uporał się z pompowaniem materaca, który leżał teraz oparty o betonową skarpe i był zapowiedzią atrakcji, jakie przyszykowała dla nas Danuta. Tak jak kolorowa piłka wciśnięta w wiklinowy koszyk, aby nie porwał jej podmuch wiatru. Danuta leżała na brzuchu z uniesioną głową i czytała. Rondo kapelusza

rzucało cień na otwartą książkę.

– Macdonald zamiast Chandlera? – udałem zaskoczenie, wyciągając się obok niej na kocu. Kątem oka zauważyłem w czytanej przez Danutę książce imię i nazwisko jednego z trzech moich ulubionych detektywów.

– Tak. Konrad mi pożyczył. Okazało się, że gustujemy w podobnych lekturach.

– Coś podobnego! – Nie przestawałem udawać zaskoczenia. – Czyżby wszyscy nagle zaczęli czytywać klasyków czarnego kryminału?

– Wszyscy z pewnością nie, ale Konrad tak. Zresztą tak się właśnie poznaliśmy. Leżałam na plaży i czytałam *Żegnaj, laleczko*. Konrad podszedł i zaczęliśmy rozmawiać. Głównie o książkach. Obiecał pożyczyć mi *Lewe pieniądze* Macdonalda i dotrzymał słowa. – Danuta pokazała okładkę książki. Było to stare wydanie. Takie samo posiadałem w swojej kolekcji.

– W ramach rekompensaty za niedotrzymane słowo w sprawie wyjazdu?

– Jakie niedotrzymane słowo? – oburzyła się Danuta. – Przecież wyjechaliśmy.

– Ale wróciliście dzień przed – nie ustępowałem.

– Kuba, a co cię to w ogóle obchodzi? Zajmij się lepiej tą, jak jej? Olgą?

Wzruszyłem ramionami i postanowiłem zakończyć temat. Ktoś z boku mógłby pomyśleć, że jesteśmy sprzeczącą się parą. Do tego robiącą sobie sceny zazdrości. A to przecież nieprawda. Nie jesteśmy parą. Zazdrośni o siebie też nie.

– Jakieś niesnaski, gołabczki? O czym tak gruchacie? – Heniek, napompowawszy materac, poszedł zamoczyć nogi. Teraz wracał i był najwyraźniej w dobrym humorze.

Chciałem go spiorunować wzrokiem, ale Danuta zrobiła to za mnie.

– No już dobrze, Danusiu. Tak tylko żartowałem. – Heniek próbował załagodzić sytuację. – Świetna woda – dodał, dając do zrozumienia, że nie zamierza więcej nazywać nas gołabczkami.

– I to ci tak poprawiło humor? – zapytałem, kiedy Danuta

odwróciła głowę i pograżyła się w lekturze.

Heniek dłońmi zarysował w powietrzu kształt klepsydry, który każdemu skojarzyłyby się z kobiecymi kształtami, i usiadł obok mnie.

– To wcale nie był taki zły pomysł z tym wypadem nad jezioro. Przynajmniej na młode i ładne kobity sobie popatrzę. Do tego prawie rozebrane. W moim wieku to już nieczęsty widok. – Zaśmiał się rubasznie, po czym znowu wstał. – Idę po piwo. Też chcecie się napić? – zapytał głośniej, zwracając się do mnie i do Danuty.

– Chcemy. Ale bez ciebie, Heniek. Jesteś dzisiaj naszym kierowcą, zapomniałeś? – zdenerwowała się Danuta.

– Ale to tylko jedno piwo. Do wieczora zdąży ze mnie wywietrzeć.

– Nie – powiedziała Danuta tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Heniek bezradnie uniósł ręce.

– Mnie nie kupuj. Pójdę najpierw popływać. Zobaczymy, czy ta woda taka świetna – powiedziałem, zdjąłem koszulkę i ruszyłem w kierunku delikatnych fal obmywających brzeg.

Dotknąłem stopą mokrego piasku. Woda musnęła mi czubki palców. Nie pamiętam, kiedy ostatnio pływałem, ale byłem pewien, że gdy tylko położę się na wodzie i rozprostuję ramiona, popłynę bez przeszkód. O ile na mojej drodze nie pojawi się materac lub inny rekwizyt z niezbędnika każdego plażowicza, co było dość prawdopodobne. W wodzie znajdowało się bowiem mnóstwo ludzi z materacami, piłkami i kołami ratunkowymi.

Pływać nauczył mnie ojciec. Latem zabierał mnie na odkryty basen, a zimą chodziliśmy na krytą pływalnię. Kładłem się na plecach, a ojciec podtrzymywał mnie rękami. Innym razem układałem się na brzuchu. Próbowałem wówczas wykonywać ruchy, które wcześniej pokazywał mi ojciec. Szło mi niezdarnie i pewnie poszedłbym na dno, gdyby nie jego przedramiona, które czułem pod sobą. Stanowiły pewną asekurację. Patrzyłem z zazdrością na inne dzieci, które pływały bez pomocy rodziców, i było mi trochę głupio, że wciąż potrzebuję pomocy ojca. Ale uparłem się. Chciałem nauczyć się pływać i cierpliwie znosiłem spojrzenia innych dzieci, które z politowaniem patrzyły, jak próbuję utrzymać się na wodzie, a tułów

podtrzymuje mi ojciec. Wolałem tę metodę niż dmuchane koło wokół bioder i poduszki na ramionach. Pewnego dnia ojciec mnie puścił. Zapamiętałem z niego smak chlorowanej wody, która wlewała mi się do ust, oczu i uszu, oraz złość na ojca, że mi to zrobił. Dopiero po kilku dniach przestałem się boczyć. Po kilku następnych umiałem już pływać. Ojciec kilkakrotnie puszczał mnie, ale asekuracyjnie trzymał ręce tuż pod wodą na wysokości mojego tułowia. Świadomość, że w każdej chwili może mnie poratować, dodała mi pewności. Tak nauczyłem się pływać. Powoli i asekuracyjnie puszczany na głęboką wodę. Tak powinien wyglądać idealny start w dorosłe życie. Jednak to, co wydarzyło się potem, było gorsze niż opicie się chlorowanej wody po puszczeniu mnie przez ojca. Było jak jazda zjeżdżalnią postawioną bez zachowania żadnych zasad bezpieczeństwa. Ale to nie na temat.

Doszedłem do miejsca, gdzie woda sięgała mi powyżej pasa. Na pierwszy raz od dawna było dość. Zanurzyłem się. Prawie nie poczułem zimna, woda była naprawdę przyjemna. Rozprostowałem ramiona. Z pływaniem jest jak z jazdą na rowerze. Kiedy raz się nauczysz, nie zapomnisz do końca życia. Doznałem dziwnego uczucia. Jakbym miał kilkanaście lat i o wiele mniej przeżyć. Czuję się bez troski. Jednak moje błogie doznania nie trwały długo. Tłum kąpiących się uniemożliwiał swobodne pływanie. Gdy po raz kolejny obiliśmy się o dryfujący materac, postanowiłem wyjść z wody.

Danuta przestała czytać. Leżała na plecach z twarzą przykrytą kapeluszem. Obok stał pusty kufel po piwie. Heniek pod parasolem chłodził się butelką mineralnej, która jednak nagrzewała się zdecydowanie za szybko. Wyciągnąłem się mokry na kocu, aby dać się wysuszyć słońcu. Danuta podniosła głowę.

– Dać ci mój olejek? Mocno grzeje. Możesz się spalić.

– Przy mojej karnacji to mi nie grozi – odpowiedziałem i zasłoniłem przedramieniem oczy. Założyłem dziś soczewki kontaktowe, ale pożałowałem, że nie wziąłem okularów przeciwsłonecznych.

Danuta przekręciła się na brzuch. Heniek na swoim rozsmarowywał właśnie jakiś krem. Leniwa niedziela nad Jeziorem Tarnobrzeskim.

Ocknąłem się po kilkunastu minutach. Ciepło sprawiało, że robiłem się senny. Nie przeszkadzał mi nawet gwar ludzi, których z każdą godziną przybywało. Robiło się ciasniej. Obok nas rozłożyła się rodzina z małymi dziećmi. Słońce wciąż świeciło w najwyższym punkcie.

Wstałem i postanowiłem kupić coś do picia. Heniek z Danutą grali w piłkę. Poszedłem w kierunku prowizorycznego punktu gastronomicznego, nie mówiąc im ani słowa.

Bar składał się z przyczepy kempingowej, kilku drewnianych stołów i ław oraz z czterech zielonych parasoli, które dawały cień. Przy stole znajdującym się najbliżej wejścia siedział chłopak w przekreślonej czapce z daszkiem, spod której wystawały rude kosmyki, i dziewczyna o ciemnych włosach splecionych w gruby warkocz. Oboje trzymali w ustach żółte słomki, których końce były zanurzone w piwie z sokiem. Dziewczyna z rozmarzeniem patrzyła chłopakowi w oczy, podczas gdy ręka chłopaka spoczywała na tyłku dziewczyny opiętym skąpym bikini. Mógłbym się założyć, że mieli skrajnie różne myśli. Ale zamiast szukać kandydata do zakładu, podszedłem do baru.

– Co podać? – zapytała barmanka w okularach o ciemnej i grubej oprawce, zza których spoglądały na mnie duże brązowe oczy w przesadnym makijażu.

Za jej plecami w równym szeregu stały butelki z piwem popularnych marek. Poprosiłem o żubra. Nie jestem niewolnikiem jednej marki. Nie robię tragedii, kiedy nie ma piwa, które zazwyczaj piję. Piwo to piwo. Reszta to marketingowa otoczka. Sytuacja gorzej przedstawia się w wypadku jedzenia. Po chwili pływania poczułem głód. „Woda wyciąga”, jak mawiał mój ojciec.

Rzuciłem okiem na menu wiszące obok półki z piwem. Na zielonej karcie wśród mięsnych fast foodów bezmięsne były tylko frytki. Nawet zapiekanka była z szynką. Nie mając wyboru, zamówiłem duże frytki. Barmanka zapisała zamówienie i poleciła poczekać pięć minut. Potem usłyszałem, jak wrzuca frytki do rozgrzanego tłuszczu, który głośno zaskwierczał. Zapach, który się rozszedł, sprawił, że poczułem się jeszcze bardziej głodny. Pociągnąłem piwo z butelki i usiadłem

przy wolnym stole. Para, która wcześniej zajmowała stół przy wejściu, wyniosła się, zostawiając przewrócony kufel i słomki. Wylała się z niego resztką piwa i utworzyła nieregularną plamę. Słomki turlały się po blacie poruszane podmuchami wiatru.

– Kuba? – usłyszałem za plecami.

Odstawiłem piwo. Na dłoni pozostała mi wilgoć oszronionej butelki. Odwróciłem się i ujrzałem znajomą twarz. W pierwszej chwili nie mogłem sobie przypomnieć, skąd ją znam. Jak w przyspieszonym filmie w mojej głowie przesuwają się obrazy od najmłodszych lat. Szkoła podstawowa, liceum, studia. Próbowałem widzianą twarz przyporządkować do odpowiedniego okresu mojego życia. Zauważyłem, że im byłem starszy, tym częściej miałem z tym problemy. Im więcej ludzi poznawałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że w dużej mierze są do siebie podobni. A może to ja instynktownie doбираłem sobie osoby, które przypominały mi ludzi z podstawówki i liceum? Ponadto byłem skłonny nowo poznane osoby, które przypominały mi kogoś z młodszych lat, już na wstępie obdarzyć sympatią lub antypatią, w zależności od tego, czy podobieństwo odnosiło się do lubianej, czy nielubianej przez mnie osoby. Już tacy jesteśmy. Wielokrotnie kierujemy się w życiu impulsami będącymi pochodną wcześniejszych doświadczeń. Nie byłem wyjątkiem. Podejrzewam, że podobny mechanizm działa w przypadku postrzegania także innych aspektów rzeczywistości. Na przykład kiedy mamy do czynienia z uprzedzeniami. Przypadkową osobę potrafimy posądzić o najgorszą rzecz tylko dlatego, że przypomina nam kogoś, kto kiedyś wobec nas dopuścił się czegoś złego. Tak działają rasizm i ksenofobia. Pomijając oczywiście inne przyczyny. Ale to nie na temat. Od snucia takich teorii są mądrzejsi ode mnie.

Przestałem przewijać w głowie wspomnienia. Twarz pochodziła z okresu liceum.

– Maks? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie i wyciągnąłem rękę, aby się przywitać. Maks uściśnął mi dłoń i kordialnie poklepał po plecach.

W liceum był prymusem. Miał ścisły umysł, ale radził sobie także

z przedmiotami humanistycznymi. Nie był kujonem. Jego prymat nad innymi polegał przede wszystkim na tym, że był bardziej uzdolniony. Łapał wszystko w mig. Nie wkuwał po nocach, a i tak był najlepszy. Poza tym był z niego fajny gość. Zawsze dał odpisać pracę domową i ściągnąć na klasówce. Był lubiany przez nauczycieli i rówieśników. Nikt się nie dziwił, kiedy wyrwał najlepszą laskę w szkole. Inteligentny, przystojny. Król życia. Miał wszystko. Także nadzianych starych.

– Co u ciebie? – spytał, kiedy uwolniłem się z jego uścisku.

– Po liceum poszedłem na studia. Skończyłem polonistykę. W międzyczasie ożeniłem się i rozwiódłem. Zrobiłem licencję detektywa. Ponad rok temu wróciłem z Lublina do Tarnobrzega i otworzyłem biuro detektywistyczne. – Jak zwykle w kilku zdaniach streściłem ponad dziesięć ostatnich lat mojego życia. Nie jestem wylewny. Poza tym nie lubię opowiadać o sobie. Ostatnio zrobiłem wyjątek dla Olgi.

Za to Maks chętnie i szczegółowo opowiedział mi swoją historię. Ostatni raz widzieliśmy się w czasie matur. Trzydzieści lat temu. Miał iść na studia. Na politechnikę. Matureę zdał jako jeden z najlepszych. Egzamin na uczelnię także nie sprawiły mu problemów. Jednak studiów nie rozpoczął.

– Latem Diana zaszła w ciążę. Pamiętasz Dianę?

Skinąłem głową na znak, że pamiętam. Zresztą, kto by nie pamiętał Diany. Blondynka średniego wzrostu, za to z dużym biustem i odpowiednią pupą. Wprawdzie w tamtych czasach podbijałem do Marceli, ale na urodę Diany też nie byłem obojętny. Nikt nie był.

– No więc Diana zaszła w ciążę – kontynuował Maks. – To kompletnie pokrzyżowało jej plany. Chciała studiować na AWF-ie. Zrezygnowała. Obawiała się, że nie da rady. Postanowiłem nie zostawiać jej samej i także zrezygnowałem ze studiów. Wzięliśmy ślub. Po narodzinach dziecka mieliśmy rozpocząć studia, ale Dominik urodził się chory. Cały czas potrzebuje opieki. Tak więc musieliśmy pożegnać się ze studiami. Do tego mój ojciec nigdy mi nie wybaczył, że zrezygnowałem z uczelni. Do dziś uważa, że to był mój największy błąd. Jak i ślub z Dianą. Nie rozmawiamy ze sobą od trzynastu lat.

O jego pieniądzach także mogę zapomnieć. Za to rodzice Diany zawsze nam pomagali. Mieszkamy w Sandomierzu i prowadzimy zajazd. Kupiłem kawałek ziemi nad jeziorem. W przyszłości mam zamiar zbudować coś większego. Na razie tak to wygląda. – Omiótł wzrokiem prowizoryczny ogródek piwny i przyczepę kempingową.

– Myślę, że ma to przyszłość – powiedziałem, kończąc piwo. – To jezioro ma ogromny potencjał.

– Też tak myślę. Słuchaj, Kuba, musimy się kiedyś ugadać na piwo.

– Jasne. Nie ma sprawy – odparłem grzecznościowo, po czym znowu się uściskaliśmy. Tym razem na pożegnanie. Może na kolejnych trzynaście lat, skoro nawet nie wymieniliśmy się numerami. Takie bywają spotkania i rozmowy po latach.

Maks zniknął w przyczepie, z której wyszła barmanka, niosąc dużą porcję frytek.

– To wszystko dla pana? – zapytała.

– Poproszę jeszcze jedno piwo – odparłem, oddając jej pustą butelkę. Gdy odeszła, zacząłem pochłaniać frytki. Ojciec miał rację. Woda wyciąga.

Po chwili barmanka wróciła, niosąc zimne piwo. Postawiła je na stole, a ja podziękowałem skinieniem głowy. Oszroniona butelka wyglądała jak piękna kobieta wychodząca z wody. Miałem właśnie upić łyk, kiedy moją uwagę przykuł widok bardziej fascynujący niż mokra butelka piwa. Była to mokra kobieta. Przeszła przez drogę i szła w kierunku ogródka, w którym siedziałem. Ciemne włosy wciąż przeczesywała na bok, a podmuch wiatru odwiewał je do tyłu. W końcu dała za wygraną i puściła je zgodnie z kierunkiem wiatru, odgarniając z czoła wilgotne kosmyki, które się do niego przykleiły. Na nosie miała lustrzane okulary, a na nadgarstkach mnóstwo kolorowych bransoletek, które za każdym poruszeniem wydawały charakterystyczny dźwięk, przypominający przesuwanie metalowych koralików na liczydło. Jej skąpy strój stanowiło białe bikini, spod którego prześwitywały sterczące sutki. Zawiesiłem na nich wzrok.

Dziewczyna weszła do ogródka, a kiedy mnie zobaczyła, przysiadła się.

– Kuba Rau? – zapytała.

– Tak – odparłem, z trudem przenosząc wzrok z jej piersi na oczy.

Cała scenka wyglądała jak z reklamy, w której facet siedzi przy stoliku, macha do niego piękna kobieta, po czym podchodzi i ostatecznie okazuje się, że chodziło jej o faceta siedzącego dalej. Brzydszego, ale używającego markowych perfum. Z tym, że za mną nie siedział inny facet, a dziewczynie w białym bikini chodziło najwidoczniej o mnie.

– Klara Stadnicka – przedstawiła się.

– Niespotykane imię.

– Czasem spotykane, skoro takie mi dali rodzice.

Już ją polubiłem.

– Byłaś koleżanką Karoliny Rodek. Mieszkałyście razem – powiedziałem, bo od razu skojarzyłem nazwisko, które podała mi Elżbieta Rodek.

– Tak. Spodziewałam się tego. W końcu jesteś detektywem.

– Wychodzi na to, że za bardzo rozpoznawalnym, a to raczej niezbyt dobrze w mojej profesji.

– Widziałam cię wczoraj z moją byłą sąsiadką. Pomagałeś jej nieść dywan. Zapytałam o ciebie i powiedziała mi, kim jesteś. Zresztą, Tarnobrzeg nie jest przesadnie dużym miastem. Wszyscy się tu znają. Prędzej czy później każdy cię będzie kojarzył. Możesz mieć kłopot ze śledzeniem niewiernych mężów czy żon. Bo tym pewnie się głównie zajmujesz, panie detektywie. – Przynęła się bliżej, piersi opierając o blat stołu. Udałem, że tego nie widzę. Prowokowała i kokietowała.

Odsunęła się, kiedy podeszła barmanka i zapytała, czy coś podać. Zamówiła piwo. Zapłaciłem. Byłem przekonany, że w skąpym kostiumie nie trzymała pieniędzy. Jego górna część pod wpływem gorąca prawie przeszła, sutki stały się mniej widoczne, lecz pod wpływem podmuchów wiatru co jakiś czas robiły się sterczące. Moja robota bywa czasem przyjemna i męcząca zarazem.

– Ostatnio zajmuję się śmiercią twojej koleżanki – powiedziałem, próbując utrzymać wzrok na wysokości jej oczu.

– I do czego doszedłeś? – zapytała, bacznie mnie obserwując.

– Do niczego konkretnego. Poza tym, że przypuszczam, że to nie Igor zabił Karolinę.

Klara roześmiała się.

– Sherlockiem Holmesem to ty nie jesteś.

– Samem Spade'em podobno też nie – odparłem, przypominając sobie kłótnię z Olgą. Klara zrobiła zdziwione oczy. – Nieważne – dodałem. W końcu nie każda kobieta, którą spotykam, czytuje Hammetta. Olga i Danuta to raczej wyjątki.

– Policja także do niczego konkretnego nie doszła. Nie wierzę, żeby Igor zabił Karolinę. Jest nadpobudliwy, ale kochał ją. On nic by jej nie zrobił.

– Jesteś drugą osobą, która staje w obronie Igora.

– A kto jeszcze go broni?

– Olga, jego macocha – odpowiedziałem i upiłem łyk piwa. Klara swoją butelkę wciąż obracała w dłoniach.

– Mogłam się domyślić. To ona cię wynajęła?

Przytaknąłem.

– Gdybym miała typować, kto zabił Karolinę, ją wskazałabym na pierwszym miejscu. Zdzira pewnie wskakiwała mu do łóżka. Mówiłam Karolinie, żeby na nią uważała, ale mi nie wierzyła. Śmiała się, kiedy mówiłam, że tamta zapewne ma na niego ochotę. Uważała, że Olga jest dla niego za stara. Po co miałby chodzić z nią do łóżka, skoro ona jest młodsza i ładniejsza. Ale ja kilka razy widziałam ich na mieście. Igor wcale nie zachowywał się tak, jakby uważał, że Olga jest dla niego za stara. Ale Karolina i wtedy mi nie uwierzyła. Z drugiej strony może wcale jej to nie obchodziło. Ona także zdradzała Igora...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – przerwałem jej.

– To, co powiedziałam. Karolina chyba też zdradzała Igora. Naprawdę jesteś detektywem? Myślałam, że oni są bystrzejsi.

Zbyłem ten przytyk milczeniem.

– Z kim go zdradzała? – zapytałem.

– Wydaje mi się, że z Kazimierzem Staszkiem. Swoim wykładowcą.

– Powiedziałaś o tym policji?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie pytali.

Wstała, biorąc piwo do ręki i szykując się do odejścia.

– Zaczekaj. Nie powiedziałaś, bo nie pytali? A nie pomyślałaś, że to ważne?

– A czy to ma jakieś znaczenie? Karolina nie żyje. Nic jej życia nie wróci.

– A Igor?

– Nigdy za nim nie przepadałam. Może jest niewinny, ale mnie to nie obchodzi.

– Porozmawiajmy jeszcze chwilę.

– Z chęcią bym z tobą pogadała. Nie tylko na temat śmierci Karoliny. – Odgarnęła włosy. Bransoletki wydały charakterystyczny dźwięk. – Ale teraz naprawdę muszę już iść. Jeśli chcesz, to przyjdź do mnie do pracy. Dalej pracuję tam, gdzie Karolina.

– Okej. Jesteśmy umówieni – odrzekłem, wziąłem butelkę do ręki i przyglądałem się odchodzącej Klarze. Jeśli nie wyjdzie mi z Olgą, za jakiś czas umówię się z nią.

Kiedy wróciłem na plażę, obok Danuty stały trzy opróżnione plastikowe kufle po piwie. Heniek leżał z kryminałem Macdonalda na twarzy, a Danuta siedziała pod parasolem, śmiejąc się bez powodu.

Podszedłem do Heńka i podniosłem książkę. Zmrużył oczy, po czym przesłonił je dłonią.

– Spiłeś Danutę? – zapytałem.

– No co ty, Kuba. Sama chciała. Przecież gdyby nie miała ochoty, toby nie piła. – Heniek wstał, wziął ode mnie książkę i zaczął się nią wachlować. – Przynajmniej już się nie sprzeczamy – dodał i mrugnął do Danuty.

– Kuba, nie bądź taki sztywniak – odezwała się Danuta, chichocząc.
– My tu z Heńkiem dobrze się bawimy.

– Chyba on twoim kosztem.

– A właśnie że nie. To ja piję na jego koszt – odparła i zwróciła się do Heńka: – Heniek, skocz po jeszcze jedno piwo.

Heniek zaczął wstawać, ale powstrzymałem go.

– Kuba, daj spokój. Wcale się z Danutą nie nabijam. Ma ochotę na piwo, to niech sobie wypije.

Ustąpiłem. W końcu Danuta jest dorosła. I też ma prawo się czasem rozerwać.

Nad jeziorem spędziliśmy jeszcze trzy godziny. Późnym popołudniem zebraliśmy wszystkie rzeczy, łącznie z materacem, który okazał się zbyt ciężki; ja i Heniek nie mieliśmy ochoty na nim pływać, Danuta miała ochotę, lecz nie pozwoliliśmy pijanej i wróciliśmy do domu.

Otworzyłem drzwi. Chandler zaczął łaścić się nam do nóg, jednocześnie pomrukując z wyrzutem. Czytałem kiedyś artykuł o kocim języku. Podobno koty przeklinają. Jeśli to prawda, to Chandler klął teraz pod nosem jak szewc. Za pustą miskę, niezmiętą wodę i pełną kuwetę. Musiałem się nim zająć, bo Danuta od razu poszła na górę, do salonu, i położyła się na kanapie.

– Kuba, co jest ze mną nie tak? – zapytała, kiedy wszedłem po schodach i usiadłem obok.

– Zależy, o co konkretnie pytasz. W każdym można znaleźć coś, co jest nie tak.

– Co jest ze mną nie tak, jeśli chodzi o moją kobiecość?

– W tej chwili wszystko. Masz potargane włosy i czuć od ciebie alkohol.

W odpowiedzi zostałem uderzony poduszką. Danuta wybuchnęła płaczem. Objąłem ją i przytuliłem.

– Przecież wiesz, że żartowałem.

Wplotłem palce w jej włosy. Pachniały wiatrem.

– Powiedziałaś Konradowi, że zabiłam swojego pierwszego męża. Zwierzyłam mu się, a on mnie odtrącił. Dlatego wróciłam wcześniej.

– Wcale mu się nie dziwię. Ledwo się poznaliście, a ty mu serwujesz taką historię?

– Od początku chciałam być z nim szczerą. Pomyślałam, że powiem od razu. Obawiałam się, że gdy powiem mu o tym później, to może mieć mi za złe, że trzymałam to przed nim w tajemnicy.

Westchnąłem. Historia Danuty ma drugie dno. Konrad widocznie nie dał jej szansy na przedstawienie całej opowieści albo okazał się zwyczajnym dupkiem. Skłaniałem się ku drugiej tezie. Od początku zrobił na mnie złe wrażenie. Pierwsze małżeństwo Danuty było gehenną. Jej mąż wciąż ją bił. Podczas jednej z kłótni Danuta sięgnęła po nóż. Działała w obronie własnej. Jej mąż chciał najwyraźniej

zatłuc ją młotkiem. Nie została skazana, lecz do dziś ponosi konsekwencje tamtej kłótni. Jej dzieci nie chcą jej znać. Wprawdzie wyszła za mąż ponownie i drugi mąż okazał się kochającym facetem, ale zmarł na raka płuc. Od tamtej pory Danuta jest sama. Pomijając mnie i Chandlera.

– Jeszcze poznasz kogoś właściwego – powiedziałem.

Danuta oswobodziła się z mojego objęcia. Machnęła ręką i otarła łzy. Chciałem się oprzeć, lecz poczułem, że pieką mnie plecy.

– Miałaś rację z tym opalaniem. Mogłem posmarować się olejkiem. Chyba mam oparzenia.

– Pokaż. Zaraz coś na to poradzę.

Zdjąłem koszulkę.

– Faktycznie. Połóż się. Zrobię ci okład z kefiru. To dobrze działa na oparzenia.

Nie protestując, położyłem się na kanapie. Danuta po chwili wróciła z kuchni, niosąc w ręku kubek z kefirem. Następnie zawartość wylała mi na plecy. Usiadła w fotelu.

– Długo mam z tym leżeć? – zapytałem po kilkunastu minutach.

Odpowiedziało mi ciche chrapanie Danuty. Nad uchem usłyszałem mruczenie Chandlera, a po chwili poczułem jego szorstki język na plecach. Piękne zwieńczenie wieczoru, pomyślałem i zwiesiłem głowę zrezygnowany.

Rozdział 12

Poniedziałek, 17 sierpnia 2015, rano

Obudziłem się w salonie. Podniosłem głowę i natychmiast zmrużyłem oczy. Przez wyblakłą roletę do środka wdzierały się promienie słońca, obnażając drobinki kurzu unoszące się w powietrzu. Przekręciłem się na bok. Bolały mnie wszystkie mięśnie. Spanie na kanapie w salonie nie należało do najwygodniejszych. Dotknąłem ramienia. Pieczenie mniej doskwierało, ale prawdopodobnie zacznie mi schodzić skóra, którą teraz pokrywał zaschnięty, częściowo zlizany przez kota kefir. Usiadłem. Chandler, kiedy zauważył, że żyję, wskoczył mi na kolana, zaczął mruzczyć i łasić się. Podrapałem go za uchem, po czym wstałem i poszedłem do łazienki wziąć prysznic.

Zimna woda podziałała orzeźwiająco. Założyłem koszulkę ostrożnie, uważając, by nie podrażnić spalonych pleców. Spojrzałem w lustro. Kilkudniowy zarost pokrył moją twarz.

– Pięknie. Twarz też mi się spiekła – powiedziałem na głos, ale nie tylko do siebie. Chandler siedział na desce klozetowej i bacznie mi się przyglądał. Masz kota, nigdy nie będziesz sam. Nawet w toalecie.

Golenie postanowiłem na razie odłożyć. A tymczasem rozejrzałem się po łazience w poszukiwaniu kremu, który mógłby przynieść ulgę podrażnionej twarzy. Otworzyłem szafkę. Ja zajmowałem jedną półkę, która wyglądała jak lodówka studenta przed wyjazdem do domu. Tylko światło. Nie licząc oczywiście akcesoriów do golenia i antyperspirantu. Z kolei półki Danuty były wypełnione jak lodówka studenta po powrocie z domu rodzinnego. Wszędzie wałówka. Buteleczki, flakoniki, słoiki... Który to krem do twarzy? Sięgnąłem po pierwszy słoiczek z brzegu. Krem pod oczy. Czy nadaje się na całą twarz? Na wszelki wypadek wołałem odłożyć. Jeśli kobieta jest zagadką, to jej kosmetyczka jawi się jako otchłań tajemnicy. Przynajmniej dla mnie.

Miałem już zamknąć szafkę, kiedy zauważyłem charakterystyczne

niebieskie pudełeczko z kremem. Pamiętałem je z dzieciństwa. Nabrałem krem na palec i posmarowałem twarz. Potem zszedłem do kuchni. Chandler podreptał za mną.

– Nie otwierasz dzisiaj zakładu? – zapytałem Danutę, która siedziała przy stole z kubkiem kawy w ręku. Na drzwiach wejściowych wisiała zawieszka „ZAMKNIĘTE”.

Nasze mieszkanie nie było typowe. Drzwi do domu były jednocześnie wejściem do zakładu fryzjerskiego i w ciągu dnia stały otworem dla każdego. To cud, że nas jeszcze nie okradziono. Z drugiej strony ani ja, ani Danuta nie posiadaliśmy niczego wyjątkowo cennego. Niemniej kiedy się tu wprowadziłem, miałem pewne obiekcje. Jak dotąd okazywały się niesłuszne i mam nadzieję, że tak zostanie.

– Nie zauważyłeś wywieszki? – odparła Danuta, nie spuszczać wzroku z widoku za oknem.

– Widziałem i dlatego pytam. W piątek także było zamknięte. Zamierzasz przestać płacić rachunki?

– Czy mam wskazać palcem, kto tutaj zwykle ma problem z regulowaniem należności? – Odstawiła kubek, ale zamiast podnieść palec i wskazać winnego, wbiła we mnie tylko pusty wzrok.

– Okej. Spokojnie. – Podniosłem dłonie w obronnym geście. – Tak tylko spytałem. Co się dzieje, Danuta?

– Czuję się zagubiona. Niedowartościowana i... – zawiesiła głos, który zaczął się jej łamać. – ...i bardzo samotna – dokończyła.

– Przez tego dupka Clooneya?

– On jest tylko wierzchołkiem wciąż rozrastającej się góry lodowej. Przepelnieniem czary goryczy. Uświadomiłam sobie, że się starzeję, brzydnę i nic pięknego już mnie w życiu nie spotka. Moje dzieci nic chcą mnie znać. Nie mam nikogo bliskiego obok siebie. Zastanawiam się, po co żyję. W moim życiu brakuje czegoś, co by nadało sens całej reszcie. Rozumiesz mnie, Kuba?

Rozumiałem bardzo dobrze. Kiedy rozstałem się z Anną, do mojego życia wkradło się poczucie bezsensu. Przyszłość rysowała się w czarnych barwach. Zanim wymyśliłem nowy sposób na życie, straciłem motywację do robienia czegokolwiek.

Podszedłem do Danuty, przysunąłem krzesło i usiadłem obok.

– Masz mnie. Zawsze możesz na mnie liczyć – powiedziałem i objąłem ją. Proste gesty bywają najbardziej skuteczne.

Danuta wtuliła się we mnie. Objąłem ją jeszcze mocniej.

Kiedy wyswobodziła się z uścisku, podałem jej chusteczkę.

– Muszę lecieć. Ktoś jednak musi pracować na te rachunki – powiedziałem i ruszyłem w kierunku wyjścia.

– Kuba?

Odwrociłem się.

– Dziękuję – dodała Danuta.

Uśmiechnąłem się i wyszedłem.

Nieemożliwe – stwierdziła.

– Napije się pani kawy? – zaproponowałem, kiedy Agnieszka Segdalska po raz kolejny wyraziła swoje niedowierzanie.

– Nieemożliwe – powtórzyła, ignorując moje pytanie.

– Nie, to całkiem możliwe. Wystarczy, że włączę ekspres. To nie problem. Często proponuję klientom kawę.

Segdalska spojrzała na mnie pytającym wzrokiem. Cóż, nie każdemu odpowiada moje poczucie humoru.

– Pani Agnieszko. – Postanowiłem zakończyć żarty. – Zapewniam panią, że te zdjęcia nie są przerobione w Photoshopie.

– Ale ja nie po to pana wynajęłam.

Postawiłem na biurku kubek z parującą kawą. Jej aromat wypełnił pomieszczenie. Zawsze wołałem zapach kawy niż jej smak.

– Wynajęła mnie pani, abym śledził pani męża, bo podejrzewa go pani o zdradę i chce pani, abym dostarczył dowody. Zrobiłem to, o co pani prosiła. Śledziłem pani męża i właśnie dostarczam dowody jego zdrady. Czy nie o to pani chodziło?

Segdalska sięgnęła po kawę. Ja nalałem sobie wody do kubka.

– No tak, ale to nie rozwiązuje moich problemów. Myślałam, że wynajmując pana, będę szczęśliwa. Rozumie pan?

– Przyznam szczerze, że nie.

W czasach kiedy półki księgarskie uginają się pod ciężarem różnego rodzaju poradników, a feministki próbują dowieść równości mężczyzn

i kobiet, ja wciąż mam problemy z pełnym zrozumieniem odmiennej, wobec mojej własnej, płci.

– Co z panem? Jest pan przecież detektywem. Naprawdę pan nie rozumie? Myślałam, że detektywi są bystrzy. Ale widocznie wy, faceci, wszyscy tak macie. Nieważne, jaki zawód wykonujecie.

– Gdyby powiedziała mi to pani w łóżku, od razu bym panią wyrzucił. – Zdenerwowałem się, chociaż przed chwilą w myślach podobnie generalizowałem na temat kobiet.

– Teraz to ja pana nie rozumiem.

– Nieważne. Proszę mi powiedzieć wprost, o co chodzi. – Prawie podniosłem głos. Przynajmniej w jednym byliśmy zgodni: w braku obopólnego zrozumienia.

– To prawda, że wynajęłam pana do śledzenia mojego męża oraz do zebrania dowodów jego zdrady, ale liczyłam na to, że mi ich pan nie dostarczy.

– Miałem je zniszczyć? A może nie wierzy pani w moje kompetencje?

– Ani jedno, ani drugie.

– Przepraszam, ale coraz bardziej przestaję rozumieć.

Usiadłem za biurkiem i zamknąłem laptopa, na którego pulpicie mąż Segdalskiej całował się z wysoką blondynką. Segdalska nie mogła się z nią równać prawdopodobnie nawet w czasach swojej najlepszej młodości.

– Liczyłam na to, że nie dostarczy mi pan dowodów zdrady, bo miałam nadzieję, że jej wcale nie było. Teraz pan rozumie? Łudziłam się, że moje podejrzenia są bezpodstawne. Miałam jeszcze nadzieję, a pan ją zawiódł. Nadzieja podobno umiera ostatnia. Pan ją właśnie zamordował bez najmniejszych skrupułów.

Zaniemówiłem. Takich bzdur już dawno nie słyszałem.

– Przepraszam bardzo, ale to nie ja całuję tę blondynkę na zdjęciu, lecz pani mąż – odrzekłem po chwili i ponownie podniosłem klapę laptopa, odwracając go w kierunku Segdalskiej.

– I jeszcze się pan nade mną znęca! – krzyknęła Segdalska, po czym rozplakała się.

– Przepraszam. To już nie było potrzebne.

– Niepotrzebnie przyszedłam do pana i niepotrzebnie wzięłam pieniądze. Nie zapłacę panu.

– Jak to pani nie zapłaci? – Przez głowę przebiegła mi myśl o rachunkach. – Mój czas nie jest darmowy, a sporo musiałem go poświęcić na tropienie pani męża.

– Ale ja nie jestem zadowolona z usługi. Sprawił pan, że jestem nieszczęśliwa. Żegnam pana.

Segdalska wstała i zaczęła kierować się do wyjścia. Kiedy zamierzała dotknąć klamki, drzwi się otworzyły. Ujrzałem w nich Kazimierza Staszka.

– Niech pan uważa na tego detektywa. Nie polecam jego usług – powiedziała Segdalska i zanim Kazimierz Staszek zdążył coś odpowiedzieć, wyszła.

– Niezadowolona klientka? – zwrócił się do mnie, zamykając drzwi za Segdalską.

– Rozczarowana kobieta – odpowiedziałem, podając mu dłoń.

– W takim razie współczuję. Na tym świecie są dwie najgorsze rzeczy: brak pieniędzy i rozczarowane kobiety.

– Ma pan w tym duże doświadczenie?

– Na brak pieniędzy nie narzekam, a o rozczarowanych kobietach dżentelmenowi nie wypada mówić.

– Przede mną nie musi się pan krygować.

– O tym chciał pan porozmawiać? O moich miłosnych niepowodzeniach?

– Można tak powiedzieć. Co pana łączyło z Karoliną Rodek?

Kiedy dowiedziałem się od Klary o romansie Staszka z Rodek, postanowiłem podążyć tym tropem. W sprawie morderstwa dziewczyny wciąż było dla mnie więcej niewiadomych niż konkretów. Dziś rano zadzwoniłem do Staszka i umówiłem się z nim w biurze. Moje pytanie go zmieszało. Ale po chwili jego twarz przybrała obojętny wyraz.

– Tę kwestię już chyba panu wyjaśniłem. Karolina Rodek była moją studentką. To wszystko.

– Naprawdę? A mnie się wydaje, że gdyby Karolina Rodek żyła, to słysząc pańskie słowa, mogłaby okazać się bardzo rozczarowaną

kobietą.

– Pan coś sugeruje?

– Nie sugeruję. Jestem raczej bliżej stwierdzenia faktu.

– Jakiego faktu?

– Faktu, że miał pan romans ze swoją studentką. A konkretnie z Karoliną Rodek właśnie.

– Wciąż porusza się pan w sferze domysłów. Fakt potrzebuje potwierdzenia.

– A jeśli mam świadka?

– Wówczas ma pan słowo przeciwko słowu. – Staszek przysunął się bliżej, opierając dłonie na biurku.

Wstałem i sprzątnąłem kubek z kawą, który zostawiła Segdalska.

– Panie Jakubie, powiem szczerze, że nawet schlebia mi pańskie podejrzenie. Jak pewnie każdemu mężczyźnie w moim wieku, kiedy łączy się go z piękną i młodą kobietą. A taką kobietą, przyznaję, była Karolina. Ale naprawdę nic mnie z nią nie łączyło, poza relacją wykładowca i jego studentka. Nie znałem jej lepiej, tak jak większości swoich studentów. Kto panu naopowiadał takich bzdur. Zresztą, nie potrafiłbym zdradzić swojej żony. Była moją pierwszą i będzie ostatnią miłością.

– Klara Stadnicka twierdzi coś zupełnie innego. Czy to także panu schlebia?

– Kim jest Klara Stadnicka?

– Świadkiem, o którym wcześniej wspomniałem. Bliska przyjaciółka Karoliny Rodek.

– I widzi pan? Gdybym miał romans z Karoliną, to czy nie znałbym jej najbliższej przyjaciółki?

– Gdyby miał pan romans z Karoliną Rodek i chciałby pan ten fakt ukryć, to myślę, że starałby się pan też nie przyznawać do znajomości z jej bliską przyjaciółką – odparłem i włożyłem ręce do kieszeni. W prawej wymacałem monetę. Wyjąłem ją. Było to dwa złote. Zacząłem się nią bawić, podrzucając do góry.

Kazimierz Staszek zareagował śmiechem.

– No właśnie. Może pan tylko gdybać. Ale ja zapewniam pana, że nie mam nic do ukrycia. A ostatnią rzeczą, jaką chciałbym ukryć, jest

romans z Karoliną Rodek, bo go najzwyczajniej w świecie nigdy nie było. Czy to wszystko, panie detektywie?

Odniosłem wrażenie, że ostatnie słowo Staszek wypowiedział z lekką drwiną.

– Tak, to wszystko – odrzekłem. – Ale proszę się nie zdziwić, jeśli niebawem znowu się spotkamy.

Moneta poszybowała w górę. Uderzyła o blat biurka. Zakręciła się kilka razy wokół własnej osi i przechyliła w jedną stronę. Przykryłem ją dłonią. Staszek obserwował ją uważnie, jakby był ciekaw, co wypadło. Schowałem monetę z powrotem do kieszeni.

– Oczywiście. W końcu to małe miasto – odparł po chwili.

Wstał i wyszedł.

Podszedłem do okna i zdjąłem okulary. Rozmasowałem miejsce po nich na nosie, marszcząc czoło. To był irytujący poranek. Najpierw Segdalska, która postanowiła nie zapłacić za mój czas. Potem Kazimierz Staszek, którego nie udało mi się zmusić do potwierdzenia jego romansu z Karoliną Rodek. I śledztwo stojące w miejscu. Miałem ochotę wziąć sobie dzień wolnego. Albo chociaż napić się piwa. Zamiast tego postanowiłem zadzwonić do Jurka.

W uszach miałem sygnał oczekującego połączenia, spoglądałem na parę małych dzieci bawiących się przed blokiem po drugiej stronie ulicy. Prawdopodobnie byli to chłopiec i dziewczynka. Mieli na sobie kolorowe ubranka. Wyglądali jak dwie odbijające się od siebie piłeczki. Widocznie bawili się w berka. Świat oczami krótkowidza bywa czasami fascynujący. Założyłem okulary.

Jurek odebrał po kilku sygnałach.

– Jak śledztwo? – zapytałem zamiast powitania.

– Zależy, o które pytasz. – Jurek także nie bawił się w konwenanse.

– Czyli żadnych ze sobą nie łączycie?

– Morderstwo Karoliny Rodek to zamknięta sprawa. Igor Haddad czeka na proces. Nie ma żadnych dowodów na to, aby sprawę morderstwa Karoliny połączyć ze sprawą morderstwa Elżbiety. Jedynym powiązaniem jest fakt, że kobiety były blisko spokrewnione. Nic także nie wskazuje na to, że śmierć Marcuszka miała związek z powyższymi sprawami. Inny model działania sprawcy.

W najgorszym wypadku mamy do czynienia z trzema morderstwami w ostatnim czasie i... – Jurek wciągnął powietrze – ...trzema mordercami.

– A w najlepszym wypadku?

– Z trzema morderstwami i dwoma mordercami. Ostatecznie nie wykluczamy, że dwóch ostatnich dopuścił się jeden sprawca. Pomimo innego modelu działania. Nie mamy tylko jasnych dowodów i przesłanek, aby te dwie sprawy ze sobą połączyć. Śledztwa się toczą. A ty, Kuba, odkryłeś coś ciekawego?

– Nic, co posunęłoby sprawę do przodu – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Jurek, słuchaj, wiadomo, co było powodem śmierci Marcinka? – zapytałem po dłuższej chwili.

– Jeśli pytasz o motyw, to nie wiemy. Ktoś go udusił. Nie ma jednak śladów walki. Żadnego naskórka pod paznokciami. Drut wokół kostek prawdopodobnie posłużył do ciągnięcia martwego ciała z miejsca, gdzie dokonano morderstwa. Ciało, jak wiesz, znaleziono nad Wisłą. Możemy tylko przypuszczać, że ktoś zamierzał wrzucić je do wody. Dlaczego tego nie zrobił? Być może został wystraszony. Wypyujemy ludzi w okolicy. Może ktoś coś widział.

Dalsza rozmowa nie miała sensu, rozłączyłem się. Kiedy odkładałem telefon na biurko, na wyświetlaczu pojawił się numer Olgi.

– Cześć, Kuba. – W słuchawce usłyszałem jej zmysłowy głos. Miękki jak słodka pianka, delikatnie rozpluwająca się w ustach. Rozmarzyłem się, ale nie dałem tego po sobie poznać.

– Kto mówi? – zapytałem.

– Olga, przecież wiesz. – Zmysłowość zmała nuta irytacji.

– Nie odzywałaś się cały dzień. Mogłem o tobie zapomnieć.

– Ale nie zapomniałeś chyba o sprawie, nad którą dla mnie pracujesz?

– Sprawy zawodowe są zawsze na pierwszym miejscu. Nie zapomniałem.

– To świetnie. Czekam na ciebie w kawiarni na zamku. – Zawiesiła na chwilę głos, po czym dodała: – A wieczorem postaram ci się przypomnieć bardziej prywatnie.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo się rozłączyła.

Zszedłem po schodach. Taras wypełniały parasole z logo jakiegoś browaru. Za balustradą rozciągała się zielona połać trawnika. Po obu jej stronach ukłony składały wierzchołki drzew. Ktoś spacerował z psem. Wyglądał jak mrówka na zielonym dywanie. Olga siedziała przy stoliku nakrytym białym obrusem. Kiedy mnie zobaczyła, pomachała mi. Ubrana była w czerwoną sukienkę. Czarne włosy upięta wysoko, wypuszczając kilka kosmyków w okolicy czoła.

Podszedłem, odsunąłem krzesło i usiadłem. Po chwili pojawiła się kelnerka w białej bluzce. Czarną spódniczkę przykrywał niebieski fartuszek zwieńczony kokardą nad pośladkami.

– Co podać? – zapytała, unosząc w uśmiechu kąciki ust. Nad jednym z nich miała srebrny kolczyk.

– Ja poproszę to samo – odpowiedziała Olga i odsunęła od siebie filiżankę oraz dzbanuszek.

– A ja poproszę duże piwo. Obojętnie jakie.

Kelnerka zapisała zamówienie i odeszła, postukując granatowymi szpilkami. Zabrała pustą filiżankę i dzbanek.

– Nie odzywałaś się wczoraj cały dzień – stwierdziłem, lecz zabrzmiało to trochę jak wyrzut.

– Przepraszam. Chciałam mieć czas tylko dla siebie. Byłam w Rzeszowie na zakupach. Przecież i tak nie pojechałbyś ze mną.

– Ślicznie wyglądasz – powiedziałem. Przystawałem się na nią gniewać. Naprawdę wyglądała świetnie.

– Dziękuję. To chyba twój pierwszy komplement.

– Więc jest ich zdecydowanie za mało.

– Poczekaj do wieczora. Kupiłam coś specjalnego.

Przerwała nam kelnerka, która przede mną postawiła kufel zimnego piwa, a przed Olgą gorącą wodę i filiżankę. Upiłem łyk piwa. Olga podniosła dzbanek, którym przykryta była filiżanka. Włożyła do niej herbatę i zalała wrzątkiem. Chyba zrobiłbym to inaczej, ale nie zwróciłem jej uwagi. Przez chwilę milczeliśmy.

– Do wieczora jeszcze daleko, a ty chciałaś się spotkać zawodowo, jeśli dobrze zrozumiałem. – Pierwszy przerwałem ciszę.

– Tak. Chciałabym wiedzieć, jak się sprawy mają. Doszedłeś już do czegoś istotnego?

– Na razie wygląda to tak: pod koniec czerwca zostaje zamordowana Karolina Rodek. O morderstwo zostaje oskarżony jej chłopak, który siedzi w areszcie, czekając na proces. Potem w moim biurze pojawia się ty, a kiedy ja zaczynam zajmować się sprawą, popełniane są kolejne morderstwa. Policja na razie ich ze sobą nie łączy. Pierwsza zostaje zamordowana Elżbieta Rodek, matka Karoliny. I to tuż po tym, jak z nią rozmawiałem. Ktoś był w jej mieszkaniu i czegoś szukał. Sądziłem, że chodziło o pendrive'a, którego nie znalazła u niej policja. Pendrive jednak zostaje znaleziony w melinie Mareczka, który jest posądzony o zamordowanie Elżbiety Rodek. Policja tłumaczy to motywem rabunkowym. Sędzia jednak nie zgadza się na przedłużenie aresztu i Mareczek zostaje zwolniony, a tuż potem zamordowany. Same niewiadome. Dostałem ostrzeżenie za wtrącanie się w nie swoje sprawy w formie niegroźnego pobicia. I to wszystko, to znaczy: kolejne morderstwa wydarzyły się, odkąd zająłem się sprawą. Ktoś ewidentnie się boi, że prawda wyjdzie na jaw. Boi się do tego stopnia, że popełnia kolejne morderstwa? – Moje pytanie zawisło w powietrzu. Olga wzruszyła ramionami.

Potem opowiedziałem jej o romansie Kazimierza Staszka z Karoliną.

– A jesteś pewien, że ta dziewczyna, Klara... – Przytaknąłem. – Że ona mówi prawdę? Staszek to dość szanowany człowiek. I chyba rozsądny. Nie wiem, czy pozwoliłyby sobie na romans ze swoją studentką.

– Mężczyzna dla kobiety jest przecież w stanie zgubić rozsądek.

– No tak. Ale nie można wykluczyć, że Klara nie mówi prawdy. Poza tym, gdyby nawet Staszek miał romans z Karoliną, to przecież jeszcze nie powód, aby ją zabić.

– Bronisz go?

– Nie. Próbuję tylko spojrzeć na sprawę z każdej strony. Ty też powinieneś.

– Wiem. Ale na razie nie mogę bagatelizować tego tropu.

– Mam nadzieję, że ja już nie jestem podejrzana.

– Nie. Tak się tylko z tobą droczyłem. Nie sądziłem, że weźmiesz to tak poważnie.

W gruncie rzeczy tak naprawdę o nic Olgi nie podejrzewałem. Zdążyłem ją poznać. Podejrzewanie jej byłoby absurdalne.

Zadzwoił mój telefon. To była Klara. Poprosiła o spotkanie. Pożegnałem się z Olgą, obiecując, że wpadnę wieczorem.

Rozdział 13

Poniedziałek, 17 sierpnia 2015, południe

Danuta ocknęła się, kiedy usłyszała hejnał Tarnobrzega dochodzący z budynku urzędu miasta. Było samo południe. Po wyjściu Kuby dopiła kawę i wróciła do swojego pokoju, zamknawszy drzwi prowadzące do domu. Chandler spojrział na drzwi, potem na Danutę. Nie miał wyboru, bezszelestnie poszedł za Danutą, ogonkiem kreśląc „S” w powietrzu, które wciąż było gęste od panującego upału.

Słońce się przemieściło i w pokoju zrobiło się nieco przyjemniej. Z początkiem tygodnia na Słowackiego znów wrócili robotnicy. Danuta podeszła do okna. Zamknęła je. Hałas stał się znośniejszy. Włączyła wentylator i położyła się na łóżku. Pomyślała, że spróbuje poczytać. Słowa jednak nie układały się w logiczną całość, a po chwili zupełnie się rozmyły. Łzy, które wezbrały w oczach Danuty, spłynęły po policzkach, zatrzymując się na brodzie, po czym spadły na poduszkę. Nawet czytanie Chandlera nie przynosiło ukojenia. Wręcz przeciwnie. Było bezsensowną czynnością, podczas której myśli Danuty uciekały gdzie indziej. Odłożyła książkę, wytarła mokre policzki i zamknęła oczy. Nawet się nie zorientowała, kiedy zasnęła.

Teraz obudziła się, lecz nie czuła się wcale lepiej. Hejnał wybrzmiał do końca. Chandler spał przytulony do jej łydki. Poruszyła nieznacznie stopą. Kot podniósł głowę. Zaspiane oczy początkowo wyrażały oburzenie. Ale kiedy Chandler zobaczył, że Danuta nie śpi, swoje zadowolenie wyraził głośnym mrużeniem. Następnie rozciągnął się, rozcapierzając łapy. Danuta lubiła ten moment. Chandler wydawał się jej wówczas rozkoszny. Po przeciągnięciu nastąpiło bezwstydné ziewnięcie, ukazujące różowe podniebienie i białe kły. Nieraz pozostawiały one ślady na dłoniach Kuby i Danuty, kiedy za długo obdarzali Chandlera pieszczotami.

Danuta pogładziła ciepłe i miękkie futerko. Chandler zbliżył się do niej, ale gdy zamierzał wyciągnąć pyszczek w górę, co jednocześnie

miało być wskazówką dla Danuty, gdzie pragnie być miziany, znieruchomiał. Na parapecie przysiadł gołąb. Chandler, ignorując dłoń Danuty gładzącą go po grzbiecie, zaczął zbliżać się do okna. Bezszelestnie wskoczył na parapet. Gołąb spoglądał na niego ciekawie, przekrzywiając głowę na boki i sprawiając wrażenie zupełnie nieświadomego, że od śmierci dzieli go tylko okienna szyba. Chandler zastygł. Obserwował gołębia. Jedynie ruch futerka na bokach tułowia i cichy świst powietrza wydobywający się z nozdrzy był oznaką, że w środku czarnej kulki toczy się życie, a może nawet rozgrywa się wewnętrzna emocjonalna batalia. Gołąb, pewny siebie, zbliżył się bardziej do okna. Nagle Chandler podskoczył jak dziki kot i pacnął łapą o szybę. Wystraszony gołąb poderwał się i odleciał. Chandler jeszcze przez chwilę spoglądał przez okno, energicznie poruszając ogonem. Upewniwszy się, że gołąb nie wróci i dalsze czekanie byłoby bezowocne, zszedł cicho z parapetu i wrócił do Danuty, która zdążyła usiąść i poprawić potargane przez sen włosy.

Spojrzała na laptopa i podniosła się. Dotknęła klapy komputera, lecz zawahała się. Stoczyła wewnętrzną walkę i postanowiła nie oglądać po raz kolejny zdjęć. Była wystarczająco smutna. Do tego zdjęcia były stare. Widziała je już wiele razy. Gdy je przeglądała, zastanawiała się, jak teraz wyglądają jej dzieci. Wnuków nigdy nie widziała, a one prawdopodobnie nie wiedzą o jej istnieniu. Może powiedziano im, że ich babcia nie żyje? Tak jak dziadek. Bywały momenty, kiedy życie było znośne. Wystarczyła jednak mała porażka, niewielkie niepowodzenie, a czarne myśli kiełkowały w jej głowie. Tak było w wypadku Konrada. Może zbyt wiele się po nim spodziewała? W każdym razie to nie było takie ważne. Nie znała go przecież długo. Stał się tylko katalizatorem pogorszenia jej nastroju. Nie on pierwszy zresztą, ale istotne było co innego. Odrzucenie przez dzieci, wspomnienia gehenny, jaką przeżywała z ich ojcem, i morderstwo w obronie własnej, którym się ta gehenna skończyła. To wszystko nagle wróciło. Wróciło także wspomnienie drugiego męża, którego Danuta pokochała, kiedy myślała, że w życiu nic dobrego już jej nie spotka. Nie trwało to jednak długo. Potem przyszła choroba i walka o każdy dzień. A w międzyczasie było coś jeszcze... Tę myśl

jednak Danuta odsunęła od siebie czym prędzej.

– To nie na temat – wyszeptała. – Jak by powiedział Kuba – dodała i uśmiechnęła się. Smutno. Nostalgicznie.

Skrzyżowała ramiona na piersi. Spróbowała się nimi otulić. Tak jak zrobił to dziś Kuba. Czy ona i Kuba...? Czy między nimi coś będzie, myślała. Nie zaprzętała sobie głowy drobnymi wątpliwościami. Mógł być dla niej za młody. Jednak jeśli coś miałyby stanąć na ich drodze, na pewno nie będzie to różnica wieku. Czuła się źle, ale postanowiła wziąć się w garść. Zaczęła od otwarcia zakładu.

Rozdział 14

Poniedziałek, 17 sierpnia 2015, po południu

Łukaszku, podaj mi wody. – Głos dziadka leżącego na łóżku był słaby. Starszy mężczyzna wypowiadał słowa cicho i powoli.

Łukasz oderwał wzrok od monitora komputera, na którym przeglądał strony z ofertami pracy, i wstał. Krzesło wydało charakterystyczny dźwięk, który zawsze towarzyszył jego odsuwaniu. Było to stare szkolne krzesło, przypominające Łukaszowi czasy, gdy chodził do podstawówki. Dostał je od znajomej sprzątaczkii, która pracowała w jednej ze szkół. Komputer także pochodził z darowizny. Otrzymał go od Sebastiana, kiedy ten kupował najnowszy model laptopa. Komputer miał kilkanaście lat, duży kineskopowy monitor i niewielką pamięć, ale na potrzeby Łukasza był zupełnie wystarczający. Grunt, że miał dostęp do internetu. Bez niego przecież nie można dobrze funkcjonować we współczesnym świecie.

Otworzył lodówkę. Była prawie pusta. Westchnął. Była połowa miesiąca, a on już musiał ostrożnie gospodarować rentą dziadka. Rzadko wystarczało im do pierwszego. Musiał się wówczas zapożyczać. Głównie u Sebastiana. Choć kolega pożyczął chętnie i nie nalegał na szybką spłatę, Łukaszowi wcale nie było to na rękę.

Zamiast więc sięgnąć po butelkę taniej wody mineralnej, zamknął lodówkę. Z suszarki nad zlewem zdjął kubek i napełnił go wodą z kranu.

– Dziękuję – powiedział dziadek, kiedy Łukasz podał mu kubek. Mężczyzna ostrożnie uniósł się i pociągnął łyk, głośno siorbiąc. Chłodna kropla spłynęła na brodę, ale staruszek nic sobie z tego nie robił. Popijał, mlaskając z zadowoleniem po każdym łyku.

Łukasz odwrócił się i podszedł do okna. Uchylił je szerzej, choć wcale nie zrobiło się od tego chłodniej. Podszedł do drzwi i lekko je uchylił. Zrobił się nieznaczny przeciąg. Ciepłe powietrze załopotowało starą firanką.

Dziadek zrobił się niespokojny.

– Zamknij, Łukaszku, te drzwi. Oni będą nas słyszeć! – panująca dotąd ciszę przerwało zaskakująco energiczne żądanie starego mężczyzny.

Łukasz pokręcił głową, lecz nic nie powiedział. Zamknął drzwi i wrócił do komputera. Przyzwyczał się nie tylko do fizycznej choroby dziadka, ale także do dziwactw, wynikających z jego traumatycznych przeżyć z przeszłości. Kiedyś zatrzymano go na posterunku milicji i pobito, a następnie spojonego alkoholem wyrzucono do rowu. Była zima. Ledwo przeżył. Dziwactwa nasiliły się, kiedy rodzice Łukasza zginęli w wypadku samochodowym. Dziadek miał na ten temat kilka teorii spiskowych. Żadnej jednak nie potwierdziło śledztwo. Przyczyną wypadku była po prostu nadmierna prędkość. Po śmierci rodziców opiekunem Łukasza został właśnie jego dziadek, lecz od pewnego czasu to Łukasz musiał opiekować się starym mężczyzną. Zwłaszcza że dziadek nie tylko zestarzał się, ale też zaczął chorować. Miał głównie problemy reumatyczne i związane z krążeniem. Musieli się przenieść do mieszkania socjalnego. Okazało się, że dziadek zadłużył ich poprzednie mieszkanie, nie płacąc regularnie czynszu. Łukasz nie miał mu tego za złe. Dziadek często stawał przed wyborem: czynsz lub jedzenie, i po prostu wybierał to drugie.

Kiedy drzwi zostały zamknięte, dziadek się uspokoił. Oddał pusty kubek Łukaszowi i położył się. Rozległ się miarowy oddech. Dziadek zasnął.

Łukasz wrócił do przeglądania ofert pracy. Od wczoraj nie pojawiło się nic nowego. Rynek pracy w Tarnobrzegu nie wyglądał ciekawie. Szybciej znalazłby coś po znajomości, ale nikt nie dawał ostatnio cynku o jakiegokolwiek pracy. Choćby tymczasowej i na czarno. Pozostało szukanie w internecie. Chodził także do urzędu pracy, ale tam sytuacja przedstawiała się równie nieciekawie. Gdyby nie dziadek, pewnie wyjechałby za granicę. Nie mógł go jednak zostawić samego. Wprawdzie ostatnio wpłynęło mu trochę gotówki za robotę, którą wykonali razem z Sebastianem, ale po spłaceniu długów niewiele z tego zostało. Może niedługo pojawi się podobne zlecenie,

zastanawiał się. Co prawda nie był do końca przekonany, czy chciałby tak zarabiać na życie, ale i ono nie dawało mu żadnego wyboru. Od dłuższego czasu był bez pracy, a jedynym regularnym dochodem była renta dziadka.

– Łukaszku? – Z zamyślenia ponownie wyrwał go głos dziadka. Odwrócił się do niego, pytając o, co chodzi.

– A ten człowiek, co tutaj był, czego chciał? – ściszym głosem zapytał dziadek.

– To był mój znajomy. Nie martw się – odpowiedział Łukasz.

– A to dlaczego nie rozmawialiście w środku, tylko zabrałeś go na zewnątrz?

– Nie chciałem ci przeszkadzać. Myślałem, że śpisz. Naprawdę nie masz się czego obawiać – Łukasz ponownie zapewnił go, przemilczając fakt, że ich niedawny gość wcale nie był jego znajomym, a w dodatku był detektywem. To z pewnością zaniepokoiłoby dziadka, a tego przecież nie chciał.

Mężczyzna skinął głową na znak, że mu wierzy, i odwrócił się do ściany.

Kiedy Łukasz zamierzał wrócić do przeglądania stron w internecie, zabręczał jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Przyszedł SMS od Sebastiana. Kolega chciał się natychmiast spotkać. Łukasz odpisał, że niebawem będzie. Wyłączył komputer, powiedział dziadkowi, że ma coś pilnego do załatwienia, i wyszedł.

Siema – powiedział Sebastian i wpuścił kolegę do środka.

– Cześć – rzucił Łukasz i podał mu rękę. – O czym chciałeś pogadać?

Fafik, leżący w salonie obok kominka, podniósł łeb. Widząc znajomą postać, pogrążył się w przerwany śnie.

– Mówiłeś coś temu detektywowi? – zapytał Sebastian bez zbędnych wstępów.

– Masz na myśli ostatnią robotę?

Sebastian skinął głową i spojrzał wyczekująco na Łukasza. Z jego wzroku oprócz napięcia można było wyczytać jakąś dziką, fanatyczną przenikliwość.

– Nic mu nie powiedziałem. Poza tym ostrzegłem go, żeby się nie mieszał.

Sebastian uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Chodź, zapalimy.

Wyszli na taras, z którego rozciągał się widok na trawnik i basen. Na altanie przy murowanym grillu przysiadła wrona i lustrowała okolicę.

Sebastian wyciągnął paczkę marlboro i poczęstował Łukasza. Chłopak zaciągnął się, mrużąc jednocześnie oczy. Promienie słońca padały mu prosto na twarz, schował się więc pod zadaszenie tarasu.

– Nikt nie może się dowiedzieć, kto nas wynajął – zaczął Sebastian.
– Nie wiem jak ty, ale ja nie zrobiłem tego dla pieniędzy.

Łukasz bardzo dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Sebastian miał bogatych rodziców. Zapłata, jaką otrzymali za nastraszenie detektywa, dla Sebastiana mogła stanowić tygodniowe kieszonkowe, które dostawał od starych. Dla Łukasza był to duży zastrzyk gotówki.

– Poza tym uważam, że sprawa jest zamknięta – kontynuował Sebastian. – Ten ciapaty zabił Karolinę. Nie lubiłem tej kurwy, ale to w końcu nasza kobieta. Żaden brudas nie będzie ruszał naszych kobiet. I żaden detektywek nie będzie się wtrącał w nie swoje sprawy.

– Ale jeśli to nie on zabił tę laskę? – zastanowił się Łukasz. – Chodziłem z tym Igorem do szkoły...

– A jakie to ma znaczenie. Nawet gdybyś miał rację, to jest nam na rękę, że tak właśnie się stało, że to on jest podejrzany. I mam nadzieję, że zostanie skazany.

– Na rękę?

– Łukasz, nie udawaj idioty. Rząd chce ściągnąć do naszego kraju tych pieprzonych uchodźców. Trzeba mieć argument w rękach. A taki ciapaty mordujący białą dziewczynę to świetny argument, nie?

Łukasz przytaknął, po czym zamyślił się. Nie tak to sobie wyobrażał. Włożył rękę do kieszeni i dotknął nierównej powierzchni wizytówki, którą otrzymał od detektywa. Zaczął obracać ją w dłoni, zaciągając się dymem z papierosa.

Rozdział 15

Poniedziałek, 17 sierpnia 2015, późne popołudnie

Kiedy zostawiłem Olgę i szedłem w kierunku ciucholandu, w którym pracowała Klara, mój telefon ponownie zadzwonił.

- Tak? – zapytałem, nie zdążywszy sprawdzić, kto dzwoni.
- Cześć, tu Klara – usłyszałem w słuchawce.
- Właśnie do ciebie idę.
- A czy mógłbyś przyjść trochę później? Dziś jest dostawa i mam tu urwanie głowy. Chyba nie uda nam się normalnie porozmawiać. Przyjdź po południu. Tuż przed zamknięciem. Powinno być trochę luźniej.

– Jasne, nie ma sprawy. Jeśli chcesz, możemy umówić się, jak skończysz pracę.

– Nie ma takiej potrzeby. Przyjdź przed zamknięciem sklepu – ucięła Klara i rozłączyła się.

Miałem więc czas wolny. W pierwszym odruchu chciałem wrócić do Olgi, ale byliśmy już umówieni na wieczór, więc zrezygnowałem. Postanowiłem posiedzieć trochę w biurze. Była to jakaś alternatywa dla chodzenia po spalonych gorącym powietrzem ulicach Tarnobrzega. A na tym też polegała moja praca. Na siedzeniu w biurze i czekaniu na klienta.

Minuty mijały, a nikt się nie zjawiał. Co jakoś szczególnie mnie nie dziwiło. Zacząłem się jednak po raz kolejny zastanawiać, czy pomysł na biuro detektywistyczne w takim mieście jak Tarnobrzeg jest trafionym pomysłem. Rychło w czas. Po ponad roku funkcjonowania. Niemniej nie było jeszcze za późno, aby zająć się czymś innym. Tylko czym? Nie mając pomysłu na odpowiedź, zrobiłem to, co zwykle robi się z nudów. Włączyłem fejsa. Wśród wciąż obecnych memów o uchodźcach pojawiały się także linki do artykułów na temat

ostatnich morderstw w Tarnobrzegu. Były to odnośniki do lokalnych portali internetowych. Ogólnopolskie tytuły prasowe jeszcze nie zainteresowały się sprawą. Widocznie w skali kraju nie były to wyjątkowe wydarzenia. Były ważniejsze sprawy. Na przykład relacjonowanie kolejowych podróży jednej z kandydatek na premiera. Przejrzałem kilka artykułów. Dotyczyły ostatniego morderstwa, czyli zabójstwa Mareczka. Ponadto redaktorzy przypominali morderstwo Elżbiety Rodek i Karoliny Rodek, przy ostatnim wyraźnie podkreślając, że mordercą był Arab. W dodatku syn człowieka, który zamordował swoją żonę. Pod każdym artykułem lawinowo pojawiały się komentarze wrogie uchodźcom. Igor jako morderca Karoliny Rodek był jak woda na młyn dla nieprzychylnych wobec uchodźców nastrojów, które wzbierały w społeczeństwie. A przecież chłopak nie został nawet jeszcze skazany.

Jak to zwykle bywa, serfując po internecie, straciłem poczucie czasu. Nawet nie spostrzegłem, kiedy zaczęło się robić późno. Spojrzałem na zegarek. Jeśli chciałem złapać Klarę przed zamknięciem sklepu, musiałem się spieszyć. Zamknąłem laptopa i biuro, po czym ruszyłem w kierunku Sandomierskiej.

Wszedłem do środka. Uderzył mnie zapach używanej odzieży i widok Klary za kasą. Wprawdzie nie miała na sobie prześwitującego bikini, ale w wydekolowanej sukience wyglądała równie pociągająco. Uśmiechnąłem się do niej, lecz wydawała się spięta.

- No nareszcie. Już miałam zamykać.
- Przecież jeszcze pół godziny. – Rzuciłem okiem na tabliczkę z godzinami otwarcia sklepu.
- Tak, ale jeśli nie ma klientów, zamykam wcześniej.
- Okej. To w takim razie do rzeczy: co chcesz mi powiedzieć? – powiedziałem, nie chcąc zajmować jej czasu.
- Chciałabym skorygować to, co ci wczoraj powiedziałam. Spojrzałem na nią wyczekująco.
- Ja właściwie wcale nie jestem pewna, czy Staszek miał romans z Karoliną. Właściwie to chciałam cię trochę podpuścić. Próbowалаm go kiedyś poderwać, ale dał mi kosza. To było dawno, ale wiesz, jak

jest. Pewnych rzeczy się nie wybacza. Pomyślałam, że w ten sposób się na nim odegram.

– Rozmawiałem z nim dziś rano. Mówił, że cię nie zna.

– Sam widzisz. Dla niego był to pewnie epizod. Nawet mnie nie zapamiętał. Chciałam się po prostu odegrać. Podrzucić ci trop z tym romanssem.

– Dlaczego w takim razie się z tego wycofujesz?

– Bo to głupie. Dziecinne. Poza tym zależy mi, żeby to prawdziwy morderca Karoliny poniósł karę, po co masz się zajmować taką bzdurą.

– Rozumiem – powiedziałem, chociaż wcale nie byłem taki skłonny, aby wierzyć w to, co mi mówi.

– Poza tym chciałam ci powiedzieć, że Karolina naprawdę z kimś się spotykała. Ale to nie był Staszek. Chłopak nazywa się Radek Kornacki. Chciała nawet rzucić dla niego Igora.

– Skąd mam wiedzieć, że i teraz mnie nie podpuszczasz?

– Musisz mi uwierzyć na słowo.

Podziękowałam jej za informacje. Udałam, że uwierzyłam. Rozejrzałam się po sklepie i mój wzrok przykuła biała koszula. Ściągnąłem ją z wieszaka i podałem Klarze. Czasami i ja kupowałem w second handach. Kiedy wydawała mi resztę, na przegubie jej dłoni zauważyłem nową bransoletkę. Nie miała jej wczoraj, ale może nad jeziorem nie nosi się lepszej biżuterii. Wyraźnie odznaczała się na tle tanich plastikowych świecidełek.

– Nowa? – zapytałem, wskazując na przegub jej ręki.

– Nowa – potwierdziła Klara i szybko odsunęła dłoń.

– Nie wygląda na tanią.

– Bo nie była. Dostałam ją wczoraj na urodziny. Od rodziców. Skinąłem ze zrozumieniem głową i wyszedłem.

Rozdział 16

Wtorek, 18 sierpnia 2015

Otworzył oczy. Sufit, który wieczorem wirował niemiłosiernie, rano wrócił na swoje miejsce. Chodziła po nim tłusta mucha, co chwilę się zatrzymując. Miał wrażenie, że bacznie go obserwuje. Podniósł papierek po gumie do żucia i zwinął go w kulkę. Odczekał, aż mucha znieruchomieje, i rzucił kulkę, która nie doleciała do sufitu, ale to wystarczyło, aby wytrącić muchę z równowagi. Zabzyczała pod sufitem i przeniosła się na okno. Sięgnął po klapka i rzucił o szybę. Mucha spadła na parapet, zostawiając lepki ślad na gładkim szkłe. Uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś uratował muchę przed czyhającym na nią kotem. Wyszedł wtedy na wrażliwca. I dobrze. Lubił grać przed ludźmi.

Bolała go głowa. Jedną dłonią próbował rozmasować skroń, drugą wyciągnął w bok w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Rozległ się dźwięk przewracanego szkła. Zamiast na komórkę jego ręka natrafiła na pozostałości z wczorajszego wieczoru. Kilka butelek po piwie i flaszka wódki leżały teraz na podłodze. Z jednej sączyła się resztką żółtego płynu, pozostawiając ciemną plamę na parkiecie. Nie spiesząc się, podniósł butelki i sięgnął po papierowy ręcznik, którym wytarł wilgoć z podłogi. Plama jednak została.

Telefon leżał na stoliku obok pogniecionej paczki fajek, z której wysypały się okruchy tytoniu. Strzepnął je na podłogę i sięgnął po telefon. Plastik zaszurał na szklanym blacie, gdy przesunął komórkę w swoim kierunku.

Spróbował sprawdzić powiadomienia na wyświetlaczu, ale aparat nie odpowiedział. Przeklął i zaczął szukać ładowarki. Gdy nie znalazł jej pod stertą rzuconych niedbale ubrań, zaczął przetrząsać szuflady, opróżniając ich zawartość. Na podłogę poleciały skarpety, stare czasopisma i płyty.

Usiadł na podłodze, plecy opierając o ścianę. Kiedy zamierzał

rzucić bezużyteczny telefon na materac, na którym przed chwilą spał, zauważył, że spod niedbale rzuconej kołdry wystaje czarny kabel ładowarki. Sięgnął po niego. Końcówka była zakurzona. Ostatnią rzeczą, o którą mógłby się teraz troszczyć, było sprzątanie. Nie przeszkadzały mu kłęby kurzu zbierające się w kątach mieszkania.

Podłączył telefon do prądu. Chwilę potrwało, zanim mógł go uruchomić. Kiedy natrętne wciskanie przycisku uruchamiającego komórkę wreszcie dało efekt, rozległ się charakterystyczny dźwięk włączanego telefonu. Pojawił się zasięg. Patrzył w telefon, czekając na informację o SMS-ie lub nieodebranych połączeniach. Sekundy mijały, a telefon milczał. Odrzucił go z niechęcią i potarł dłonią zmarszczone czoło.

– A czego się spodziewałeś? SMS-a od Karoliny? – powiedział do postaci w lustrze wiszącym nieopodal materaca, na którym sypiał.

Nie spodobało mu się własne odbicie, więc podszedł do lustra, zdjął je i odwrócone oparł o ścianę.

Przejechał dłonią po twarzy. Pod palcami poczuł kłujący trzydniowy zarost, którego nie zamierzał się pozbywać. Było mu obojętne, jak wygląda, o ile nie widzi własnej twarzy w lustrze. Karolina wolała go bez zarostu, lecz teraz to nie miało żadnego znaczenia. Zresztą, na co mu była potrzebna ta laska? Gdyby jej nie poznał, sprawy pewnie potoczyłyby się inaczej. Pewnie jeszcze by żyła, a tak czuł się trochę winny, że przyczynił się do jej śmierci.

Było mu gorąco, ale nie otwierał okna. Poza tym na zewnątrz panował upał. Nie zrobiłoby się wcale chłodniej. Zdjął koszulkę. Poczul własny pot i stwierdził, że mógłby się w końcu umyć. Niezmieniana od dawna pościel była przesiąknięta zapachem niemytego ciała.

Ściągnął pościel i wraz z brudną koszulką wrzucił ją do pralki, po czym zaczął rozglądać się za proszkiem do prania. W szafce pod umywalką znalazł puste opakowanie po płynie do płukania tkanin i pudełko z proszkiem, którego ilość nie starczyłaby nawet na ręczne wypranie kilku skarpetek. Ze złością cisnął je na podłogę i trzasnął drzwiczkami pralki. Proszek wysypał się. Zagarnął go stopą pod wannę. Kupowanie środków czystości było dla niego ostatnio tak

nieistotne jak samo sprzątanie. Na szczęście butelka z żelem pod prysznic nie była jeszcze całkiem pusta, więc wziął szybką kąpiel, która oczyściła jego ciało, ale nie myśli.

Wytarł ręcznikiem głowę. Dłonią przeczesał półdługie włosy. Parę pojedynczych kosmyków opadło mu na czoło. Ze stosu ubrań wiszących na krześle wydobył koszulkę, która wydawała się najświeższa, i parę czarnych szortów. Ubrał się i sięgnął po paczkę fajek leżącą na stoliku. W środku znajdowały się dwa ostatnie papierosy. Wyjął jednego, wzdychając. Będzie musiał iść do sklepu, na co nie miał ochoty. Ludzie go denerwowali. Poza tym od śmierci Karoliny wolał nie rzucać się w oczy. Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

Rozejrzał się w poszukiwaniu zapalniczki. Nie znalazł jej. Widocznie gdzieś się poniewiera pod stertą wyrzuconych z szuflad rzeczy. Nie miał ochoty przerzucać ich ponownie, więc poszedł do kuchni, gdzie odpalił gaz w kuchence i pochylił głowę. Zapalił papierosa, zaciągnął się kilka razy dymem i wrócił do pokoju.

Położył się na wznak na materacu i pałac, spoglądał w sufit. Panująca cisza, przerywana jego oddechem i odgłosem zaciągania się, zaczęła go irytować. Wstał i włączył laptopa. Odszukał pliki z muzyką i po chwili zastanowienia włączył kawałek Cigarettes After Sex. Karolina bywała irytująca, ale miała gust muzyczny. Pokój wypełniły miłe dźwięki i głos wokalisty, którego wziął za kobietę, kiedy Karolina pierwszy raz włączyła mu kawałek *Nothing's Gonna Hurt You Baby*. Przymknął oczy i poczuł, jak się uspokaja. Złe myśli odpływały za sprawą muzyki i wspomnień, które przywoływała. Niemal czuł na ramieniu głowę Karoliny i delikatny zapach jej włosów, którymi lubiła laskotać go po policzku. On z kolei lubił zatapiać w nich palce. Wiele razy leżeli właśnie w ten sposób. Zmęczeni seksem. On, na plecach, z przymkniętymi oczami, zaciągał się papierosem. Ona z głową na jego ramieniu, czasem zabierająca mu papierosa i przykładająca go sobie do ust. Nigdy nie wypuszczała dymu w jego stronę, chociaż wcale by to mu nie przeszkadzało. Leżeli, słuchając muzyki i milcząc. Banalny obrazek, ale bywali wówczas szczęśliwi. Nawet on.

Muzyka się skończyła. W takich chwilach albo włączał kolejny kawałek, albo przytulał do siebie Karolinę i zaczęli się całować.

Tym razem przymknął klapę laptopa, a niedopałek papierosa wyrzucił do popielniczki z nakrętki od słoika. Wrócił na materac. Przymknął oczy i zaczął myśleć o wydarzeniach sprzed kilku miesięcy. Jego życie wyglądało zupełnie inaczej. No może nie zupełnie inaczej. Był w dołku, lecz oddałby wszystko, aby cofnąć czas i wrócić do problemów, które go wówczas pochłaniały. Zostawiła go żona. Kolejne zdarzenia były konsekwencją tego faktu. Dużo pił, przesiadywał w knajpach. Czuł, że życie przesypuje się mu przez palce jak piasek, ale mimo to nie zamierzał nic z tym zrobić. Nie był idealnym mężem. Zdarzały mu się skoki w bok, ale od razu rozwód? Każdy facet przynajmniej raz w życiu zdradza kobietę, którą kocha. Tak uważał. W dodatku żona zajęta dziećmi zupełnie przestała o siebie dbać, a on wciąż czuł się młody. Podobał się kobietom, więc dlaczego miał tego nie wykorzystać. Niepotrzebnie zrobiła z tego aferę. Przecież ją kochał i nie zamierzał zostawić. W końcu mieli dzieci. Nakryła go w łóżku z inną kobietą, i to w dodatku w ich własnym mieszkaniu, ale przecież chciał wszystko wytłumaczyć. Gdyby mu wybaczyła, nie znalazłby się w obecnej sytuacji.

Siedział jak zwykle przy barze. Koncert, na który przyszedł, już dawno się skończył. Właściwie nie interesował go występ, lecz bar i butelki ustawione w równych rzędach i oświetlone czerwonym światłem. Feeria kolorów. Zapowiedź dobrej zabawy. I kaca na drugi dzień. Czas mijał mu na opróżnianiu kolejnych kufli piwa i wychodzeniu na fajkę na zewnątrz. W lokalu panował zakaz palenia, ale im bliżej było zamknięcia, tym częściej barmanka przymykała oko na zakaz. Ostatniego papierosa palił już w środku.

Wówczas podeszła do niego pijana blondynka. Wyjęła papierosa z jego dłoni i zaciągnęła się...

Otworzył oczy i przestał wspominać. Za drzwiami usłyszał szuranie i zaczął nasłuchiwać. Odkąd zamordowano Karolinę, każdy szmer pod jego drzwiami powodował napad lęku.

Stanąłem przed drzwiami w kolorze olchy. Wycieraczka była przekrzywiona, więc przesunąłem ją stopą. Upewniłem się, że jestem pod właściwym adresem, i postanowiłem zapukać. Ale zanim się tutaj znalazłem, spędziłem miły poranek z Olgą. Oczywiście wiązało się to z tym, że po raz kolejny nocowałem poza domem. Nie narzekałem. Innego zdania chyba była Danuta. Kiedy zadzwoniłem do niej, informując, że dziś mnie nie będzie, szybko się rozłączyła. Przez chwilę się zaniepokoiłem. W końcu rano nie wyglądała i nie czuła się najlepiej. Z drugiej strony miałem swoje życie. I prawo do drobnych przyjemności. A tych z powodzeniem dostarczała mi Olga. Zakupy w Rzeszowie rzeczywiście miała udane. Zdobyłem się nawet na dwa komplementy. Niemniej dzisiejszy wieczór postanowiłem spędzić z Danutą. W pewnym sensie, jeszcze dla mnie nie zrozumiałym, czułem się za nią odpowiedzialny. Jak załatwię sprawy, które zaplanowałem na dziś, kupię Danucie jej ulubione kulki serowe i wybiorę jakiś film. Nie powinna wszystkich wieczorów spędzać sama. I na pewno nie będzie to żaden film z George'em Clooneyem.

Poranek z Olgą, wbrew pozorom, nie polegał na leżeniu w łóżku. Choć taka forma spędzania wolnego czasu w naszej relacji należy do najpopularniejszych. Tym razem tak jednak nie było.

- Wstawaj! – krzyknęła Olga, kiedy odpoczywaliśmy po seksie.
- Spokojnie, tak szybko nie dam rady – odparłem i nasunąłem na siebie kołdrę, którą Olga od razu ze mnie zdarła.
- Zapewniam cię, że ja nie myślę tylko o jednym.
- A ja w twoim towarzystwie zwykle tylko o jednym.
- O czym? – zapytała kokieteryjnie.
- O tym!

Przyciągnąłem ją do siebie. Ale tylko pocałowałem. Naprawdę nie byłem w stanie tak szybko ją znowu zaspokoić.

– Pojedziemy zrobić zakupy. Przez te wolne dni mam prawie pustą lodówkę – powiedziała, kiedy uwolniłem jej usta.

Westchnąłem, bo właściwie wołałem zostać w łóżku.

– Przecież wczoraj dałaś mi do zrozumienia, że nie uważasz mnie za dobrego towarzysza na zakupy.

– Bo nie uważam. Tylko wczoraj to były zakupy odzieżowe. Dziś

muszę zrobić spożywcze, a to co innego. Przydasz się do noszenia – mówiła, szukając w szafie ubrania. Kiedy znalazła luźną koszulkę i krótkie dżinsowe spodenki, spojrzała na mnie wyczekująco.

– Czyli potrzebujesz tragarza.

– Tak jakby.

– Okej, mogę być twoim tragarzem – odparłem i podniosłem się z łóżka.

Olga ubrała się. W koszulce i spodenkach wyglądała inaczej niż w bluzkach, sukienkach i spódnicach. Zdecydowanie młodziej. Nie miała też chyba makijażu. Albo zdążyła go sobie zrobić, kiedy jeszcze spałem. W każdym razie był to makijaż z tych niewidocznych. Nie wiem, jak tam go nazywają kobiety.

Potem wsiedliśmy do auta Olgi i pojechaliśmy do najbliższego supermarketu. Były to zwykłe zakupy, lecz dobrze się przy tym bawiliśmy. W dziale dziecięcym przymierzaliśmy maski postaci z bajek. Gdy wróciliśmy z zakupów, pomogłem Oldze wszystko wypakować, a na koniec znowu wpakowałem się do jej sypialni. Nasz romans kwitł. Może znowu się zakochałem? Ale to było rano i w zasadzie nie na temat. Teraz stałem przed drzwiami mieszkania w bloku, upewniając się, czy trafiłem pod właściwy adres podany mi przez Klarę. Przesłała mi go SMS-em po naszej rozmowie. Upewniwszy się, że adres się zgadza, zapukałem.

Odpowiedziała mi cisza. Albo nikogo nie było w domu, albo ktoś w mieszkaniu nasłuchiwał. Gdy miałem nacisnąć dzwonek, za drzwiami ktoś się poruszył. Światło w wizjerze na chwilę zgasło, po czym otworzyły się drzwi. Zza nich wyłoniła się młoda kobieta. Miała sine podkówki pod oczami i niezdrową cerę. Poza tym była dość ładna. Miała jasne kręcone włosy. Podobne do włosów Danuty. Były jednak nieco dłuższe. Opadały poniżej ramion. Kilka kosmyków wysunęło się jej do przodu. W jeden z nich tłustą rączkę wplótł na oko roczny chłopiec, którego czupryna miała taki sam odcień jak włosy kobiety trzymającej go na rękach. Poza tym były dużo krótsze, ale także zdradzały podatność na kręcenie. Kiedyś Danuta opowiadała mi, że najtrudniej jest ostrzyć mężczyznę o kręconych włosach. Ten mały, gdy dorośnie, będzie więc wyzwaniem dla niejednego fryzjera.

Teraz jednak patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, a na jego dziecięcej twarzy błąkał się uśmiech zaciekawienia.

Co innego jego matka. Patrzyła na mnie podejrzliwie. Niechętnie zgodziła się na rozmowę ze mną. Była to ekszona Radosława Kornackiego, której adres podała mi Klara. Nie знаła adresu chłopaka, z którym spotykała się Karolina, lecz znała adres jego żony. Kiedyś podobno się nawet przyjaźniły. Postanowiłem więc odwiedzić Natalię Kornacką. Miałem nadzieję uzyskać adres jej męża, a także czegoś się o nim dowiedzieć.

– Wejdz – powiedziała Natalia, nie siląc się na konwenanse.

Wszedłem do środka. Zamknęła za mną drzwi, wcześniej sprawdzając, czy nikt nas nie widzi. Było to co najmniej dziwne, ale to nie fobie Natalii Kornackiej były celem mojej wizyty.

Mieszkanie było dość duże. Podłoga w szerokim korytarzu wyłożona była brązową płytką antypoślizgową, co wydało mi się zrozumiałe w wypadku dzieci. Przy czym wyglądało na to, że podłoga musiała być wymieniana niedawno. Ostro kontrastowała z reliktem lat dziewięćdziesiątych, czyli jasnobrązową boazerią, którą wyłożone były ściany korytarza.

– Usiądź tutaj. – Natalia wolną ręką wskazała duży pokój po prawej stronie. – Nie musisz ściągać butów. Jak pójdziesz, i tak będę myć podłogę.

Zabrzmiało to tak, jakby wraz z moim wyjściem żona Kornackiego chciała zmyć cały brud rozmowy, którą mieliśmy przeprowadzić.

Skinąłem głową na znak, że w porządku. Nie będę zdejmować butów.

Wszedłem do pokoju, który mi wskazała. Pod ścianą stała długa wersalka przykryta żółtą narzutą. W jej rogach leżały rzucone niedbale czerwone poduszki.

Usiadłem na niej. W głębi pokoju na ścianie wisiał duży telewizor. Na ekranie leciała kreskówka, której tytułu nie znałem. Młodzi rodzice, a na pewno młode matki, pewnie lepiej się w tym orientują. Ale ja rodzicem nie zamierzałem zostać. Może kiedyś miałem takie plany. W epoce Anny. Ale to nie na temat.

Przed telewizorem siedziała dziewczynka. Na oko rok starsza od

chłopca, którego Natalia trzymała na rękach. Kiedy wszedłem, obejrzała się, po czym widocznie stwierdziwszy, że nie jestem wart uwagi, z powrotem odwróciła głowę do telewizora. Wokół niej na podłodze wały się kolorowe klocki niczym korale jarzębiny na chodniku wczesną jesienią. Ale one także były mniej interesujące niż bajka w telewizji.

W pokoju, oprócz telewizora i wersalki, znajdowała się ława, dwa fotele i komoda ze zdjęciami w ramkach. Ślady nietknięte kurzem świadczyły o tym, że część z nich została schowana lub wyrzucona. Zważywszy na okoliczności, obstawiałem drugą opcję.

– Napijesz się czegoś? Kawy, herbaty, coś zimnego? – zapytała Natalia, jednocześnie stawiając malca na podłodze. Chłopczyk porachkował w kierunku rozrzuconych klocków, po czym wziął jeden do ręki i zaczął go gryźć. Śmiał się przy tym i spoglądał na mnie zawiadaczająco. Gryzienie klocka naprawdę sprawiało mu frajdę. Już dawno nie widziałem tak szczęśliwego dziecka. A już na pewno tak szczęśliwego dorosłego człowieka. Ale dorośli na ogół nie bywają szczęśliwi.

– Poproszę kawę – odparłem, choć właściwie nie przepadam za kawą. Ale przecież lubię jej aromat. Poza tym rozmowa być może nie potrwa długo, więc wcale nie będę musiał jej pić.

Natalia, ociągając się, poszła do kuchni. Chyba liczyła na to, że odmówię. Zapropozowała to grzecznościowo.

Postawiła kawę obok cukierniczki na ławie. Usiadła w fotelu. Musiałem wstać z wersalki, jeśli chciałem choć stworzyć pozory, że zamierzam się jej napić. Otworzyłem cukierniczkę. Na wierzchu znajdowały się różowe grudki cukru. Ktoś maczał w niej owoce. Sądząc po kolorze, były to truskawki.

Odgarnąłem grudki. Wbiłem łyżeczkę w cukier i posłodziłem kawę. Trzymając kubek w rękę, wróciłem na wersalkę.

– Słucham. Po co przyszedłeś? – zapytała Natalia, nie zmieniając tonu, jaki nadała naszej rozmowie.

– Chciałem porozmawiać o twoim mężu – powiedziałem, także zwracając się do niej bezpośrednio.

– To kurwiarz i dupek. To samo mogłam ci powiedzieć przez

telefon – wyrzuciła z siebie, zupełnie nie oglądając się na dzieci. Malec nie zwrócił uwagi na matkę. Za to dziewczynka odwróciła głowę w jej kierunku. Jeśli jej matka będzie do niej mówić w ten sposób, to z biegiem lat dziewczynka znienawidzi mężczyzn, pomyślałem.

– Może przejdziemy do innego pokoju? – zaproponowałem. – To chyba niedobrze tak mówić o ojcu przy dzieciach – dodałem.

– A niech słyszą. Nie zamierzam przed nimi niczego ukrywać. Ich ojciec to dziwkarz. Zawsze będę im to powtarzać.

Utwierdziła mnie w moich przewidywaniach.

– Czy zdolny byłby kogoś zabić? – Postanowiłem uderzyć wprost. Pomijając fakt, że w określonych warunkach niemal każdy mógłby być mordercą. Byłem ciekaw reakcji Natalii.

– Był dupkiem, ale raczej nie mógłby nikogo zabić – odpowiedziała po chwili zastanowienia. Jakby starała się przywołać wspomnienie, które byłoby ilustracją mojej tezy. – Radek to kurwiarz. – Chyba sprawiało jej przyjemność powtarzanie tego epitetu. – Ale jestem prawie pewna, że nikogo by nie zabił. Nie skrzywdziłby nawet muchy. Dosłownie. Kiedyś mieliśmy kota. Lubił polować na muchy. Nie przepuścił żadnej, która dostała się do mieszkania. Kiedyś ten dupek zobaczył, że kot czai się na jedną, odgonił go. Potem wziął pudełko od zapalek i za jego pomocą chwycił muchę. Tak jak się łapie pszczołę. Kiedy już ją złapał, wypuścił na zewnątrz. Ktoś, kto tak postępuje z byle muchą, chyba nie zabiłby człowieka, prawda?

– Nie wiem. Nie jestem psychologiem, ale być może masz rację.

– A ty uważasz, że kogoś zabił? Po to tu jesteś? Chcesz mi powiedzieć, że Radek jest mordercą? – Po raz pierwszy nie użyła określenia „kurwiarz”, „dziwkarz” lub „duppek”.

– Ja jeszcze nic nie wiem. Zadaję tylko pytania.

– Jakie jest następne? – zapytała, a ja wyczułem, że się niecierpliwi.

– Dlaczego rozstałaś się z mężem?

– Zdradzał mnie. Przecież mówię, że to dziwkarz. Mogłeś się chyba domyślić.

Mogłem, lecz zamiast domysłów wolałem jej odpowiedzi.

– Znałaś kobiety, z którymi cię zdradzał?

Wiedziałem, że moje pytania nie są przyjemne dla Natalii, ale cóż, mam właśnie taką nieprzyjemną pracę. Polegającą między innymi na zadawaniu nieprzyjemnych pytań.

– Nie. I lepiej dla nich, że ich nie znałam. Widziałam tylko jedną. Tę, z którą nakryłam go w łóżku.

– Czy to była Karolina Rodek?

– Karolina Rodek? Czy to nie ta dziewczyna, którą zrzucił z balkonu jej chłopak? Nigdy nie pozwolę córce spotykać się z obcokrajowcem. – Spojrzała na córkę. Po raz pierwszy ujrzałem w jej oczach jakieś pozytywne emocje. Kontynuowała: – Nie, to nie była ona. Z nią ten dupek też się spotykał?

– Próbuję to ustalić.

– Wcale by mnie to nie zdziwiło. Nie rozumiem takich ludzi jak mój mąż. Mają kochające żony, dzieci, a zachowują się jak skończeni idioci. Czy czegoś mi brakuje? – Zadawszy pytanie, spojrzała na mnie.

– Nie. Jesteś atrakcyjną kobietą – odpowiedziałem, przemilczając podkrążone oczy i nieładną cerę. Wcale nie miałem ochoty dywagować na temat jej urody.

– No właśnie. W łóżku też nie mieliśmy problemów. A ten kurwiarz to wszystko zniszczył.

Być może nie wszystko było tak kolorowe, jak sądziła Natalia. A może miała rację. Może jej mąż to skończony dupek. W każdym razie nie podobał mi się kierunek, w którym zmierzała rozmowa. Na szczęście przerwał ją malec. Zrobił kupę i Natalia musiała mu zmienić pieluchę. Wzięła brzdąca na ręce i zaniósła do drugiego pokoju.

Bajka się skończyła. Dziewczynka sięgnęła po pilota. Przerzuciła kilka kanałów i zatrzymała się na kolejnej stacji emitującej bajki dla dzieci. Byłem dla niej jak powietrze. Niewidzialny. Za kilka lat zamiast pilota będzie pewnie trzymać w ręku smartfona. Obojętna na ludzi wokół. Też zresztą obojętnych wobec niej. Takie czasy.

Natalia wróciła. Znowu wypuściła malca na podłogę. Ten wydawał się jeszcze szczęśliwszy. Też pewnie bym był, gdybym uwolnił się z brudnej pieluchy. W przyspieszonym tempie porączkował w kierunku zabawek.

– A ty masz żonę i dzieci? – zapytała Natalia, pragnąc kontynuować urwany wątek.

– Nie mam.

– Żony czy dzieci?

– Ani żony, ani dzieci.

– Jesteś gejem?

– Nie! – stanowczo zaprzeczyłem.

– Okej, okej. Nic mi do tego.

– Naprawdę nie jestem. Podobają mi się kobiety. Dlaczego myślisz, że jestem gejem? – zapytałem, bo jak dotąd nikt nawet mi tego nie zasugerował. Przynajmniej bezpośrednio.

– Wyglądasz na gościa po trzydziestce, nie masz żony...

– Mógłbym mieć dziewczynę – przerwałem.

– A masz?

– Nie mam.

– No widzisz.

– To znaczy mam kogoś, ale to nie moja dziewczyna. Raczej tylko się spotykamy.

– Mogłam się domyślić. Tak jest wygodniej, prawda? Typowy facet, zero zobowiązań.

– Właściwie to chciałbym cię o coś poprosić, Natalio – zmieniłem temat. Rozumiałem jej rozgoryczenie. Zawiedziona kobieta. Nie miałem jednak ochoty obrywać za cały ród męski.

– Czego chcesz?

– Potrzebuję obecnego adresu Radka.

Natalia wstała bez słowa i poszła do kuchni. Widziałem, jak z wąskiej szafki przy oknie wyjmuje notes i długopis, po czym coś zapisuje. Gdy wróciła, podała mi kartkę.

– Masz. Znam go. Niestety od czasu do czasu muszę mu pozwalać na spotkania z dziećmi.

– Dziękuję – odpowiedziałem i wstałem. – Dziękuję za rozmowę i kawę – dodałem.

– Nie wypięś.

– Może innym razem – rzuciłem, wychodząc.

Po chwili szuranie ustało. Przez nieszczelne drzwi przedarł się konwaliowy zapach środka do mycia podłóg. Sprzątaczką przeniosła się na wyższe piętro. Uspokojony, opadł na materac i splótł dłonie pod głową.

Wrócił do myśli o Karolinie.

Dym, który wyszedł z jej pomalowanych na różowo ust, ułożył się w kształt okręgów. Unosiły się coraz wyżej, aż rozpląnęły się w okolicy żyrandola zawieszzonego nad barem. On nigdy nie nauczył się tej sztuczki.

Oddała mu papierosa, a on przyjrzał się jej ustom. Różowa pomadka nie była nałożona równomiernie. Nad prawym kącikiem wyraźnie wychodziła za kontur ust. Dziewczyna była wstawiona. Być może przed chwilą była w toalecie poprawić makijaż, lecz nie wyszło jej to najlepiej.

– Karolina – przedstawiła się i wyciągnęła do niego rękę, jakby chciała, aby pocałował ją w dłoń.

On natomiast ją tylko uściskał i zaproponował drinka. Udała obrażoną. Prawdopodobnie za ten uścisk, ale od razu się ożywiła, kiedy powiedział o drinku.

Zaczęli rozmawiać. Karolina nie wyróżniała się niczym szczególnym. Młoda laska znudzona życiem w Tarnobrzegu. Chciała się stąd wyrwać. Słuchał i przytakiwał. Kiedy się odzywał, mówił to, co chciała usłyszeć. Ostatecznie laska była niezła. I pijana. Taką łatwo zbajerować. Najlepiej wytworzyć atmosferę bliskości dusz. Laski lubią takie rzeczy. Mówił więc, że całkowicie ją rozumie. On także chciałby się stąd wyrwać.

Jeszcze tej samej nocy, a właściwie poranka, bo gadali do samego świtu, poszli do łóżka. Nie miał nic do stracenia. Żona przecież wyrzuciła go z domu. Teraz przynajmniej nie musiał się przed nikim kryć.

Na jednej nocy się nie skończyło. Zaczęli się spotykać. Samo wyszło. Życie stało się bardziej znośne. Dobrze się bawił. Nic poza tym. Nie przeszkadzało mu, że Karolina spotyka się nie tylko z nim. Nie kochał jej, choć czasem tak jej mówił. Niech będzie gówniarze

miło.

Karolina z kolei po ich związku sporo sobie obiecywała. Zabujała się. Widział to. Na początku mu to nie przeszkadzało. Nawet imponowało. I dowartościowywało. Z czasem jednak jej plany dotyczące ich przyszłości zaczynały go mierzić. Zabawił się i wystarczy. Zaczął nawet myśleć, jak się z tego wykręcić. Wtedy Karolina wpadła na pewien pomysł. Szykowała się duża forsa. Postanowił ten romans jeszcze pociągnąć. Gdyby wiedział, że tak to się skończy...

Ciszę i myśli przerwało pukanie do drzwi. Wstał i cicho skierował się w ich kierunku. Spojrzał przez wizjer. Za drzwiami stał facet w okularach. Pewnie akwizytor. Zamierzał odejść, nie otwierając drzwi, ale pukanie rozległo się.

– Wiem, że tam jesteś, Radku.

Akwizytor raczej nie znałby jego imienia. A więc do niego dotarli. Otworzył drzwi. Może wreszcie to wszystko się skończy.

Za drzwi wysunęła się drobna, ale przystojna twarz. Typ wiecznego chłopca. Kobiety takich lubią. Nic dziwnego, że Radek Kornacki uchodził za podrywacza, skonkludowałem, używając mniej wyszukanego epitetu niż jego żona. Miał ciemną oprawę oczu. Tęczówki były niebieskie. Przypominały błękitne szkło przyłożone do źródła światła. Był w nich jakiś ogień.

– Radek Kornacki? – zapytałem i wszedłem do środka, nie czekając na zaproszenie.

– Odniosłem wrażenie, że już wiesz.

– Chciałem być grzeczny.

– Daruj sobie i przejdź od razu do rzeczy. – Kornacki zamknął drzwi i wskazał fotel w niewielkim salonie. Wystrój przypominał ten w mieszkaniu Opiołków.

– Postoję. To nie powinno potrwać zbyt długo – powiedziałem i oparłem się o framugę drzwi.

Radek poszedł na chwilę do pokoju, który był chyba sypialnią. Na podłodze leżał materac z rozrzuconą pościelą.

W rękę trzymał paczkę fajek. Wyciągnął papierosa i zapalił. Podszedłem do okna i otworzyłem je.

- Nie zrobi się od tego chłodniej.
- Mniej będzie za to śmierdziało.

Kornacki zgasił papierosa. Ładnie z jego strony. Ja nie miałem jednak czasu na grzeczności.

- Twoja żona nie ma o tobie dobrego zdania.
- Żony zwykle nie mają dobrego zdania o swych mężach.
- Nawet te, których się nie zdradza?
- One zawsze znajdą jakiś powód.
- Ale twoja chyba nie musiała?
- To ona cię tu nasłała? I kim ty w ogóle jesteś? Strażnikiem moralności? Co cię obchodzi moje życie prywatne?

Zbliżyłem się do okna. Oparłem dłoń na parapecie i wyjrzałem na zewnątrz. Plac zabaw i siłownia plenerowa były puste. Tylko ocienionym chodnikiem ktoś jechał rowerem. W taką pogodę przebywanie na otwartej powierzchni byłoby nierozsądne.

– Interesują mnie prywatne sprawy ludzi, bo jestem prywatnym detektywem – odpowiedziałem Kornackiemu, zwracając się znowu w stronę wnętrza salonu.

- Myślałem, że z policji albo...
- Albo? – zapytałem, bo Radek nagle ugryzł się w język.
- Nieważne. Jestem o coś podejrzany?
- A masz coś na sumieniu?
- A kto nie ma? Tak, zdradzałem żonę, ale to chyba jeszcze nie przestępstwo?
- Nie, ale jeśli zdradzało się żonę z dziewczyną, która została zamordowana, to może być to co najmniej interesujące.
- Jest też takie przysłowie, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

- Więc ja już prawie w nim mieszkam.
- Okej. Porozmawiajmy normalnie.

Kornacki ponownie sięgnął po papierosa.

– Gdybym wiedział, że wszystko tak się skończy, to tamtego wieczoru nie zaproponowałbym Karolinie drinka. Po kilku piwach

poszedłbym po prostu do domu – mówił, robiąc krótkie pauzy, podczas których zaciągał się papierosem. – Ale wiesz, jak jest. Przy młodej dupie człowiek zawsze wariuje. Podejrzewam, że z wiekiem będzie jeszcze gorzej. Im starszy facet, tym łatwiej młodsza laska może go zbajerować. No więc dałem się zbajerować. Poza tym byłem w dołku. Rzuciła mnie Natalia, więc Karolinę potraktowałem trochę jak lek na smutki. Było fajnie. Dobrze się bawiliśmy, ale to nie było nic poważnego. Przynajmniej dla mnie. Ale ona chyba się zabujała. Pod koniec nawet zaczęła mnie denerwować...

– Do tego stopnia, że mógłbyś ją zabić? – przerwałem mu.

– Nie zabiłem Karoliny! – ostro zaprzeczył.

– Zdajesz sobie sprawę, że na twoim miejscu każdy powiedziałby to samo?

– Myślisz, że to ja jestem mordercą? – zapytał i zaśmiał się.

– Myślę, że na razie nie powinienem wykluczać niczego. Nawet tego.

– Nie, do tego stopnia aż mnie nie denerwowała – powiedział nieco spokojniej. – Nie mógłbym jej zabić. Zabujała się we mnie. Ja w niej nie, ale trochę ją polubiłem. Po prostu wolałem, aby wszystko zostało po staremu, a ona trochę naciskała. Wiesz, jakie są baby. Gdybym to dalej ciągnął, to za jakiś czas pewnie ona zaciągnęłaby mnie do ołtarza, a ja już to przerabiałem z Natalią.

– Zerwałeś z nią?

– Nie. Chociaż zamierzałem. Sprawy się jednak zaczęły inaczej układać i pomyślałem, że jeszcze z tym zaczekam.

– Dlaczego?

– Nieważne. Ona nie żyje i już nic tego nie zmieni, a ja chcę mieć spokój.

– Nie wyglądasz na spokojnego człowieka. Zamelinowałeś się tutaj, jakbyś się chciał przed kimś albo przed czymś ukryć.

– To wszystko, co mam do powiedzenia – uciał.

– Może policji powiesz więcej.

Wyciągnąłem telefon i zacząłem wpisywać numer Jurka.

– Nawet jeśli to nie ty zabiłeś Karolinę, to sprawiasz wrażenie, jakbyś coś ukrywał – mówiłem, wciąż trzymając telefon w dłoni.

Połączenie z Jurkiem wymagało jedynie wciśnięcia jednego klawisza.

– Będę zatrzymany?

– Na razie nie ma ku temu podstaw. Zwłaszcza jeśli zechcesz ładnie złożyć wyjaśnienia.

– Nie mam zamiaru niczego wyjaśniać.

– Więc liczy się z zatrzymaniem.

– Na jakiej podstawie?

– Nie wiem. Może tu się coś znajdzie. – Omiotłem wzrokiem mieszkanie.

– Czy do tego nie jest potrzebny jakiś nakaz?

– Powiedzmy, że dostałem cynk, że posiadasz marihuanę.

Podszedłem do komody. Leżała na niej szklana lufka, którą zauważyłem na samym początku. Odsunąłem szufladę. Był w niej woreczek z zielonym proszkiem.

– To jak? Powiesz mi o, co chodzi, czy mam dzwonić na policję.

– Dzwon. I tak niczego im nie powiem.

Nacisnąłem zieloną słuchawkę. Jurek zjawił się po kilkunastu minutach. Kiedy zatrzymywano Kornackiego, ja zastanawiałem się, co takiego ukrywa, że wołał zostać zatrzymany, niż wyjawić mi prawdę.

Rozdział 17

Środa, 19 sierpnia 2015

Duże frytki! – Kobieta z obfitym biustem, na którym lśniła plakietka z napisem „Małgorzata”, krzyknęła w moją stronę.

Wstałem od stolika, którego blat pokryty był drobinkami soli. W jednym miejscu natomiast został różowy ślad po kompocie. Do tego cały stół się kleił, więc kiedy wstawałem i oparłem dłoń o blat, poczułem nieprzyjemną lepkość.

Podszedłem do bufetu i odebrałem zamówione frytki. Papier, którym były owinięte, wcale nie izolował, parzyły mnie w ręce, więc jak najszybciej wróciłem do stolika i oparłem frytki o blat, podtrzymując papierową torebkę za jeden róg. Była dość cienka, więc olej z frytek tłuszczył stół. Sięgnąłem po sól i od serca sypnąłem na frytki. Część poleciała na stół. Jak widać, nie mnie pierwszemu. Mimo to lubiłem jadać w „Smaku”. Przywoływał wspomnienia z dzieciństwa, poza tym było tu naprawdę dobre jedzenie. I tanie.

Wróciłem do bufetu, bo odbierając frytki, zapomniałem o plastikowym widelcu. Sięgnąłem także po dużą butelkę keczupu i obficie polałem nim frytki. Nadal parzyły w palce.

Usiadłem przy stoliku, nakłułem widelcem trzy frytki i ociekające keczupem włożyłem do ust. Były chrupiące. W środku delikatne. Te pieczone w piekarniku przez Danutę nigdy nie smakowały tak dobrze. Frytki smakują najlepiej, kiedy smaży się je w głębokim tłuszczu. Jednakże Danuta nigdy nie dała się przekonać. Jadałem jej frytki ze smakiem, ale na prawdziwe przyjemności przychodziłem tu, do baru mlecznego „Smak”.

Nagle po stoliku przesunęła się w moją stronę szklanka kompotu truskawkowego. Druga stanęła naprzeciwko mnie. Za nimi na krześle usiadła Marcela. Jej fioletowe włosy miały dziś intensywniejszy kolor.

– Coś zrobiłaś z włosami? – zapytałem, zamiast się przywitać.

– Odświeżyłam kolor – odpowiedziała i upiła łyk kompotu. Duża

truskawka zabłąkała się w okolicy jej ust, więc od razu ją połknęła. – Mieszkasz z fryzjerką. Jeszcze nie wiesz takich rzeczy? – zapytała, odstawiając szklankę na stolik.

Podziękowałem jej za kompot, a aluzję dotyczącą Danuty zbyłem milczeniem.

– *À propos* Danuty. Jak wam się układa? – pytając, Marcela puściła do mnie oko.

– Nijak się nam nie układa, bo nic nas nie łączy. Poza tym Danuta ostatnio kogoś poznała – odpowiedziałem, przemilczając fakt, że ten ktoś okazał się zwykłym palantem.

– I nie jesteś zazdrosny?

– Nie – uciąłem krótko, po czym sięgnąłem po kompot. Próbowałem przy tym nie patrzeć Marceli w oczy.

– Luz. Tak tylko pytam. A jak śledztwo?

– Chodzę. Pytam. Mnożę wątpliwości. Swoją drogą ty także mogłabyś poprowadzić dziennikarskie śledztwo. Stanowilibyśmy niezły tandem – odparłem i nabiłem na widelec kolejną porcję frytek.

– Może innym razem, Kuba. Zajmuję się teraz aferą w jednym z supermarketów. Wyzyskiwanie pracowników. Gruba sprawa.

– Zapomniałem, że takie sprawy bardziej cię interesują niż obyczajówka i kryminał.

– Chcę opisywać wszystko, co przyczyni się do polepszenia świata. Znasz mnie przecież, spraw kryminalnych także nie wykluczam.

– W takim razie, jak rozwiążę sprawę morderstwa Karoliny Rodek, masz materiał na wyłączność. – Stuknąłem swoją szklanką o krawędź szklanki Marceli.

– Trzymam cię za słowo – powiedziała.

– A jak twoje sprawy?

Marcela wzięła głęboki oddech i opowiedziała o Patrycji. Najgorsze minęło. Sytuacja się ustabilizowała, ale Marcela wiedziała, że to przejściowe. Jeśli obie nie wypracują konkretnego planu działania, stany depresyjne będą powracać. Ostatecznie być może wyjadą z Tarnobrzega. Choć nie wykluczają także rozstania. Marcela ma jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Pierogi ruskie na wynos! – krzyknęła Małgorzata i przesunęła

zapakowane do pudełka pierogi po blacie bufetu.

Przeprosiłem Marcelę i poszedłem odebrać zamówienie. Pierogi były dla Danuty. Tym razem ruskie. Dziś rano zadeklarowała, że zamierza ograniczyć spożywanie mięsa. Może nawet przejść na wegetarianizm. Powiedziała, że potrzebuje zmian w życiu. Przyznałem, że to dobra zmiana.

Dopiliśmy z Marcelą kompot i wyszliśmy ze „Smaka”. Marcela wróciła do redakcji, ja szedłem zwykłą drogą do domu. Czas zdawał się zatoczyć koło. Wszystko wyglądało jak ponad tydzień temu. Upał nie odpuszczał. Już dawno nie było tak gorącego sierpnia, pomyślałem, przypominając sobie lato poprzedniego roku. W sierpniu codziennie lało. Nie lubię upałów. Ale jeszcze bardziej nie lubię deszczu. Próbowałem więc nie narzekać na pogodę, co było trudne, gdyż znowu czułem, jak spocona koszulka przylepia mi się do pleców.

Minąłem świadków Jehowy, którym jak zwykle nie przeszkadzał upał, i zbliżałem się do fontanny.

– Kuba! – ktoś krzyknął z ławki przy fontannie.

Zmrużyłem oczy, bo nie mogłem rozpoznać twarzy. Obiecałem sobie, że kiedy to wszystko się skończy, pójdę do okulisty. Sprawię sobie nowe okulary i komplet soczewek.

Podszedłem bliżej. Na ławce siedział Heniek. Podałem mu rękę i przysiadłem się.

– Trzeba było posłuchać Danuty i posmarować się olejkiem – powiedział, wskazując moje opalone przedramiona, z których miejscami schodziła skóra. Nikt wcześniej nie zwrócił mi na to uwagi. Nawet Olga. Ale ona zwykle bywała bardziej zainteresowana inną częścią mojego ciała.

– Posłuchałem potem i dałem się wysmarować kefirem.

– Nie musisz wprowadzać mnie w szczegóły waszego życia intymnego – powiedział Heniek i roześmiał się.

– Jakiego życia intymnego? To podobno dobry sposób na oparzenia słoneczne – zirytowałem się bardziej niż powinienem. Prawdopodobnie dlatego, że wcześniej podobne aluzje robiła Marcela.

– Ale to nie na temat. Nie pracujesz dzisiaj?

– Wziąłem sobie wolne. Urodził mi się wnuk.

– To gratuluje. Ale nie widzę, żebyś pił z tego powodu szampana.

– Cieszę się, ale naszły mi także różne refleksje. Urodził mi się wnuk, ale zobaczę go prawdopodobnie dopiero za pół roku. Wiedziałem, że tak będzie, kiedy Mateusz i Monika wyjeżdżali za granicę. Odkąd wyjechali, widuję się z synem sporadycznie. Czasem raz na pół roku, czasem raz na rok. Czas płynie. Nie widzę mojego syna, a teraz nie będę widział wnuka. Nie będę widział, jak dorasta. A on prawie nie będzie znał dziadka. Do samotności z Grażyną już się przyzwyczailiśmy. Ale trochę mam żal, że przeżywamy życie oddzielnie. Kiedyś było inaczej. Dzieci zostawały w domu. Wnuki rosły. A teraz? – Heniek machnął zrezygnowany ręką. – Będzie jeszcze gorzej, Kuba. Ale co zrobić? W tym mieście nie ma perspektyw.

– Jeśli chcesz, możemy jeszcze o tym pogadać przy piwie. Teraz spieszę się do domu. Niosę Danucie obiad. Muszę lecieć, Heniek – powiedziałem i podniosłem zapakowane pierogi, które na chwilę postawiłem na ławce.

– Może przestanę pić – powiedział Heniek po krótkiej chwili milczenia i spojrzał gdzieś w dal. Takie spojrzenie zawsze kojarzy mi się z amerykańskimi farmerami siadającymi późnym popołudniem na werandach swoich domów. W rękach dzierżą butelki z piwem, a oczy wbijają w widok zachodzącego słońca. Ich spojrzenia zdradzają, że oto właśnie poznali sens życia. Nie wiem, skąd to skojarzenie i dlaczego właśnie amerykańscy farmerzy. W każdym razie tak właśnie wyglądał Heniek. Tarnobrzeski taksówkarz szukający sensu życia.

Zaśmiałem się.

– Z czego się śmiejesz? – Heniek ocknął się. Gdyby był teraz amerykańskim farmerem, pewnie pociągnąłby łyk piwa i wbił we mnie groźne spojrzenie. Zakłóciłem mu rozważania nad sprawami ostatecznymi.

– Zmówiliście się z Danutą? Ona też dziś snuje refleksje o życiu. Mówi, że potrzebuje zmiany. Rozważa nawet przejście na wegetarianizm.

– Może ty też potrzebujesz.

– Mam to za sobą. To znaczy zmiany. Dlatego tu jestem –

odpowiedziałem.

Po rozstaniu z Anną i ja nieraz miałem wyraz twarzy jak amerykański farmer.

Klepnąłem Heńka po plecach i powiedziałem, żeby się nie łamał. W końcu urodził mu się wnuk. Powinien się tylko cieszyć.

Machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie obchodzi go moje gadanie. Młody jesteś, co ty tam wiesz, pewnie by dodał, gdybym nie odszedł.

Na schodach znowu leżał Chandler. Machał ogonem i mrużył oczy. Promienie słońca ogrzewały futro, które w ich blasku było bardziej błyszczące niż zwykle. Pewnie było mu gorąco. Ale zamiast schować się w cień, rzucał wyzwanie słońcu. Schody były jego. Prędzej ustąpi słońce niż on. Butny i niezależny. Jak prawie każdy kot.

Przeskoczyłem schodek, na którym leżał Chandler. Przecież ani mu się śniło mi ustępować.

W zakładzie było głośno. Danuta przekrzykiwała szum suszarki, tłumacząc coś klientce na fotelu. Kiedy spojrzała na mnie, pokazałem jej pakunek ze „Smaka” i dałem znak, że zostawiam go w kuchni. Następnie poszedłem wziąć prysznic. Jak tydzień temu, przybiegł do mnie Chandler. Wygrał walkę ze słońcem albo po prostu ja pod prysznicem wydałem mu się ciekawszy. W przeciwieństwie do sytuacji sprzed tygodnia tym razem nie pomyliłem szamponu z odżywką. Odświeżony wyszedłem do biura.

Panie Kubo! – Po pasach biegł nasz listonosz i machał do mnie plikiem białych kopert. Czarna torba objęła mu się o pulchne biodro. Jak zwykle był spocony i zmęczony upałem. Aż dziw, że zdobył się na bieg w moim kierunku. Aby ukrócić jego mękę, szybkim krokiem ruszyłem w jego stronę.

Listonosz to jeden z najniewdzięczniejszych zawodów. Pukasz do drzwi wielu mieszkań i nie wiesz, co cię czeka. Wprawdzie Tarnobrzeg to nieduże miasto i wszyscy się tu znamy, ale nie każdy jest miły dla listonosza. Poza tym ta ogromna, napakowana torba. Chodzenie z nią po mieście na pewno nie należy do przyjemności.

– Co się stało? – zapytałem, kiedy sapiąc, przeglądał koperty

i odczytywał bezgłośnie wypisane na nich nazwiska.

– Mam coś dla was – odpowiedział, nie przestając przeglądać zawartości torby. – Zaraz, gdzie to ja miałem. A jest. – Podał mi kilka kopert i sięgnął jeszcze raz do torby.

Były to rachunki za prąd. Także za moje biuro. Staralem się użytkować prąd oszczędnie, lecz zawsze było coś do zapłacenia. Pomyślałem o ostatnich zleceniach i stwierdziłem, że sytuacja nie wygląda za dobrze.

– A to jeszcze dla pani Danuty. – Z torby wyciągnął pakunek. Brązowy papier, adres wypisany czarnym markerem. Wyglądał jak opakowane książki.

– Odbierze pan czy iść do salonu?

Wziąłem pakunek do ręki. W jednym rogu widniał adres Danuty, a w drugim najwyraźniej Clooneya. Zawahałem się. Lecz tylko przez ułamek sekundy.

– Tak. Wezmę. Danuta ma pełne ręce roboty. Dosłownie. Klient za klientem. Przez kilka dni miała nieczynne – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Wychodząc z domu, wciąż słyszałem szum suszarki do włosów.

– To proszę tu podpisać. – Listonosz podsunął mi pokwitowanie.

Podpisałem i życzyłem mu miłego dnia. Z paczką i rachunkami poszedłem do biura. Rachunki zamierzałem przynieść potem do domu, paczkę natomiast chciałem zataić. W środku były książki. *Spóźnieni kochankowie* Whartona i jakaś współczesna obyczajówka. Autorka nie była mi znana. Skończywszy kilka lat temu studia, przestałem się interesować najnowszą literaturą. I pomyśleć, że kiedyś chciałem zostać pisarzem.

W środku był także list. Clooney przeproszał, że zachował się jak gówniarz. Nie doczytałem do końca. Przejąwszy przesyłkę i tak czułem się jak świnia. Mogłem przynajmniej dochować tajemnicy korespondencji. Clooney od początku mi się nie podobał. Ledwo poznał Danutę, a ona już przez niego cierpiała. Nieważne, że teraz przeproszał. Danuta zasługuje na kogoś lepszego.

Podarłem list. Książki postawiłem na półkę. Zasłaniając je Macdonaldem i Hammettem. Miałem nadzieję, że Clooney nie

odezwie się do Danuty mailowo bądź telefonicznie. Ostatecznie przyznam, że paczkę odebrałem, a potem zgubiłem. Coś wymyślę. Im dłużej ten facet będzie się trzymał z dala od Danuty, tym lepiej dla niej. Czy dla ciebie? W głowie zakolała mi się pytanie, które z pewnością zadałaby mi Marcela. No dobrze. Bardzo lubiłem Danutę. Ale czy mogłoby być między nami coś więcej? Na pewno nie teraz, kiedy w moim życiu pojawiła się Olga. Wiedziałem jedno. Nie chciałem, aby wokół Danuty kręcił się Clooney.

Stanisław Opiółek zrobił zakupy w delikatesach „Sezam”. Cztery puszki piwa i chleb powędrowały do reklamówki. Wprawdzie żona kazała mu kupić tylko chleb, ale przecież nie będzie chodził o suchym pysku. W takie gorąco? Zimne piwo mu się po prostu należy. Oczywiście nie jest głupi. Nie przyniesie czterech puszek do domu. Na co mu zrzędlawe gadanie żony. Jak zwykle wypije je jeszcze w trakcie spaceru z Brunem.

Odwiązał brązową smycz od barierki i pociągnął za sobą psa. Bruno sunął za nim posłusznie. Choć z chęcią poleżałby jeszcze w cieniu pod sklepem. No ale człowiek tu rządzi. Ten też nie ma lekko. Gdy wróca, drugi człowiek, ten, który stale siedzi w fotelu i przyciska guziki w czarnym urządzeniu, zacznie się wydzierać. Prawdopodobnie poczuje tę woń, którą czuć od jego pana, kiedy wleje w siebie zawartość puszek z żółtej torby. Dał kiedyś Brunowi jedną powąchać. Nie spodobał mu się ten zapach. Już woli swoje mięsne puszki. Pan jednak jest innego zdania. Kiedy Bruno z dezaprobatą odsunął łeb od piwa, ten zaśmiał się i powiedział, że nie wie, co traci. Teraz człowiek zatrzymał się na chwilę i wydawało się, że o czymś myśli.

Opiółek zastanawiał się, którą drogę wybrać. Od jakiegoś czasu chodził na spacer w innym kierunku. Wprawdzie nieczęsto się zdarza, że z tego samego wieżowca rzuca się człowiek, ale on nie chciał wracać do wspomnień. Nieraz budził się w nocy z koszmarne snu, w którym widział tę martwą dziewczynę: w ostatnim geście wyciągała do niego zakrwawioną rękę. Ostatnio jednak był u niego ten detektyw. Zostawił wizytówkę i prosił o telefon, gdyby Stanisław coś sobie przypomniał. On co prawda niczego nowego sobie nie

przypomniał, lecz myślał właśnie o tym, czy może coś mu nie przyjdzie do głowy, kiedy jeszcze raz pójdzie w to samo miejsce i powtórzy wszystko od początku. Może tamta dziewczyna w końcu przestanie mu się śnić. Podjął decyzję. Ruszył drogą, którą ostatnio przemierzył ponad miesiąc temu.

– To co, Brunuś? Ty sobie pobiegaj, a ja załatwię swoje sprawy – powiedział Opiółek i spuścił Bruna ze smyczy.

Bruno rozejrzał się, po czym łapa za łapą udał się do najbliższego cienia. Biegać to ja mogłem kilka lat temu, pomyślał, składając łeb na łapach i zapadając w drzemkę.

Opiółek wzruszył ramionami.

– Leniwy się robisz, Brunuś, na stare lata – dodał i włożył rękę do reklamówki.

Z piwem w ręku stanął w miejscu, gdzie przed miesiącem otwierał puszkę, nie spodziewając się jeszcze niczego szczególnego. Odwrócił się plecami do wieżowca. To się chyba nazywa wizja lokalna, pomyślał. Widział kiedyś w telewizji film, w którym rekonstruowano przebieg wydarzeń na miejscu zbrodni. Oczywiście on był w trochę innej sytuacji. Nie był mordercą i nie pokazywał policjantom, jak dokonał zbrodni, nie był też gliną. Próbował po prostu odtworzyć krok po kroku sytuację, która wydarzyła się przed miesiącem. Liczył na to, że może coś mu się przypomni.

Otworzył piwo. Ten sam znajomy syk, ale na szczęście tym razem nie zakłócił go krzyk dziewczyny spadającej z jedenastego piętra. Ponad miesiąc temu Opiółek nie dopił piwa. Puszka wypadła mu z dłoni, a złocisty płyn rozlał się na chodniku. Tym razem Opiółek wypił piwo. Rekonstrukcja wydarzeń przecież nie musi być aż tak dokładna. Szkoda piwa, pomyślał i otarł kroplę z brody.

– Tak, w tym momencie spadła ta dziewczyna. Potem szybko pobiegłem w kierunku parkingu – mówił do siebie Opiółek i podszedł do miejsca parkingowego, gdzie ponad miesiąc temu z ran Karoliny Rodek sączyła się krew. Dziś stał tam biały opel ze znakiem wózka inwalidzkiego na szybie.

Opiółek stał w miejscu przez chwilę, intensywnie myśląc. Przyjechała policja, pogotowie. Bardzo szybko zbiegli się ludzie

zainteresowani tym, co się stało. Odpowiadał na pytania policji. I nagle przypomniał sobie! Zaczął szukać w kieszeni wizytówki, którą zostawił mu ten młody detektyw w okularach. Swoją drogą wyglądał trochę jak jakiś akwizytor, pomyślał.

Gotowanie na niespełna dwudziestu metrach kwadratowych nie jest zajęciem przyjemnym. Zwłaszcza przy ponad trzydziestu stopniach na zewnątrz. Łukasz zdjął koszulkę i powiesił ją na krześle przed komputerem. Zerknął na otwartą stronę. Na fejsie nie pojawiło się nic ciekawego. Kliknął na swoje zdjęcie profilowe. Przyjrzał mu się. Już dawno go nie zmieniał. W wolnym czasie poszuka jakiejś lepszej patriotycznej grafiki. Teraz wrócił do gotowania.

Opary z garnka osadzały się na kafelkach aneksu kuchennego i jego ładnie wyrzeźbionym ciecie. Starał się nie zaniedbywać treningów. Oczywiście nie trenował na siłowni. Nie stać go było na wykupienie karnetu. Kumpel miał własną siłownię w piwnicy. Łukasz mógł w niej ćwiczyć, kiedy tylko chciał.

Zajrzał do garnka. Zupa szczawiowa była gotowa. Wystarczyło tylko doprawić śmietaną. Nie miał jakichś wybitnych zdolności do gotowania, ale potrafił przyrządzić kilka zup. Szczawiowa była jego ulubioną. Dziadek też za nią przepadał. Gotował oczywiście na mięsie. Tylko pedalscy lewacy nie jedzą mięsa. Umiał także zrobić porządnego schabowego. Do tego surówka i ziemniaki. Prawdziwy polski obiad. Nie jakieś tam kebaby od brudasów. Wolę kotleta od Mahometa, zamruczał pod nosem. Dobry pomysł na hasło na manifestację, dodał w myślach. Musi je sprzedać Sebastianowi. Może razem zrobią jakiś baner.

Zaczął myśleć o Sebastianie i o ostatniej robocie, którą razem wykonali. Owszem, nie lubił Żydów, Ukraińców, Ruskich, a także ciapatych, tej nowej hołoty, która w najbliższym czasie miała zalać jego kraj. Ale do Igora osobiście nic nie miał. Chodzili razem do szkoły. Gość raczej wszystko miał w dupie. Islamizację także. Może faktycznie jest niewinny. Z drugiej strony idee wymagają ofiar. Sebastian ma rację. Morderstwo Karoliny dokonane przez ciapatego to dobry argument przeciwko tej bandzie brudasów.

Spróbował zupy. Warzywa były już miękkie. Wyciągnął śmietanę z lodówki. Zanim dodał ją do zupy, sparzył w kubku. Zabielił zupę i wyłączył palnik. Teraz powinna trochę przestygnąć, zanim rozleje ją do talerzy i jeden poda dziadkowi.

Usiadł przed kompem. Obok monitora leżała wizytówka detektywa. Wziął ją do ręki. Idee ideami, ale trochę szkoda Igora. Sebastian nie musi o tym wiedzieć. Sięgnął po komórkę i wybrał numer z wizytówki.

Opiołek wyciągnął pomiętą wizytówkę z kieszeni. Teraz, kiedy już wszystko sobie przypomniał, wrócił na poprzednie miejsce i przywołał Bruna. Labrador przycłapał posłusznie, merdając ogonem. Legł pod murkiem, o który oparł się Opiołek. Zaszleściła reklamówka. Opiołek wyciągnął piwo, otworzył i pociągnął spory łyk. Prawie się zakrztusił, ale dzielnie przełknął piwną gorycz.

Kiedy ponad miesiąc temu był w samym centrum wydarzeń, podchodzili do niego różni ludzie. Pytali, co się dokładnie stało. Ludzie jak to ludzie, prawie wszyscy są ciekawscy. Poza tym w Tarnobrzegu nieczęsto ktoś wypada lub rzuca się z jedenastego piętra wieżowca. To nie Warszawa. Chcieli wiedzieć, co się stało. Opiołek przypomniał sobie, że podszedł do niego również Kazimierz Staszek. Także pytał. Chciał wiedzieć, co widział Opiołek. Czy widział moment, w którym ta nieszczęsna dziewczyna rzuciła się bądź została wyrzucona z balkonu. Opiołek powiedział, że nie. Wówczas Staszek mocniej zacisnął dłoń na jego ramieniu.

– Na pewno? – zapytał, patrząc przenikliwie Opiołkowi w oczy.

– Na pewno. Stałem odwrócony. O tam. – Opiołek wskazał miejsce przy murku. – Odwróciłem się dopiero, gdy usłyszałem krzyk. Jak podbiegłem, dziewczyna leżała już na parkingu.

Staszek rozluźnił uścisk i odszedł.

Opiołek zupełnie o tym zapomniał. Tyle ludzi się wówczas tutaj kręciło. Tyle pytało go o to, co się stało. Ale teraz, kiedy próbował sobie przypomnieć wszystko dokładnie, zachowanie Kazimierza Staszka wydało mu się trochę dziwne.

– A niech to. Czy to ja jestem detektywem, żeby się zastanawiać

nad tym, o co w tym wszystkim chodzi? Może to coś ważnego albo i nie. Niech sobie ten Kuba Rau sam oceni.

Jak powiedział, tak zrobił. Wyciągnął nokię. Model dla seniora. Tym razem także wziął ją ze sobą. Żona właśnie ogląda ulubiony serial. Na pewno nie będzie wydzwaniać. Wprowadził numer z wizytówki, nawet nie mrużąc oczu. Wzrok miał, o dziwo, dobry. Nie to, co jego stara, co nawet do przełączania kanałów pilotem potrzebuje okularów. Gdyby nie ten kręgosłup, byłby okazem zdrowia. W słuchawce zadźwięczał sygnał oczekującego połączenia.

Skrzyżowałem dłonie za głową i przeciągnąłem się. Zamierzałem wstać, kiedy zadzwoniła moja komórka. Numer nieznany. Bez chwili wahania odebrałem. To mógł być ważny telefon. Zostawianie wizytówek czasem przynosiło efekty. Nie myliłem się.

– Jakub Rau, prywatny detektyw, słucham – wyrecytowałem.

– Dzień dobry, panie Kubo, tu Stanisław Opiółek, pamięta mnie pan?

Mężczyzna w średnim wieku, biszkoptowy labrador, żona z pilotem przyspawanym do dłoni, woń przetrawionego alkoholu; ciekawe, czy ode mnie też tak czuć; świadek w sprawie morderstwa Karoliny Rodek. Pamiętałem.

– Tak, pamiętam – odpowiedziałem.

– Prosił pan, żebym dał znać, kiedy coś sobie przypomnę.

– I przypomniał sobie pan?

– Tak. Tylko nie wiem, czy to istotne. No, ale to już pan sam sobie oceni.

– Słucham w takim razie.

– Wtedy, w dniu morderstwa, na miejscu pojawiło się dużo ludzi. Wie pan, zleciało się dużo gapiów. Każdy chciał się dowiedzieć, co się stało. Dużo ludzi podchodziło do mnie i się pytało. Przypomniałem sobie, że był wśród nich Kazimierz Staszek, ten nasz radny. Podszedł do mnie i zapytał, czy widziałem moment, w którym tę dziewczynę wyrzucono z balkonu. Kiedy powiedziałem, że nie, złapał mnie mocniej za ramię i zapytał, czy na pewno. Puścił, gdy potwierdziłem. Czy to coś istotnego?

– To istotna informacja. Dziękuję – odparłem.
– Bo wie pan, ta dziewczyna, Karolina, ona mi się śni czasami. Jeśli jej prawdziwy morderca nie został schwytany, to mam nadzieję, że panu uda się dociec, kto naprawdę stoi za tym morderstwem.
– Ja też mam taką nadzieję – odrzekłem. – A czy pytał o coś jeszcze? – dodałem po chwili.
– Nie, to wszystko. O nic więcej nie pytał.
Rozłączyłem się.
Nawet przez chwilę nie zdążyłem przeanalizować krótkiej rozmowy z Opiołkiem, kiedy mój telefon zadzwonił ponownie. Znowu nieznany numer. Odebrałem.
– Przyjdź na krąg nad Wisłą. Za piętnaście minut. – Rozmówca rozłączył się, zanim go rozpoznałem.
Zamknąłem biuro i wzdłuż Sokolej poszedłem nad Wisłę.

Łukasz rozłączył się i spróbował zupy. Była jeszcze gorąca. Zjedzą z dziadkiem, kiedy wróci znad Wisły. Sięgnął po koszulkę, którą wcześniej powiesił na krześle. Przyjrzał się jej. Miał ją ostatnio, gdy rozmawiał z tym detektywem. Co on powiedział, kiedy skończyli rozmawiać?

– Nacjonalizm to zła droga. Coś w tym stylu – wyszeptał, aby nie obudzić dziadka. – Co on tam wie. Pewnie jest pedałem i lewakiem – dodał, ale odwiesił koszulkę z powrotem na krzesło i zajrzał do szafy. Oprócz patriotycznych koszulek miał także kilka zwykłych. Kupionych na przecenie w jakiejś sieciówce. Wziął zieloną. Lubił ten kolor. Założył. Cicho zamknął drzwi. Nie chciał niepokoić dziadka.

Przyszedłem na krąg jako pierwszy. Lubiłem to miejsce. W czasach liceum robiliśmy tu ogniska. Potem, gdy przyjeżdżałem do Tarnobrzega w trakcie studiów, umawiałem się tutaj ze starymi znajomymi na piwo. Wyglądał jak stary amfiteatr. Coś na kształt teatru greckiego. Na środku scena, wokół kamienne ławy dla widzów. Tarnobrzaska miniatura antycznego świata. Tak mi się kojarzyło. W rzeczywistości niewiele wiedziałem o historii samego kręgu. Ale nazwa była adekwatna.

Zacząłem żałować, że nie wziąłem piwa. Po chwili pojawił się Łukasz. Usiadł obok mnie. Odegraliśmy scenę z naszego pierwszego spotkania. To znaczy dużo milczeliśmy, a Łukasz palił papierosa.

– Jestem. Czy chcesz mi powiedzieć coś ciekawego? – zapytałem, kiedy milczenie się przedłużało. – Fajna koszulka – dodałem, bo zauważyłem, że nie ma na niej żadnego idiotycznego symbolu.

– Kazimierz Staszek nas wynajął – powiedział Łukasz między jednym zaciągnięciem się a drugim. – Mnie i Sebastiana – dopowiedział, jakby to nie było dla mnie oczywiste. Następnie wstał i zamierzał odejść.

– Dlaczego to robisz? – zapytałem, mając na myśli wyznanie, które przed chwilą usłyszałem.

Odwrócił się.

– Igor jest w porządku. Dlatego.

Rozmowa była skończona. Rozeszliśmy się. Każdy w swoją stronę.

Informacja od Opiołka, wyznanie Łukasza. Dodałem dwa do dwóch. Jak najszybciej musiałem przeprowadzić ponowną rozmowę ze Staszkiem. Był jeszcze trzeci element, który mnie o tym przekonywał. Bransoletka Klary. Chyba nie liczyła, że kupię ten głodny kawałek o prezencie od starych, jak by powiedział Rudolf Heinz. Tak, czytuję czasami rodzimych kryminalistów. Skojarzyłem fakty. Dziewczyna zmienia wersję, a na jej nadgarstku pojawia się droga bransoletka. Prezent od rodziców? Jasne. Skoro są na tyle bogaci, że kupują córce taki drogi prezent, to dlaczego ona pracuje w ciucholandzie? Z pewnością mogliby jej załatwić lepszą pracę. Mogłaby też nie pracować w ogóle. Klara raczej nie wyglądała na osobę, która mając bogatych starych, dobrowolnie zatrudnia się w sklepie z używaną odzieżą. Według mnie rodzice dziewczyny wcale nie byli bogaci, a biżuterię podarował jej ktoś inny. Każdego można kupić. Trzeba tylko znać odpowiednią walutę. Klarze wystarczyła droga bransoletka.

Tak więc nawet byłem trochę podekscytowany. Wziąłem taksówkę i pojechałem na Bogdanówkę. Wszystko stawało się dla mnie jasne. Prawie. Radek Kornacki wciąż milczał, ale to tylko kwestia czasu, zanim zacznie mówić. Jego zeznania stanowiły ostatni niewiadomy

element całej układanki. Kazimierz Staszek mógł być odpowiedzialny za śmierć Karoliny Rodek. Istniało więc również prawdopodobieństwo, że maczał palce także w morderstwie Elżbiety Rodek i Mareczka. Nie wiedziałem jednak, dlaczego zginęła Karolina i co łączy te trzy morderstwa. Wiedział to tylko Staszek i zamierzałem tę informację od niego wydobyć.

Wszedłem w Zwierzyniecką. Słońce było wysoko. Spojrzałem na najwyższe piętro wieżowca i zmrużyłem oczy. W tym samym momencie zadzwonił mój telefon.

– Gdzie jesteś, Kuba? – usłyszałem głos Olgi.

– Na Zwierzynieckiej. Stoję pod wieżowcem, w którym mieszkała Karolina Rodek. Zamierzam złożyć wizytę Kazimierzowi Staszewi. Mam przesłanki, aby sądzić, że wie coś o śmierci Karoliny – odpowiedziałem.

– Myślisz, że to on ją zabił?

– Tego dopiero zamierzam się dowiedzieć.

– W takim razie chcę pójść z tobą. Chcę być przy tym, jak przyznaje się do wszystkiego. Przez niego Igor omal nie został skazany za coś, czego nie zrobił.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Dobry. Poza tym, jeśli Staszek jest mordercą, nie możesz iść do niego sam.

– Chcesz być moim ochroniarzem?

– Jestem twoją klientką. Poza tym wiesz, że jak się uprę, to nie odpuszczę.

– Okej. Ale pójdziesz w charakterze mojej asystentki. Masz się nie odzywać.

– Dobrze, Kuba. Przyjdź po mnie – odparła i rozłączyła się.

Nie miałem wyjścia. Poszedłem po Olę.

Zamierzałem nacisnąć dzwonek, kiedy zorientowałem się, że furka jest otwarta. Drzwi do mieszkania także były otwarte. Przeszedłem przez hol i znalazłem się w salonie.

– Olga, jesteś tu?! – krzyknąłem.

Odpowiedziała mi cisza. Gdy się przedłużała, zacząłem się niepokoić. Nie o siebie oczywiście, lecz o Olę. Pomyślałem, że mogło

jej się coś stać. Choć z drugiej strony nie tak dawno rozmawialiśmy przecież przez telefon.

W końcu ciszę przerwało miarowe stukanie obcasów o podłogę. Odwróciłem się. Czerwone szpilki się zatrzymały, a ja powędrowałem spojrzeniem od ich spiczastych czubków poprzez zgrabne łydki, idealne biodra i talię, po czym zatrzymałem wzrok na delikatnej dłoni Olgi, w której trzymała pistolet z lufą wycelowaną w moim kierunku.

– Jestem, Kuba – odpowiedziała na zadane przeze mnie pytanie.

– Ja również. – Zza pleców dobiegł mnie męski głos. Dobrze go znałem. – Chyba wybierał się pan do mnie, detektywie, prawda?

Odwróciłem się. Za mną stał Kazimierz Staszek. Dłonie miał mniej delikatne niż Olga, ale tak jak ona trzymał w ręku pistolet. Nie muszę dodawać, w jakim kierunku była skierowana jego lufa.

– Nie rozumiem... – zacząłem, ale przerwał mi Staszek.

– Tak, o tym, że jest pan mało pojętny, już się przekonałem. Nie zrozumiał pan, kiedy nasłałem na pana tych dzieciaków. Gdyby pan zrozumiał, nie byłoby teraz tej kłopotliwej sytuacji.

– Ale co ty masz z tym wspólnego? – zwróciłem się do Olgi, która spoglądała na mnie z lekkim uśmiechem. – Skoro jesteś w to zamieszana, to dlaczego przysłałaś do mnie do biura? Dlaczego zleciłaś mi to całe śledztwo? – W mojej głowie odbywała się właśnie galopada myśli. Niczym na wyścigach konnych.

– To proste, Kuba. Nie tylko ja zamierzałam do ciebie przyjść. Igor ma jeszcze babcię. To ona nie wierzyła w jego winę. Znalazła adres twojego biura i chciała zlecić ci śledztwo. Przekonałam ją, że ja się tym zajmę. Przychodząc do ciebie jako twoja klientka, wiedziałam, że będę miała wszystko pod kontrolą. Aby się uwiarygodnić, byłam także u tego komisarzy. Nic nie ryzykowałam. Dla niego sprawa była już zamknięta i nie zamierzał jej rozgrzebywać. Nawet jeśli przysłałabym do niego naga. Co innego ty. Gdyby jednak coś poszło nie tak, to znaczy gdybyś zaczął się domyślać, opracowaliśmy z Kazimierzem plan awaryjny. Można powiedzieć, że właśnie wprowadzamy go w życie.

– Nie mogę uwierzyć, że okazałaś się morderczynią.

– Daj spokój. Po co te wielkie słowa. Po prostu musiałam działać

w imię wyższej konieczności.

– Może opowiemy panu detektywowi wszystko od początku? Tak to się chyba robi w kryminałach – powiedział Staszek i zaśmiał się. Jego własny dowcip bardzo go ubawił. Mnie nie było do śmiechu.

– Od czego by tu zacząć? – Olga wciągnęła powietrze i odgarnęła włosy do tyłu. Zrobiła minę osoby zatroskanej i zadumanej jednocześnie. – Może najpierw ty mu powiedz, dlaczego zabiłeś Karolinę.

– Działalem w imię wyższej konieczności, jak to ładnie ujęłaś, Olgo. Ową koniecznością była moja reputacja. Ta mała dziwka, no tak, teraz mogę już to przyznać: miałem z nią romans. No więc ta mała dziwka ubzduriała sobie, że może mnie szantażować. Jakie to banalne, prawda? Zamachała mi przed nosem plikiem naszych nagich zdjęć i zażądała konkretnej sumy. Nie wdając się w szczegóły, wypchnąłem dziwkę z balkonu. Teraz twoja kolej, Olgo.

– Od tego się zaczęło. Kazimierz, oczywiście, zanim wyszedł, przetrząsnął jej mieszkanie i zabrał wszystkie nośniki, na które mogła skopiować zdjęcia. Uważając przy tym, aby nie zostawić śladów. Nie miał na to za wiele czasu. Policja pojawiła się dość szybko. Nie był jednak pewien, czy zabrał wszystko. Przypomniał sobie, że Karolina miała także pendrive w kształcie pomadki. Używała go kiedyś na zajęciach. Nie znalazł go u niej w domu. Wtedy poprosił mnie o pomoc.

Słuchałem tego z zaciekawieniem i przerażeniem. Przez ostatni tydzień żyłem w iluzji. Kobieta, którą zaczynałem traktować poważnie, okazała się współniczką w morderstwie. Po niej włączył się znowu Kazimierz:

– Karolina wspominała mi kiedyś o swojej matce. O tym, że czasem ją odwiedza. Pomyślałem, że może u niej ukryła tego pendrive'a. To była czysta ruletka. Ale musiałem to sprawdzić. Olga z chęcią mnie wyręczyła.

– Miałam być tylko złodziejką, a zostałam zmuszona do morderstwa. Gdyby ta baba tak szybko się nie ocknęła... W ogóle, Kuba, nawet nie wiesz, jak się bałam, że do tego dojdiesz. Byłeś już tak blisko. Kiedy potem przyszedłeś, zostawiłam ubrudzone buty na

schodach. Nie zdążyłam ich schować. Na szczęście niczego nie skojarzyłeś. Chociaż na początku miałeś nosa. Szybko włączyłeś mnie do grona podejrzanych. Ale ja okazałam się szybsza w okręcaniu sobie ciebie wokół palca. Moja rada na przyszłość: nie dawaj się tak kobietom. Ale to nie na temat, jak lubisz mówić. No więc goniłam tę babę aż do „Fregaty”. Poślizgnęła się na schodach i spadła. Wybiegając z jej domu, wzięłam nóż kuchenny, który bardzo mi się przydał. Potem podrzuciłam go do meliny Marcuszka, który mnie zobaczył, ale chyba nie rozpoznał. Nie miałam pewności. A miałam tylko wejść do mieszkania tej baby, znaleźć różowego pendrive’a, zabrać go, a w jego miejsce podrzucić identyczny. Gdyby się nie ocknęła... Obserwowałam Marcuszka. Ten stary żul poszedł od razu się napić. Więc podrzuciłam mu do meliny torebkę starej, nóż, no i pendrive’a, którego miałam zostawić u niej w domu. Improvizowałam. Potem, kiedy Marcuszek został zwolniony, znowu musiałam działać w imię wyższej konieczności. Mógł mnie przecież jednak rozpoznać, przypomnieć sobie. Nietrudno było się go pozbyć. Wódka podrzucona do jego meliny długo nie postąpiła. Kiedy był pijany w sztok, po prostu go udusiłam. Przetransportowanie ciała okazało się większym wysiłkiem. Oplotłam mu nogi drutem...

– Tak, wiem. Zaciągnęłaś nad rzekę – dokończyłem.

– Chciałam go do niej zepchnąć, ale ktoś się tam kręcił. Pewnie jacyś wędkarze. Zostawiłam więc ciało na brzegu i uciekłam.

– Ale dlaczego to wszystko zrobiłaś? Co takiego cię z nim łączy? – Wskazałem na Kazimierza Staszka.

– Z Kazimierzem znamy się od dawna. Właściwie od dziecka. Wychowywaliśmy się w tym samym bidulu. Poza tym mamy wspólne tajemnice, które połączyły nas do końca życia. Pamiętasz sprawę zabójstwa trzylatka z domu dziecka? To dawna historia. Nie wykryto sprawcy. A raczej sprawców, bo to my go zabiliśmy. Sam rozumiesz. Takie sprawy łączą na całe życie.

Kazimierz i Olga zaśmiali się. Mnie znowu nie było do śmiechu. Wręcz przeciwnie.

– Kazimierz pomógł mi także w zamordowaniu matki Igora. Ale to długa historia. W każdym razie wiesz, jaki jest jej ciąg dalszy. Miałam

więc wobec niego zobowiązania, z których się wywiązałam.

– I co teraz? – zapytałem, obawiając się najgorszego.

– Właściwie moglibyśmy teraz pana zabić, detektywie – odezwał się Kazimierz Staszek. – Ale trochę nam się już to znudziło.

– Każdego można kupić... – powiedziała Olga.

– ...trzeba tylko znać odpowiednią walutę – dokończyłem.

– Właśnie. Lubię to twoje powiedzenie – dodała.

– A jaka jest pańska, detektywie? – zapytał Staszek. – Za jaką kwotę można kupić pańskie milczenie?

– Obawiam się, że gra pan złą walutą – odpowiedziałem.

– Za to pan stawia na szali swoje życie.

Usłyszałem, jak Olga pociąga za spust. To prawda, że w takich chwilach przed oczami przesuwają się nam całe życie. Zatrzymałem się na jednym z ostatnich obrazów. Była to jedna z nocy z Olgą. Gdy powietrze przeszył dźwięk wystrzału, myślałem, że z tym obrazem zostanę na zawsze. Pistolet wystrzelił, ale ja nie poczułem bólu. Za to ciało Kazimierza Staszka osunęło się na podłogę. W jego oczach zastygło zdziwienie. Nawet nie zdążył przesunąć obrazów z życia.

Spojrzałem na Olgę zaskoczony. Co jeszcze mi dzisiaj zafunduje?

– Jak powiedziałam, wywiązałam się z zobowiązań. Pomyślałam, że teraz pora na małą zemstę.

– Za co się zemściłaś?

– W bidulu Kazimierz wcale nie był dla mnie miły. Nie potrafił zrozumieć, że kiedy kobieta mówi „nie”, to znaczy „nie”. Nigdy nie wybaczyłam mu molestowania. Byłam wtedy małą dziewczynką.

Podeszła do Staszka i sprawdziła, czy żyje. Potem odwróciła się w moją stronę.

– Przepraszam, Kuba – powiedziała i pocałowała mnie. – Jest mi bardzo przykro, że tak to się wszystko kończy.

– Za co przepraszasz? Twoje przeprosiny nie wrócą życia Karolinie, Elżbiecie i Mareczkowi – rzuciłem.

– Przepraszam za to.

Ponownie usłyszałem wystrzał. Tym razem poczułem przeszywający ból w prawej nodze. Potem chyba zemdlałem. Gdy się ocknąłem, ujrzałem nad sobą Jurka, który gdzieś dzwonił. Odezwały

się policyjne syreny. Przy ich dźwięku zastanawiałem się, czy Oldze udało się uciec. Miałem nadzieję, że tak.

Epilog I

Piątek, 4 września 2015

Olga uciekła. Miałem mieszane uczucia. Z jednej strony cieszyłem się, bo ją polubiłem. Może nawet zaczynałem czuć coś więcej. Nie chciałem, aby resztę życia spędziła w więzieniu. Miała smutniejsze życie, niż podejrzewałem. Z drugiej strony zabiła Elżbietę Rodek i Marcinka. No i Kazimierza. A wcześniej żonę swojego obecnego męża, który niesłusznie został skazany. Powinna ponieść karę. Nic nie usprawiedliwia zbrodni. Nawet morderstwo takiego skurwiela jak Staszek trzeba nazwać po imieniu. Najbardziej jednak pragnąłem, aby mroczna przeszłość i czyny Olgi okazały się nieprawdą. Wciąż chciałbym z nią być.

Przez wąską furtkę wszedłem na cmentarz. Przychodzę tu raz do roku. Zawsze tego samego dnia. Stałem nad grobem ojca. W końcu to mój ojciec. Raz w roku chowam urazy do kieszeni. A przynajmniej tak sobie wmawiam. Odgarnąłem zwiędłe płatki białej róży, które wiatr przywiał z grobu obok. Nie modłę się i nie zapalam znicza. Po prostu stoję przez chwilę w ciszy i idę dalej.

Minąłem dziecięce groby tonące w zielonych liściach konwalii. Na cmentarzu zawsze panuje kojący spokój. Odgłos aut mknących Wisłostradą tłumią szumiące topole, przez które przedzierały się promienie wrześniowego słońca.

Usiadłem na brązowej ławce, która zaskrzypiała pod moim ciężarem. Postawił ją ojciec. Kiedy żył, bywał tu znacznie częściej niż ja. Kulę oparłem obok. Postrzał okazał się niegroźny. Jednak przez jakiś czas potrzebowałem jej, by móc się samodzielnie poruszać.

W tej samej alejce znajdował się nowy grób. Wyróżniał się na tle grobowców z lat dziewięćdziesiątych i starszych. Stał nad nim młody mężczyzna. Zmrużyłem oczy i dopiero wtedy go rozpoznałem, przy

okazji stwierdzając, że jak najszybciej muszę wybrać się do okulisty. Igor Haddad pochylił się nad fotografią Karoliny Rodek i coś na niej powiesił. Domyśliłem się, że to bransoletka lub wisiorek. Zauważył mnie. Poprawił wiązankę na grobie i zaczął zmierzać w moim kierunku.

– Jutro już jej tam pewnie nie będzie – powiedziałem, robiąc mu miejsce na ławce. Usiadł.

– Mówisz o bransoletce? Kupiłem ją tego dnia, kiedy Karolina zginęła. Chciałem ją jej dać, ale się pokłóciliśmy. Mnie nie jest potrzebna. Może złodziejowi przyniesie szczęście.

– Kochałeś ją? – zapytałem, choć bardziej stwierdziłem.

Igor nie odpowiedział. Przytaknął skinieniem głowy. Zadumałem się nad nieszczęśliwym losem tej pary. Przypomniałem sobie Radka. Gościa zupełnie niewartego uczuć Karoliny. Kiedy Kornacki dowiedział się, że Staszek nie żyje, przyznał się do pomysłu z szantażowaniem Staszka nagimi zdjęciami, który przedstawiła mu Karolina i od którego nawet nie próbował jej odwieść. Ostatecznie jednak i Radek miał uczucia. Wolał iść do więzienia, niż przyznać się do szantażu. Chronił swoje dzieci. Bał się, że może im się coś stać, kiedy on doniesie na Staszka. W kontekście morderstwa Elżbiety Rodek i Mareczka wydawało się to rozsądne.

– Młodo umarła. Kto to? – przerwał milczenie, wskazując na tablicę nagrobną.

– Moja matka.

– Na co umarła?

– Powiesiła się – odparłem.

– Przykro mi.

– Mnie też – powiedziałem i sięgnąłem po kulę, szykując się do odejścia.

– Jeszcze ci nie podziękowałem.

– Nie ma za co – powiedziałem zupełnie szczerze. Mało brakowało, a sam bym zginął, gdyby nie jakieś uczucie, które wzbudziłem w Oldze. A przynajmniej łudziłem się, że tak było.

I gdyby nie Jurek. Szybko wezwał pogotowie. Tylko przypadek sprawił, że znalazł się w domu Olgi. Przyszedł, bo znaleziono

sprawców odpowiedzialnych za napis na jej płocie. Okazali się nimi Łukasz i Sebastian. Trochę to smutne, że młodzieńczy bunt ma dziś skrajnie prawicową twarz.

– W każdym razie dziękuję – rzekł Igor i także wstał z ławki. Ja udałem się w kierunku wyjścia, on wrócił jeszcze na grób Karoliny.

Minąłem stary, spróchniały krzyż i skręciłem w alejkę kończącą się dużą kutą bramą. Postanowiłem wyjść głównym wyjściem i się przespacerować.

Kiedy przechodziłem przez bramę, zadzwonił mój telefon. Nowa klientka i nowa sprawa. Kolejna zdradzana żona. Wyszedłem z cmentarza. Życie wracało do normy. Tylko wrześnieowy wiatr był jakby chłodniejszy. Nie byłem pewien, czy chcę wiedzieć, jaką jesień przyniesie.

Epilog II

Piątek, 26 czerwca 2015, godzina 19.30

Oparła smukłe dłonie o barierkę balkonu i wygięła się do przodu. Parking na dole zastawiony był autami, tylko jedno miejsce wciąż było puste. Wyłożone czerwoną kostką było dobrze widoczne nawet z jedenastego piętra wieżowca na Zwierzynieckiej, gdzie z koleżanką wynajmowała mieszkanie. Nieopodal, również w dole, widziała dach starej piekarni, sklep meblowy oraz dopiero powstające schronisko dla bezdomnych. Przechyliła głowę w prawo i ujrzała budynek poczty oraz rondo łączące ulicę Zwierzyniecką z ulicą Eugeniusza Kwiatkowskiego i Kazimierza Wielkiego. A kiedy podniosła głowę, jej oczom ukazał się dach łamańca po drugiej stronie ulicy. Patrzyła dalej, pragnąc dojrzeć prawy brzeg Wisły, osiedle Przywiśle, a za nim chociaż mglisty zarys Jeziora Tarnobrzeskiego. Rzeka oddzielała dwie przestrzenie: miasto i bezkres niezabudowanej ziemi. Kilka lat temu jeden z kandydatów na prezydenta miasta obiecywał po wyborach budowę mostu, który połączyłby te dwie części. Obiecywał także rozbudowę miejskiej infrastruktury po drugiej stronie Wisły. Kandydata nie wybrano. Widocznie coraz mniej licznym mieszkańcom Tarnobrzega nowe tereny i most nie były potrzebne do szczęścia. Ale tarnobrzaska wizja szklanych domów pozostała w pamięci.

Widok, jaki rozciągał się z jedenastego piętra wieżowca na Zwierzynieckiej, był jednym z powodów, dla których zdecydowała się wynająć tutaj pokój. Pałac papierosa, wychodziła na balkon i wzrokiem obejmowała całe miasto, które o każdej porze dnia zdawało się mieć inną energię. Lubiła późne wieczory, kiedy tonęło w blasku ulicznych latarni i nie przypominało sennego miasteczka, w którym zupełnie nic się nie dzieje.

Teraz nad Tarnobrzegiem wisiały ciemne chmury. Był jeden z najdłuższych dni w roku, ale pochmurna pogoda, panująca od

samego rana, sprawiła, że wieczór nadciągał szybciej niż powinien.

Karolina odwróciła się i sięgnęła dłonią do kieszeni białego szlafroka kąpielowego, który miała na sobie. Pod nim skrywała czarną koronkową bieliznę, którą założyła tuż po wyjściu spod prysznica. Zawsze zakładała tylko taką. Lubiła czuć się seksowna. Długie blond włosy były jeszcze wilgotne. Zaczesane do góry i odgarnięte na lewą stronę wiły się po szczupłym ramieniu i przedramieniu, sięgając niemal biodra.

Dłoń w kieszeni wymacała paczkę slimów, lecz Karolina postanowiła zapalić później. Najpierw musiała skończyć rozmowę z Igorem, który czekał w pokoju.

– Ochłonąłeś? Nie zachowuj się jak dzieciak i porozmawiajmy poważnie. – Weszła do środka, przymykając drzwi balkonowe.

– Czy ty siebie słyszysz? „Porozmawiajmy poważnie”?! Cała ta sytuacja jest niepoważna, ty jesteś niepoważna. Myślałem, że między nami się układa, a ty nagle wyskakujesz z czymś takim?! – Igor był zły, a złość powodowała, że wypowiadał zdania szybko i głośno. Jak większość ludzi w podobnych sytuacjach.

– Nie krzycz. Ktoś może cię usłyszeć, a potem donieść właścicielowi mieszkania, że wszczynam awantury...

– I będzie miał rację, bo dokładnie to robisz – przerwał jej Igor. – Co ty sobie myślisz?! Że mnie tu zaprosisz, powiesz, że z nami koniec, bo co?! A ja to wszystko tak spokojnie przyjmę i może jeszcze pożyczę ci szczęścia na nowej drodze życia, co?! – Zbliżył się do Karoliny i chwycił ją za nadgarstek.

– Aua! Zostaw! To boli. – Dziewczyna jęknęła, ale po chwili wyrwała się z uścisku Igora. – I co? Pobijesz mnie, tak jak tamtą dziewczynę? – Oczy Karoliny zmrużyły się, jakby miała przejrzeć Igora na wskroś. Trafiła w jego czuły punkt. Igor miewał problemy z pohamowaniem agresji. Kiedyś dotkliwie pobił swoją dziewczynę, bo podejrzewał, że go zdradza. Dostał za to wyrok w zawiasach.

– Przepraszam. Nie chciałem ci zrobić krzywdy. – Usiadł i skrył twarz w dłoniach, a Karolina odetchnęła. Tak naprawdę nigdy nie była pewna, czy Igor i jej kiedyś nie uderzy. – Po prostu nie mogę zrozumieć i zaakceptować tego, że chcesz skończyć nasz związek.

Ręka Karoliny ponownie powędrowała do kieszeni szlafroka. Miała coraz większą ochotę na papierosa. Rozmowa z Igorem nie była łatwa. Karolina była spięta, a papieros przynajmniej trochę by ją rozluźnił. Jednak wyjście na papierosa tylko by przeciągnęło spotkanie, a na to nie mogła sobie pozwolić. Wyjęła dłoń z kieszeni i ręce skrzyżowała na piersiach.

– Ludzie się schodzą i rozchodzą, a my właśnie doszliśmy do tego drugiego. Nie możemy być dłużej razem, bo... – Wciągnęła do płuc powietrze i przez chwilę się wahała, zastanawiając się, czy to, co powie, nie wzbudzi w Igorze ponownie napadu agresji. – ...bo się zakochałam w kimś innym – dokończyła, wciąż nie mając pewności, jak zareaguje Igor, ale stwierdziła, że musi postawić sprawę jasno. Inaczej ta rozmowa będzie się przeciągać w nieskończoność.

Igor zacisnął pięści. Zobaczyła, jak robi się czerwony na twarzy. Serce zabiło jej mocniej. Chyba jednak przesadziła. Zrobiła krok w tył i zaczęła nogą o kant szklanego stolika, na którym stała filiżanka zielonej herbaty, którą zrobiła sobie tuż przed przyjściem chłopaka, ale nie zdążyła jej wypić. Filiżanka zatrzęsała się i na stoliku wylądowało kilka kropel napoju.

Igor wstał, ale rozluźnił dłonie i nie zbliżył się do Karoliny, tylko zaczął nerwowo krążyć po pokoju. Nie, nie uderzy jej. Przecież się zmienił. Próbował jakoś rozładować agresję. Chwycił szklaną figurkę anioła stojącą na nocnym stoliku i z impetem rzucił ją o ścianę. Figurka rozsypała się na kawałeczki, a Karolina krzyknęła, odruchowo chroniąc twarz i głowę. Jak na przyspieszonym filmie przez myśl przebiegły jej różne obrazy, najbardziej wyraźny był ten, który odnosił się do sceny z *Miasteczka Twin Peaks*, kiedy Laura Palmer dostrzega, że z obrazka wiszącego w jej pokoju znika postać anioła. Od tamtej pory było już tylko gorzej. Ale Karolina zamierzała przecież rozpocząć nowe życie i myślała racjonalnie. W jej życiu miało być już tylko lepiej.

– Wyjdź! – krzyknęła rozłoszczona. – Chciałam to skończyć w kulturalny sposób, a ty zachowujesz się jak agresywny dzieciak. Nie chcę cię więcej widzieć. Dotarło?!

Igor wziął z łóżka swoją dzinsową kurtkę i skierował się do drzwi.

– Ja tego tak nie zostawię – powiedział, odwróciwszy się z powrotem do Karoliny. Jego głos był spokojny, a to sprawiło, że Karolinę przeszył dreszcz, bo słowa Igora zabrzmiały jak groźba. Zrozumiała, że nie tak łatwo pozbędzie się swojego dotychczasowego chłopaka, który rzuciwszy groźbę, wyszedł, z impetem zatrzaskując za sobą drzwi.

Spojrzała na zegarek stojący na nocnym stoliku, obok którego jeszcze przed chwilą stała figurka anioła. Teraz był tam tylko ślad, wokół którego zalegała cienka warstewka kurzu. Czerwone cyfry na elektronicznym zegarku pokazywały godzinę ósmą z minutami. Wizyta Igora trwała ponad pół godziny. Za chwilę miał się pojawić kolejny gość. Ta rozmowa stresowała ją bardziej, była jednak dobrej myśli. Czekala na dużo starszego niż jej chłopak mężczyznę. A jeśli wszystko w tej rozmowie potoczy się według planu, jutro, najpóźniej pojutrze, będą planować z Radkiem wyjazd z Tarnobrzega. To nie było miasto dla nich, bo oboje pragnęli czegoś więcej. Dobrej pracy, pieniędzy, a przede wszystkim mieli dość małomiasteczkowej atmosfery, gdzie wszyscy wszystkich znali i wszystko o wszystkich wiedzieli. A przynajmniej im się zdawało, że wiedzą. W takim mieście jak Tarnobrzeg raz przyszyta łąka nie dawała się szybko oderwać. Karolinę postrzegano jako dziewczynę lubiącą towarzystwo mężczyzn i wykorzystującą ich. Mówiąc eufemistycznie, bo za jej plecami nie szczędzono bardziej niecenzuralnych epitetów. Radek, trzydziestolatek, którego zostawiła żona, również był na językach tych wszystkich, którzy zamiast żyć własnym życiem, żyją życiem innych. A najlepiej kiedy to życie innych dostarcza jak najwięcej pożywki do plotek. Na temat Radka plotkowano, że pije, że zdradza żonę. Do czasu rozstania z nią, bo potem tematem było już tylko pijaństwo Radka.

Poznali się na koncercie w pubie „Do Samego Końca”. Karolina przyszła z koleżankami. Radek przyszedł sam i cały koncert przesiedział przy barze, pijąc piwo za piwem. Karolinie skończyły się pieniądze, więc przysiadła się do niego, licząc na darmowego drinka. Trzydziestolatek spojrzał na ładną blondynkę i od razu zaproponował

coś do picia. Koncert się skończył, a oni przy barze przegadali resztę nocy. Zaczęli się spotykać, bo okazało się, że mają wiele wspólnych tematów i marzeń. Oboje chcieli się wyrwać z Tarnobrzega. A także jedno pod wpływem drugiego zaczęło się zmieniać. Karolina nie miała złudzeń, zakochała się w Radku, a on pokochał ją. Tak uważała. Chcieli być razem. Chcieli wyjechać. Tak myślała. Opowiedziała mu o Igorze, z którym spotykała się od dłuższego czasu, ale go nie kochała. Opowiedziała o Kazimierzu, wykładowcy z uczelni, z którym wdała się w romans, przynoszący głównie profity finansowe. Powiedziała także, że chce z tym skończyć i zacząć życie z nim, z Radkiem. Ukuła także plan. Ostatnią złą rzecz przed rozpoczęciem nowego życia, która jednocześnie miała być do niego przepustką. Zerwawszy z Igorem, Karolina miała zerwać z Kazimierzem. Ale nie miało to być zwyczajne zerwanie. Mężczyzna miał zostać zaszantażowany. Karolina postarała się o odbitki zdjęć, które zrobili sobie kiedyś podczas wspólnych igraszek w łóżku, i teraz czekała z nimi na Kazimierza.

Ponownie spojrzała na zegarek. Czerwone cyfry wskazywały godzinę ósmą trzydzieści. Lada moment miał przyjść Kazimierz. Dotknęła włosów, które były już zupełnie suche, i odgarnęła je do tyłu. Poprawiła szlafrok i spojrzała na widok za oknem. Nad miastem zbierało się coraz więcej ciemnych chmur. Zaraz będzie padać, pomyślała i w tym samym momencie usłyszała pukanie do drzwi.

Kazimierz jak zawsze pachniał drogimi perfumami i był elegancko ubrany. Z wyglądu przypominał Roberta Kupisza, na co Karolina zwróciła uwagę już przy pierwszym spotkaniu. Szpakowata broda i włosy, które zawsze były modnie przystrzyżone, dodawały mu klasy, której brakowało innym, nawet młodszym od niego wykładowcom. Inteligentne spojrzenie, głos spikera radiowego, elegancja, wszystko to powodowało, że Kazimierz przez niemal wszystkie studentki uważany był za mężczyznę niezwykle atrakcyjnego. Podobał się również Karolinie i była dumna z siebie, że to właśnie na nią zwrócił uwagę. Traktowała go jak kolejne trofeum. Tym bardziej cenne, że Kazimierz nie szczędził na nią pieniędzy. Dostawała upominki bez okazji, a kiedy potrzebowała gotówki, Kazimierz bez wahania

otwierał portfel.

Zamknęła za nim drzwi i w myślach przyznała, że dziś także wygląda świetnie.

Kazimierz przyciągnął ją do siebie z zamiarem zrzucenia z niej ubrania, ale Karolina wyrwała się.

– Musimy pogadać – powiedziała, poprawiając szlafrok.

Zdziwił się, bo jeszcze nigdy tak ostentacyjnie nie próbowała wyswobodzić się z jego objęć. Wprawdzie zauważył, że od jakiegoś czasu jest mniej namiętna w łóżku, a myślami bywa nieobecna, ale tłumaczył to sobie tym, że ich romans trwa już dość długo i Karolina być może jest już trochę znużona. Nie obawiał się jednak, że go zostawi, miała przecież z tego spore pieniądze.

– W porządku. – Przestał naciskać i poprawił mankiet koszuli w kolorze błękitnym, która podkreślała kolor jego oczu. – O czym chcesz rozmawiać? Jeśli potrzebujesz gotówki, to wiesz, że możesz na mnie liczyć, kotku.

– O tym właśnie chcę porozmawiać. O pieniądzach. – Karolina podeszła do nocnej szafki i z szuflady wyjęła szarą kopertę. Figurka anioła wciąż leżała na podłodze w kawałeczkach. Pomyślała, że jak Kazimierz pójdzie, spróbuje je poskładać, a nuż uda się je posklejać.

Kazimierz uważnie obserwował ruchy Karoliny.

– Wplątałaś się w jakieś kłopoty, kotku?

– Nie, ale ty możesz je mieć, jeśli nie dostanę tego, czego potrzebuję. I nie mów do mnie „kotku”. Nigdy tego nie lubiałam. – Podała mu kopertę, w której znajdowały się ich wspólne zdjęcia.

Kazimierz oglądał każdą fotografię powoli. Od razu zrozumiał, czego chce Karolina, i zastanawiał się nad reakcją.

– Ile? – zapytał po namyśle.

– Sto tysięcy. Tyle jest warta twoja reputacja i małżeństwo.

– A twoja reputacja?

– Ja nie mam nic do stracenia. Nawet gdyby sam papież zaświadczał o moim dziewictwie, w tym mieście i tak już jestem skończona – odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Przeczesał palcami włosy, po czym złapał się za brodę, jakby nad czymś się zastanawiał.

- To dużo pieniędzy... – zaczął.
- Stać cię – przerwała mu Karolina.
- To dużo pieniędzy, ale masz rację, stać mnie, żeby zapłacić za swój spokój.

Karolina poczuła się pewniej. Tak niewiele dzieliło ją od nowego życia.

- Ale stać mnie też, aby zapłacić więcej. Za coś jeszcze – dodał po chwili.

Spojrzała na niego zaskoczona. Takiego obrotu sprawy się nie spodziewała. Kazimierz sięgnął po portfel i wyliczył pięć tysięcy, które położył obok niej na stoliku.

- Jeszcze ten jeden raz. Ostatni. Za dodatkowe dziesięć tysięcy. Tu masz pięć – wskazał na banknoty – a resztę dołożę do tych stu za mój spokój.

- Muszę się zastanowić – powiedziała Karolina i sięgnęła do kieszeni po papierosy. Dłużej nie mogła wytrzymać. Wyszła na balkon, zostawiając uchylone drzwi. Na dworze zaczynało kropić.

Wciągnęła dym do płuc. Jak wytłumaczy Radkowi te dodatkowe dziesięć tysięcy, zastanawiała się. Przecież nie powie mu, że jeszcze raz poszła z Kazimierzem do łóżka. Czy w ogóle chce się z nim przespać? Naprawdę się zmieniła, to nie były historyjki wysane z palca. Z drugiej strony chodziło tylko o ten jeden ostatni raz. No i dodatkowe dziesięć tysięcy. Później pomyśli, jak je wytłumaczy Radkowi. Zgasła papierosa i podjęła decyzję. Odwróciła się. Kazimierz stał w drzwiach, więc zsunęła z siebie szlafrok. Spojrzał na jej piersi i pełne biodra, ale myślał o czymś zupełnie innym. Deszcz zaczął zacinać coraz bardziej. Karolina odwróciła się, żeby spojrzeć na miasto w deszczu. Wychyliła się, aby poczuć krople na twarzy i dekolcie. Teraz albo nigdy, pomyślał Kazimierz i wypchnął przez balkon niczego niespodziewającą się dziewczynę.

Wrócił do pokoju, poprawiając koszulę, która tylko nieznacznie wysunęła mu się ze spodni. Elegancki morderca, pomyślał o sobie nie bez zadowolenia, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że nie ma za wiele czasu. Od razu więc chwycił kopertę z fotografiami, którą pozostawił na łóżku. Pieniądze schował do portfela. Nie narzekał na

brak gotówki. Wykładał na uczelni, był radnym, posiadał kilka prywatnych poradni psychologicznych w większych miastach, ale cena, której zażądała Karolina, była za wysoka. Prawdopodobnie udałoby mu się zdobyć taką kwotę, ale nie obyłoby się bez podejrzeń żony. Zawsze była pazerna na kasę, ale tym razem przesadziła, pomyślał o swojej niedawnej kochance. Głupia dziwka.

Rozejrzał się po pokoju. Laptop i komórka Karoliny leżały na stoliku, więc je również wziął. Mogła przecież trzymać w nich kopie zdjęć. Gdyby policja je znalazła, nie tylko wszystko wyszłoby na jaw, ale też stałby się z pewnością jednym z podejrzanych. Zajrzał także do szuflady przy nocnym stoliku, która okazała się pusta. Nie zastanawiając się długo, zadbał o zatarcie wszystkich śladów. Jeszcze tylko ostatni rzut oka na mieszkanie Karoliny i Kazimierz ulotnił się z miejsca zbrodni.

Po wyjściu od Karoliny Igor od razu skierował się do delikatesów „Sezam”, gdzie zaopatrzył się w trzy perły mocne, które właśnie wypijał na klatce schodowej wieżowca, w którym mieszkała dziewczyna, i zastanawiał się, co ma dalej robić. Kiedy wychodził ze sklepu, zaczepiło go kilku dresów i wyzwało od ciapatych, na końcu dodając: „Stop islamizacji Europy! Polska wolna od islamu!”. Wkurwił się, ale nie zamierzał się z nimi bić. Było ich kilku i sam nie dałby im rady. Zresztą co on miał wspólnego z islamem? Urodził się w Polsce, całe swoje dziewiętnaście lat mieszkał w Tarnobrzegu, którego wcale nie lubił, a już na pewno nie zamierzał go islamizować. Ludziom najzwyczajniej zaczyna odbijać, pomyślał i opróżnił ostatnią butelkę. Minęła prawie godzina, odkąd wyszedł od Karoliny, i nadal nie wiedział, co ma zrobić. Jednego był pewien, tak szybko nie odpuści. Kocha ją i nie pozwoli jej odejść. Wyciągnął z kieszeni paczkę viceroyów i wyszedł przed klatkę zapalić. W drugiej dłoni obracał bransoletkę, którą chciał dziś podarować Karolinie, ale nie dała mu szansy. Zaczynało padać, więc nie wychylał się poza zadaszenie. Zaciągając się dymem, doszedł do wniosku, że wróci do mieszkania Karoliny i jeszcze raz spróbuje ją przekonać, żeby zmieniła decyzję. Deszcz padał już mocno, kiedy wyrzucał niedopałek i kierował kroki

w kierunku schodów prowadzących na górę.

Zapukał kilka razy, ale Karolina nie otwierała. Nacisnął klamkę, po czym pchnął ją w przeciwnym kierunku, spodziewając się, że drzwi stawiają opór, ale otworzyły się bez przeszkód. W mieszkaniu było pusto. Firanka przy drzwiach balkonowych delikatnie falowała, poruszana wiatrem. O szyby miarowo stukwały krople deszczu. Wyjrzał na balkon, gdzie ujrzał porzucony biały szlafrok dziewczyny. Serce zabiło mu mocniej, a w głowie zaczęły kołatać się najgorsze przypuszczenia. Wyjrzał za barierkę i ujrzał najgorszy widok w swoim życiu. Na dole stała już karetka oraz policyjny radiowóz. Nie słyszał, jak przyjechały, bo wchodząc na górę, założył słuchawki i słuchał muzyki z telefonu. Pomyślał, że musi stąd jak najszybciej uciekać. Przecież znajduje się na miejscu zbrodni. Ale skąd to przypuszczenie? Może Karolina popełniła samobójstwo? Nie, to niemożliwe. Przecież rozmawiali niedawno. Nie zachowywała się jak osoba, która ma zamiar umrzeć. Później o tym pomyśli. Teraz trzeba uciekać. Ruszył w kierunku drzwi. Ale słychać już było kroki policjantów. Usiadł zrezygnowany i spojrzał na kawałki potłuczonego anioła. Jego sytuacja była tak samo beznadziejna.

Od Autorki

Każdą historię można rozmaicie opowiedzieć. Nie wystarczy więc mieć opowieść, trzeba także znaleźć sposób na jej przekazanie. Myślę, że to problem, przed którym staje każda osoba pisząca. Zastanawiałam się jak przekazać historię, którą wymyśliłam. Ostatecznie postanowiłam odwołać się do klasyków czarnego kryminału, ta konwencja jest najbliższa mojej wrażliwości. Ale nie tylko. Uznałam, że idealnie pasuje do historii, którą chcę opowiedzieć.

Potem pojawił się kolejny problem: jak owej konwencji czarnego kryminału użyć? Jak zastosować znane i wyeksploatowane klisze fabularne, tak aby mimo wszystko moja historia była choć odrobinę inna niż to, co do tej pory napisano. I wtedy z pomocą przyszło mi miasto, w którym mieszkam, czyli Tarnobrzeg. Postanowiłam elementy stylu *noir* zastosować w realiach tarnobrzeskich. Kolejny wybór nie był trudny. Realia musiały być współczesne.

Konwencja rządzi się swoimi prawami, lecz realia małego miasta także mają swoje prawa. *Zła waluta* powstała więc z połączenia powyższych praw. Biorąc *Złą walutę* do ręki, otrzymali Państwo lekturę, która wyrasta z inspiracji twórczością Raymonda Chandlera, Dashiella Hammetta, Rossa Macdonalda, i wprost odnosi się do współczesnej małomiasteczkowej rzeczywistości.

Ponadto fikcja literacka zwykle ma to do siebie, że jest kompilacją elementów zmyślonych i prawdziwych. Co jest więc prawdą, a co zmyśleniem w mojej powieści? Prawdziwe jest na pewno miasto. Staralam się uchwycić Tarnobrzeg w sposób jak najbardziej rzeczywisty. Prawdziwe są więc nazwy ulic, obiekty, miejsca. Chciałam, aby obraz ten był wierny topografii Tarnobrzega. Ale to tylko część prawdy. Momentami mój Tarnobrzeg musi „grać” dla konwencji. Nazwy niektórych miejsc zostały więc zmienione, tyczy się to głównie nazw lokali, do których pozwoliłam moim bohaterom zajrzeć. Wyjątkiem bar mleczny „Smak” oraz bar „Pod Bażantem”.

Uznałam bowiem, że są idealne i że każda zmiana będzie zmianą na gorsze.

Pisząc *Złą walutę*, starałam się też uchwycić nastroje społeczne panujące w odcinku czasowym, w którym umieściłam akcję powieści, a także uwzględnić realia pogodowe, które – mam nadzieję – dodają opowieści nastroju i pasują do opisywanych scen.

I to w zasadzie tyle, jeśli chodzi o prawdę.

Cała reszta jest wytworem mojej wyobraźni. Oczywiście z zachowaniem wszelkich prawideł prawdopodobieństwa. Z pewnością żadna z opisanych historii nie wydarzyła się naprawdę i żaden bohater nie ma swojego odzwierciedlenia w rzeczywistości. Wszelkie podobieństwa są zupełnie przypadkowe. Natomiast charakteryzując niektórych moich bohaterów poprzez przyrównanie ich zewnętrznego wyglądu do cech zewnętrznych znanych osób, miałam jedynie na celu lepsze ich skonkretyzowanie w oczach czytelnika.

Na próżno także szukać na ulicy Sokolej domu z szyldem zakładu fryzjerskiego Danuty. Co prawda znajduje się na niej stare kino, lecz wciąż stoi zamknięte. Jedynie w *Złej walucie* zostało „odremontowane” i mieszczą się w nim lokale, w tym te do wynajęcia, oraz biuro detektywistyczne Kuby.

Ponadto historie opisane w *Złej walucie* mogłyby się wydarzyć w każdym innym niedużym mieście. Wybrałam Tarnobrzeg dlatego, że tu mieszkam i wydaje mi się, że poznałam to miasto już na tyle, aby umieścić tu akcję mojej powieści.

Mojej *Złej waluty* nie byłoby, gdyby nie osoby, które uwierzyły w nią, pozytywnie zareagowały na pomysł napisania tego kryminału. Może dlatego entuzjazm towarzyszył mi niemal przez cały czas pracy.

Dziękuję więc panu Filipowi Modrzejewskiemu, redaktorowi, który udzielił mi niezbędnych wskazówek już na początku pisania. Ponadto podsuwał inspirujące lektury i motywował dobrym słowem. Panie Filipie, współpraca z Panem to czysta przyjemność, której każdy autor i autorka powinni sobie życzyć.

Dziękuję Paulinie Stoparek, która jako jedna z pierwszych czytała

Złą walutę, nie szczędząc przy tym wielu miłych słów. Jeśli chodzi o literaturę, Paulina wie, co mówi. Wejdźcie na stronę Redaktora Na Tropie i przeczytajcie dowolny tekst, a przekonacie się, że to prawda.

Dziękuję wszystkim tym, którzy w mniejszym lub w większym stopniu wspierając mnie, przyczynili się do powstania tej książki.

Dziękuję także Tobie, Czytelniku, że zechciałeś sięgnąć po moją *Złą walutę* i spędzić z nią czas. Mam nadzieję, że nie był to czas stracony i że zostaniesz ze mną na dłużej, bo to dopiero początek.

Ewelina Dyda
Tarnobrzeg, 19 listopada 2016

Redaktor prowadzący: Filip Modrzejewski

Redakcja: Ewa Nosarzewska
Korekta: Justyna Pogorzelska, Małgorzata Denys

Projekt okładki: Izabella Marcinowska
Fotografia na I stronie okładki: © Igor Sinkov / Shutterstock.com

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4326-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo